SIECI

TAKA BĘDZIE ERA TRUMPA

CIEKAWA DIAGNOZA JANA ROKITY

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
4 (634) 2025
20-26 stycznia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

DR KAROL NAWROCKI

DAM Z SIEBIE WSZYSTKO

MÓWI NAM W PIERWSZYM WYWIADZIE PRASOWYM OBYWATELSKI KANDYDAT NA PREZYDENTA I LAUREAT TYTUŁU CZŁOWIEKA WOLNOŚCI TYGODNIKA „SIECI"

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 04
Numer w sprzedaży do 27 I 2025 r.

polsat box

Telewizja na start
12 miesięcy bez opłat

AUDIO BY
BANG & OLUFSEN

Dolby
ATMOS

Od 13. mies. 30 zł/mies., od 25. mies. 40 zł/mies. Pakiet S – 57 kanałów. Umowa na min. 24 mies.

Oferta telewizji dla nowych Klientów na min. 24 mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłaty jednorazowej 1 zł za dekoder. Łączna opłata za Pakiet S i udostępnienie dekodera polsat soundbox 4K od 13. mies. 45 zł/mies., a od 25. mies. 55 zł/mies. W liczbie kanałów uwzględniono kanały niegwarantowane. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Renomowani akustycy z firmy Bang & Olufsen starannie zaprojektowali i udoskonalili dźwięk dekodera polsat soundbox 4K, aby uzyskać czyste i mocne brzmienie. Dolby, Dolby Audio, Dolby Atmos i symbol podwójnego D są znakami towarowymi Dolby Laboratories Licensing Corporation.

Nieudana maskarada

Dlaczego Rafałowi Trzaskowskiemu idzie w kampanii tak słabo? Dlaczego każda próba wyrwania się z pętli śmiechu i kpiny kończy się jeszcze większą katastrofą? Dlaczego każda próba przemodelowania wizerunku przynosi jedynie kolejne kłopoty? Dlaczego nawet w twardym elektoracie Koalicji Obywatelskiej kandydat obozu władzy na prezydenta RP nie wzbudza entuzjazmu?

Odpowiedź jest prosta: Trzaskowski nie jest w tej kampanii sobą, a jednocześnie to zbyt słaby aktor, by wiarygodnie zagrać kogoś innego. A sobą być nie może, bo większość Polaków nie akceptuje poglądów, postaw i podległości, które wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej prezentował w czasie dotychczasowej drogi politycznej. Są to poglądy skrajne, ściśle odzwierciedlające globalistyczną agendę George'a Sorosa i całej, jak to się myląco nazywa, lewicowo-liberalnej międzynarodówki. To w istocie plan, który ma doprowadzić do takiej przebudowy narodów, że ze znanego nam Zachodu pozostaną jedynie nazwy krajów i miast. Cała reszta, łącznie z etnicznym składem każdego społeczeństwa, będzie już inna. Nie jest to zresztą daleka perspektywa. Największe miasta brytyjskie, w tym Londyn i Birmingham, już dziś zostały przejęte przez imigrantów z krajów muzułmańskich. Dodajmy – także na poziomie władzy politycznej.

Ta międzynarodówka stara się oczywiście maskować swoje działania, dostosowywać je do stanu świadomości społecznej. Dlatego prezydent Warszawy próbuje pokazać się jako polityk umiarkowanego centrum, a nie jako ktoś, kto osobiście prowadził parady równości i kazał zdejmować krzyże w urzędach. Deklaruje, że jest gospodarczym patriotą, choć nawet drzewa kupował i kupuje w Niemczech, mimo że wokół stolicy nie brakuje wspaniałych producentów roślin eksportujących je na cały świat. Obiecuje rozwój, choć należy do kierownictwa partii, która w ciągu roku uśmierciła dziesiątki, jeśli nie setki rozpędzonych już szans rozwojowych.

Również program seksualizacji dzieci, dla niepoznaki nazwany „edukacją zdrowotną", nieco rozmyto (zajęcia mają być nieobowiązkowe), oczywiście na chwilę, do momentu, gdy nie będzie wyborów i opinia Polaków przestanie mieć znaczenie.

Śmiałość, która towarzyszy tej maskaradzie, musi szokować. Pokazuje też, w jak wielkim kryzysie jest nasza (i nie tylko nasza) demokracja. Jeśli politycy sięgają po najwyższe urzędy, tak jawnie oszukując wyborców w sprawie własnych poglądów i własnego programu, społeczeństwo przestaje sterować swoim losem i staje się zabawką w rękach władców marionetek.

Owi „sternicy z wysoka" w każdym kraju działają podobnie. Wszędzie jest jakiś Trzaskowski stworzony w światowej fabryce „postępowych liderów przyszłości", odpowiednio wcześnie otoczony opieką i wypromowany. Na południu i północy, na wschodzie i zachodzie są oni wręcz bliźniaczo podobni do siebie, mają dokładnie takie same poglądy, tak samo prowadzą sprawy publiczne, tak samo zwodzą wyborców, kiedy uznają to za wygodne. Patrząc szerzej, sami z siebie niemal nie istnieją, bo przecież jeśli wypadną z gry, zrezygnują albo się zużyją, globalna fabryka podsunie narodowi kogoś nowego, kto będzie realizował dokładnie te same cele co poprzednik. Oni nie są stąd – są z zewnątrz i realizują zewnętrzne cele.

Niestety te recepty zazwyczaj okazują się skuteczne. Zazwyczaj, ale nie zawsze. Trzaskowski już raz przegrał wybory prezydenckie i może przegrać po raz drugi, tym razem jeszcze bardziej spektakularnie. Dlaczego? Ponieważ przychodzi mu się mierzyć z kandydatem spójnym, autentycznym, prawdziwym, mocnym. Z kimś, kto w naturalny sposób budzi sympatię zwykłych ludzi. Z człowiekiem, którego uformowała miłość do ojczyzny w czasach, gdy nie jest to uczucie ani popularne, ani oczywiste. Na tym tle „produkt Trzaskowski" wypada sztucznie, smutno, banalnie i coraz bardziej śmiesznie. Gdy rozstrzyga się wojna między prawdą a kłamstwem, tło ma znaczenie. Decydujące znaczenie.

Jacek Karnowski

Reklama | 04/0125/F

eprasa.pl 8e99d6d4d0

SIECI

spis treści

28 Wojna w rodzinie
Stanisław Janecki

33 Patocelebryta i inni stypendyści minister kultury
Maciej Walaszczyk

42 Pożar w piekle
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

5 **TUSK, CZYLI POLITYKA OSZCZERSTW**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TRZASK KRUCHEGO LODU**
Krzysztof Feusette

9 **POSZŁY KONIE PO BETONIE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TRUMP 2.0: NADZIEJA NA NOWY PORZĄDEK I POLSKIE ROZTERKI**
Daniel Obajtek

13 **REGLAMENTACJA SŁOWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ANKI OLEJ-KOBUS**
Michał Korsun

16 **WAGON Z MINAMI I BEZPIECZEŃSTWO**
Jan Pietrzak

16 **SIEWCY NIENAWIŚCI WALCZĄ Z HEJTEM**
Samuel Pereira

17 **ODBUDOWAĆ MOSTY, KTÓRE SPALONO…**
Arkadiusz Mularczyk

18 **I PO SZKODZIE GŁUPI**
Lech Makowiecki

CZŁOWIEK WOLNOŚCI 2024

19 **Z DR. KAROLEM NAWROCKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

25 **BLAMAŻ, CZYLI RAPORT GEN. STRÓŻYKA**
Piotr Gursztyn

28 **WOJNA W RODZINIE**
Stanisław Janecki

30 **MOKRE SNY REŻIMU**
Konrad Kołodziejski

33 **PATOCELEBRYTA I INNI STYPENDYŚCI MINISTER KULTURY**
Maciej Walaszczyk

36 **RODZICE PRZYSTOPOWALI NOWACKĄ**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

39 **ERA TRUMPA**
Jan Rokita

42 **POŻAR W PIEKLE**
Dariusz Matuszak

45 **CYFROWA CENZURA KONTRA WOLNOŚĆ SŁOWA**
Grzegorz Górny

48 **UKRAINĘ CZEKA „REWOLUCJA WYBORCZA”**
Marek Budzisz

52 **KAMPANIA PRZECIWKO FAKTOM**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

54 **MAMY NOWĄ AMBASADĘ W BERLINIE**
Andrzej Przyłębski

56 **JAK ZATRZYMAĆ TO SZALEŃSTWO**
Goran Andrijanić

HISTORIA

58 **JAK NIEMIECKIE PAŃSTWO ZAPLANOWAŁO HOLOKAUST**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **LOVE MY LIFE**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **SIGMA RIZZ**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: GINTS ZILBALODIS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **MAŁY SAPER, WIELKI MISTRZ**
Ryszard Czarnecki

74 **OBRAZY I PODTEKSTY**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 8e99d6d4d0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk, czyli polityka oszczerstw

Mało kto pamięta oświadczenie Donalda Tuska, że PiS ukradło 100 mld zł. A przecież upłynęło od niego ledwie pięć miesięcy. Naturalnie otoczenie premiera i on sam od razu zaczęli tonować ową deklarację, dopowiadając, że udokumentowane zostało 3 mld pisowskich nadużyć, po czym okazało się, że nie o kradzież, ale „niewłaściwie" rozdysponowanie nimi chodziło. Ponieważ rządzenie to dysponowanie środkami, w ten sposób rządzących oskarżyć można o kradzież dowolnej sumy.

Tusk ogłosił zresztą, że głównym mechanizmem „wyprowadzania" pieniędzy było ustawienie konkursów, w których mieli wygrywać sympatycy PiS. Zbrodnią Prawa i Sprawiedliwości było więc to, że konkurs na pomoc ofiarom przestępstw wygrała fundacja ks. Olszewskiego, a nie np. Jerzy Owsiak.

Słowa Tuska to znacznie więcej niż skandaliczna niefrasobliwość w rzucaniu oskarżeniami. To polityka oszczerstw. Znamienne, że nikt nie zarzucił ks. Olszewskiemu czy o. Rydzykowi przywłaszczenia sobie funduszy, które uzyskali jako granty.

Dla zwykłego odbiorcy nie ma to jednak znaczenia. Ukradli, to ukradli. Wprawdzie zaufanie do słów lidera PO nie jest wysokie, ale mało kto przyjmuje do wiadomości, że premier Polski może rzucać tak monstrualne zarzuty bez żadnego uzasadnienia. Przecież pomówienia na bez porównania mniejszą skalę są karane sądownie. Zwykły obywatel sądzi więc, że sumy pewnie są zawyżone, w wielu przypadkach sprawy są naciągnięte, ale za rządów PiS musiała występować korupcja na wielką skalę. I o to chodzi.

Tusk jest politykiem zręcznym. Wielokrotnie wydaje się, że rzuca słowa na wiatr. Nic bardziej mylnego. Jego polityka nie przynosi korzyści państwu i uznać można ją za chaotyczną. Ale priorytetem lidera PO nie jest dobro wspólne, ale panowanie w kraju i pozycja na arenie europejskiej. Może nie być pieniędzy na nic, ale na sondowanie reakcji wobec określonych posunięć lidera PO zawsze się znajdą. Jak wszyscy w establishmencie zachodnim Tusk i jego otoczenie przeceniają możliwości sterowania opinią publiczną – to niezmienny błąd politycznych cyników już od epoki sofistów. Niemniej takie działania mają istotny, chociaż czasowo ograniczony wpływ i powodują, że ludzie dokonują wyborów wbrew swoim żywotnym interesom. Inaczej Tusk i jego kamaryla nie byliby w stanie wrócić do władzy.

Głównym elementem strategii liderów liberalnej demokracji jest dezawuowanie swoich konkurentów. Politycy ci, traktujący realność demokracji, a więc wybory, jako przypadłość, którą są zmuszeni tolerować, nie będą nigdy autentycznie reprezentować współobywateli. Mają poczucie wyższości i przekonanie, że lepiej wiedzą, co leży w głębokim interesie mieszkańców zarządzanych przez nich terenów. A jest nim ideologiczne przekształcenie ich mentalności, czego wprost nowi inżynierowie dusz zadeklarować nie mogą. Strategią liberalnych przywódców jest zatem dezawuowanie swoich przeciwników jako populistów czy faszystów, a ogólnie ludzi niebezpiecznych i niegodnych sprawowania władzy. Zniszczenie reputacji rywali przy ogromnej przewadze w ośrodkach opiniotwórczych, które same stanowią element oligarchii liberalnej, powoduje, że establishment przez długi czas może pozostawać niezagrożony.

Podstawową, wypracowaną przez współczesny marketing polityczny metodą walki z konkurentem jest destrukcja jego najważniejszego aktywu. Osobnik o świńskim ryju i gumowym penisie chwalił się, że „zniszczył godnościowy fundament prezydenta Kaczyńskiego". Chodziło o uruchomienie wielkiego przemysłu ośmieszania i pogardy w stosunku do męża stanu, którego celem było przywrócenie Polakom poczucia godności. Podobne odwrócenie znaczeń obserwujemy dziś.

Priorytetem PiS było uzdrowienie przeżartego korupcją życia politycznego w naszym kraju. Przy wszystkich ograniczeniach związanych z członkostwem w UE w latach 2015–2023 cel ten w dużej mierze został osiągnięty.

Zadaniem propagandy PO jest więc nie tylko podważenie tych osiągnięć, lecz także przedstawienie PiS jako ośrodka korupcji.

Na pozór jeszcze bardziej karkołomną operację stanowiło oskarżenie partii Kaczyńskiego o to, że, jak publicznie oświadczył Tusk, tworzą ją „płatne pachołki Rosji". Lider ugrupowania, który za wszelką cenę „normalizował" stosunki z Kremlem, pomawia polityków od zawsze akcentujących moskiewskie zagrożenie i skutecznie potrafiących się mu przeciwstawić już nie o prorosyjskość, ale o pozostawanie na żołdzie Putina.

Wydawałoby się, że tak ostentacyjne odwrócenie rzeczywistości nie może przynieść efektów. Jest inaczej. Lekarz i oficer, konsultant Wojskowej Służby Zdrowia Piotr Szymański publicznie wymyślał prawicowym dziennikarzom od pachołków Putina, co opisywałem już w tym miejscu.

Można uznać to za przykład patologiczny, ale sprawa dotyczy członka elity, a strategia Tuska prowadzi do patologizacji polskiego życia. Niestety w dużej mierze skutecznie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Sygnalista nadaje

Szok i niedowierzanie! Niesłychana sprawa. ***Donald Tusk*** się nie wściekł. Bo wściekła się na niego ***Ursula von der Leyen***. Tak, szanowni czytelnicy, królowa Europy wściekła się na naszego Donalda. Dlatego zachorowała na zapalenie płuc i nie zaszczyciła spektaklu z okazji rozpoczęcia polskiej prezydencji w UE. To właśnie z tego powodu całą resztę europejskiej śmietanki dopadła ta sama przypadłość. I to w tym samym czasie. Wśród zdrowych ostał się tylko António Costa i został wydelegowany do Warszawy. Potem Ursula i cała reszta bardzo szybko wyzdrowiała, a wszystko to zmartwiło naszego premiera. Stąd jego bardzo smutna twarz w czasie koncertu.

A teraz najważniejsze, czyli dlaczego tak się stało. Ursula oburzyła się z tego powodu, że na otwarcie prezydencji nie zostali zaproszeni ci, którzy ją zdawali, czyli Węgrzy. Owszem, ten ***Viktor Orbán*** jest wstrętny i okropny, ale interesy robi się z nim dobrze. Zwłaszcza niemieckie interesy. Ursula dała więc znać, że co wolno jej i ***Olafowi Scholzowi***, to nie wolno Donkowi. Wpędziła naszego premiera w wielki stres, zwłaszcza że to nie do końca jego wina. To nie on wymyślił, aby tak ukarać Madziarów za przytulenie banity Romanowskiego, ale Radek Sikorski wyszedł przed szereg. Nikogo nie zapytał i sam ogłosił: „Precz z Węgrami". Biedny Tusk nie mógł już tego odkręcić. Wściekliby się wtedy na niego Silni Razem, a to jest jeszcze gorsze niż fochy Ursuli.

W przyrodzie nic jednak nie ginie, także wściekłość Donalda. Po kilku dniach i on mógł się zatem wściec tak, jak lubi. Tym razem na Adama Bodnara za to, że wszyscy pisowcy są na wolności, łażą bez kajdan zespolonych i na dodatek pyskują w mediach. Donald nawrzeszczał na szefa resortu sprawiedliwości, że jeżeli nie wsadzi do pudła żadnego pisowca, to doda mu Romana Giertycha jako wiceministra. Bodnar się przestraszył (jego łatwo można przestraszyć) i zapowiedział w mediach, że w tym roku kalendarzowym będzie już stanowczy. Może nawet wyśle do sądu jakiś akt oskarżenia. Martwi nas jednak taka sprawa: dlaczego nasz Roman ma być tylko wiceministrem? To marnowanie potencjału tego szczerego demokraty. On powinien być wicepremierem!

Rafał bardzo schudł. Jednak nie w talii, lecz w sondażach. Dogania go ten osiłek z Gdańska, i to pomimo braku znajomości języka francuskiego. Może dlatego, że biega w każdą niedzielę, a Rafał woli ćwiczyć w dumnej samotności, a nie z jakąś tłuszczą niedojrzałą do demokracji.

Ktoś już rzucił hasło „Donald – nie chcę, ale muszę". Że niby będzie podmianka kandydata w wyborach prezydenckich. No i co z tego? Wiadomo, że to PiS ma krótką ławkę. A po stronie demokratycznej i praworządnej jest wielu wspaniałych kandydatów. My np. tęsknimy za Małgorzatą Kamalą-Błońską – prezydent naszych serc. Albo Bronisławem Komorowskim. Pamiętacie jego piękne hasło z 2015 r: „Wybierz zgodę i bezpieczeństwo"? Demokratyczna Polska powinna naprawić zło, które się wydarzyło, gdy ukradziono mu prezydenturę. Jeśli Rafał uzna, że nie ma sensu dalej podlizywać się ludziom, którzy nie dorośli do demokracji, i się wycofa, to Komorow-

eprasa.pl 8e99d6d4d0

ski powinien wrócić do pałacu. Przecież wystarczy do tego orzeczenie drugiej osoby w państwie, czyli Szymona i wpis w internecie premiera.

14 stycznia 2025 r. – „czarny wtorek", czyli dzień, w którym pojawiły się te koszmarne sondaże. Wielu zatroskanych praworządnością redaktorów pisze, co trzeba zrobić, aby kaczyzm nie wrócił do władzy. Np. redaktor Nizinkiewicz uznał, iż rząd Tuska nie może być kamieniem u szyi Rafała: „Na wsparcie rządu, który podejmuje niepopularne decyzje, Trzaskowski nie ma co liczyć" – pisze redaktor. Ale jak to? To gabinet premiera Tuska podejmuje niepopularne decyzje? My nie znamy żadnej takiej, dla nas wszystkie są popularne. I jak to nie może być kamieniem u szyi? Premier Tusk wszystko może!

Pytacie, czy nas martwi, że Rafał chudnie w sondażach. I tak, i nie. Trzeba domknąć system, a do tego jest potrzebna zaufana osoba, która będzie pilnowała żyrandola w pałacu prezydenckim. A w tym Rafał będzie bardzo dobry. Ale jednocześnie czy ktoś miał wątpliwości, że ludność zamieszkująca Tenkraj dojrzała do prezydenta takiego jak Rafał Kazimierz Trzaskowski? Oczywiście, że nie! Ludzie, którzy nie dorośli do demokracji, myślą, że mleko jest od krowy, a nie z soi, robią kupy na wydmach po przepiciu i przejedzeniu pieniędzy z pińćsetplus, nie przeprosili za Jedwabne? Nie można oczekiwać, że ta tłuszcza, jak pięknie nazwał ją redaktor Jurasz z portalu onet.pl, jest godna takiego prezydenta. A dla nas Tenkraj to Miasteczko Wilanów i Jagodno, a nie jakieś tam Końskie czy inne Podkarpacie.

No dobra, ludziska. Jest sposób, by Rafał jednak wygrał. Koniec z oglądaniem i czytaniem głupot w internetach. Rząd będzie chronił obywateli i przestaniecie oglądać te durnowate filmiki, zdjęcia z kotkami i psami. Nie będzie Kaczyński manipulował niedojrzałą do demokracji ludnością za pomocą zdjęć jakiegoś swojego kota! Nie może być tak, że nieodpowiedzialni ludzie czytają prawackie portale i nawet się tego nie wstydzą. Nie dorośliście do tego. Jest poważne ryzyko, że zostaniecie zmanipulowani przez Ruskich i Kitajców i 18 maja podejmiecie nieodpowiednią decyzję wyborczą. Dla waszego dobra rząd będzie was chronił przed nieodpowiednimi treściami w sieci. A jak chcecie się dowiedzieć, co się dzieje w naszej uśmiechniętej Polsce czy na świecie, to kupcie sobie „Wyborczą" (papierową, podobno taką można jeszcze gdzieniegdzie dostać) i włączcie sobie TVN. To wam wystarczy.

Gospodarka: dobre wiadomości dla start-upów. W Warszawie można nabyć spółki za cenę dostępną dla każdego. A to dzięki polityce rządu premiera Tuska i prezydenta miasta stołecznego. Zainteresowanie inwestorów wzbudziła firma Cryogas M&T Poland, która została wylicytowana za 3 zł. Przedsiębiorstwo odnosi sukcesy, zaopatrując autobusy miejskie w gaz najwyższej jakości. Proszę nie krytykować, że rosyjski. Czy on pali się gorzej, jak słusznie kiedyś zapytał wicepremier Pawlak? Czy rosyjskie pieniądze są gorsze od innych, jak równie zasadnie pytał kiedyś minister Aleksander Grad?

Ale to nie koniec sukcesów warszawskiego ratusza, którymi, nie wiedzieć czemu, prezydent Trzaskowski nie chce się chwalić. Ten skromny człowiek nie pochwalił się też zakupem rewelacyjnych autobusów prestiżowej chińskiej marki Yutong. Pasażerowie są szczególnie „zachwyceni" czarną, skajową tapicerką siedzeń autobusowych. Sztuczne tworzywo brzydko pachnie, jest nieprzyjemne w dotyku i brudzi ubrania.

Idzie straszna wojna w partii prawdziwych Polaków. Z jednej strony stanął Braun i jego przyboczny Fritz, z drugiej Mentzen i szara eminencja Wipler. Herr Braun uważa, że Herr Mentzen jest złym kandydatem na prezydenta i on będzie lepszym. Spodziewajcie się, ludzie, największych okrucieństw w tej wojnie. W porównaniu z nią konflikt między PO i PiS będzie się jawił jako niewinne przekomarzanki. Wojna będzie tym bardziej brutalna, że oliwy dolewa człowiek o nazwisku Mikke (Korwin czy jakoś tak), nie jest też jasne stanowisko Frau Zajączkowskiej, o której wiadomo, że to wielka miłośniczka partii prawdziwych Niemców – AfD. No i powiedzcie, dlaczego to o Platformie ludzie mówią, że jest partią niemiecką?

Fajne chłopaki dostają fajne pieniądze. Na fajnych warunkach. Tak jak Jaś Kapela za to, że napisze piosenki o tym, iż aborcja jest git, a Kościół – zły. W sumie każdy uśmiechnięty Polak to wie, ale trzeba o tym przypominać i te 6 tys. zł brutto miesięcznie, które Jaś dostanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (he, he, czego?) należą mu się jak Rafałowi prezydentura. Warto zauważyć, że wszystkie fajne chłopaki mają fajne imiona – Kuba Wojewódzki, Wojtek Smarzowski, Radek Sikorski. No i zawsze idą za tym fajne pieniądze. I bardzo dobrze, bo za PiS dawali kasę na takie głupie pomysły, jak Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Chełmie. Teraz na szczęście ministerstwo to zabrało.

Jest jeszcze jeden fajny chłopak z fajnym imieniem i fajnymi pieniędzmi – Jurek! Juras! O nim możemy napisać tylko jedno: *Santo subito!*

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock x3

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Trzask kruchego lodu

KRZYSZTOF FEUSETTE

Rafał Trzaskowski pozuje przed lustrem w bokserskich rękawicach (kolor: tęczowe). Pot na czole dowodzi tego, że robił wcześniej pompkę. Wchodzi premier w dresie z napisem „Trzask! I PO wszystkim".

Donald: Jak ci idzie?

Rafał: Bardzo dobrze, podpisy zbieramy...

Donald: Pod czym?

Rafał: No pod listami poparcia.

Donald: Uzbieracie?

Rafał: Pan premier żartuje? Przecież ja jestem faworytem wyborów.

Donald: Aha. A ile miesięcy do nich pozostało?

Rafał (*liczy na palcach*): No pięć.

Donald: A ile straciłeś procent przez miesiąc?

Rafał: No dziewięć...

Donald: Przestań z tym „no"! Nie umiesz normalnie mówić?

Rafał: Umiem.

Donald: To odmień „przerżnąć" w czasie przyszłym.

Rafał: A po co?

Donald: Bo nie umiesz.

Rafał: Taaa, nie umiem...

Donald: To odmień.

Rafał: Ja rżnę...

Donald: Chyba głupa. W przyszłym – powiedziałem!

Rafał: Ja będę rżnąć...

Donald: „Przerżnąć", nie „rżnąć"!

Rafał: Bo ty mnie stresujesz...

Donald: Ja cię stresuję?! Proszę bardzo: ja...

Rafał: Będę przerżnięty? Nie! Ja przerżnę...

Donald: Dobrze! A teraz – czemu?

Rafał: Co „czemu"?

Donald: Czemu przerżniesz?

Rafał: Nie przerżnę. Ja się zmieniam.

Donald: Właśnie o to chodzi, że ludzie już nie wiedzą, jaki jesteś, kim jesteś i czy w ogóle kimś jesteś. Rozumiesz?

Rafał: Kim bym był, gdybym nie rozumiał. Czyli, że co? Mam być... sobą?

Donald: Jak nie chcesz wejść nawet do drugiej tury, to bardzo proszę. Przecież ty z tymi krzyżami, Zielonym Ładem i muzeum LGBT+ jesteś dzisiaj niewybieralny poza metropoliami. A i tam jest gorzej, bo ludzie pamiętają, że Trzaskowski to mój zastępca.

Rafał: Mówiłem, że jestem niezależny...

Donald: To akurat ja mówiłem, bo tobie by przez gardło nie przeszło. Ty potrafisz mówić, że nie ma Tuska w polityce, ale tylko wtedy, gdy Tusk jest w Brukseli. Słyszałeś o sankcjach na Rosję?

Rafał: Oczywiście.

Donald: To dlaczego ruscy sprzedali naszym firmę za 3 zł, żeby zniknąć z listy sankcyjnej, a teraz się okazuje, że Warszawa płaci im za gaz?

Rafał: Ja nic nie wiem. Mnie w ratuszu praktycznie nie ma. Prekampanię miałem, teraz kampanię...

Donald: A nie pomyślałeś, że jak tak zarządzasz Warszawą, to lepiej, żebyś już nic więcej nie dostał do zarządzania? Filmiki o CPK widziałeś? Rozwalcowali cię jak masło za dychę. Całą rodziną pękaliśmy ze śmiechu: Rafalala przeciw, Rafalala za, Rafalala sam już nie wie...

Rafał: Bardzo śmieszne. Na szczęście to nie ja wyzywałem Trumpa od rosyjskich szpiegów.

Donald: Ale ja nie startuję! Ja muszę mieć prawdziwą władzę, a nie żyrandol na kółkach.

Rafał: Kiedyś startowałeś.

Donald: Dawno i nieprawda. Teraz tobie trzeba pomóc. Lewacy myślą, że ich zdradziłeś. Prawacy znają cię na wylot. Musisz pomyśleć, o czyj głos walczysz.

Rafał: No o Polaka. Najlepiej katolika. Ale mi te krzyże wyciągają...

Donald: Na szczęście już niedługo.

Rafał: Co to znaczy?

Donald: To znaczy, że niedługo, jak wyciągną coś takiego, to pożałują, że się urodzili. Autor wpisu do pierdla, portal zawieszony, a to tylko na początek. Musimy ci jakoś pomóc. Osobiście uważam tak jak Hołownia – że się nie nadajesz. Niestety złośliwe wiatry historii sprawiły, że dziś jedziemy na jednym wózku i jeśli nie chcemy zamienić go na taczkę, muszę cię dowieźć na Krakowskie Przedmieście.

Rafał: Ja wolę Belweder. Albo wybuduję coś sobie...

Donald: Do jasnej cholery! To ja się zastanawiam, jak cię za uszy przeciągnąć do drugiej tury, żeby to się chociaż dało jakoś sfałszować, a ty sobie urządzasz rezydencję? Skup się, to ci powiem, co mówić, jak cię zapytają o cenzurę. Po pierwsze nasza ustawa wcale nie jest nasza, a jak Gawkowski z lewicy mówi, że to jego, to niech tak ludzie myślą.

Rafał: A co konkretnie wyłączymy?

Donald: To, co będzie konieczne w warunkach demokracji walczącej. Nie może być tak, że strategiczna spółka TVN mówi coś innego niż ludzie w internecie. Albo społeczeństwo zrozumie, na czym musi dziś polegać dziennikarstwo w Polsce, albo niech sobie pisze esemesy. Proszę bardzo, tego nie zabraniamy. Ale też nie do 10 osób z taką samą treścią...

Rafał: No chyba że „Cała Polska naprzód"...

Donald: Nie wiem, kto ci to hasło wymyślił, ale jest głupsze niż ministerstwo klimatu. „Naprzód" to się woła do mięsa armatniego, a z ciebie jest taki Braveheart Waleczne Serce, jak z „Bobasa" pełnomocnik.

Rafał: To jest okrzyk bojowy!

Donald: Bardzo dobrze. Ale samym krzyczeniem nikogo nie porwiesz. Musisz mieć ideę.

Rafał: Mam!

Donald: Jaką?

Rafał: Chcę wygrać!

Donald: Czemu?

Rafał: Żeby być prezydentem!

Donald: Ale po co?

Rafał: Żeby... żeby... dobra, powiem ci. Jak dziewczyny wołały na mnie „Dupiarz" albo „Wołowy", to im powiedziałem, że jeszcze się zdziwią, jak „Dupiarz" zostanie głową państwa. No i daleko nie jest, prawda?

Donald: Chyba od Kidawy. A tak zmieniając temat: masz może telefon do Sikorskiego?

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Poszły konie po betonie

Pierwszego dnia oficjalnego wyścigu prezydenckiego Trzaskowski zafundował sobie i wyborcom koszmarny plagiat

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia podpisał postanowienie o zarządzeniu wyborów prezydenckich. Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami wskazał 18 maja 2025 r. jako termin pierwszej tury. „Zaczyna się kampania wyborcza" – ogłosił. A następnie sam rozpoczął kampanię od nieco zaskakującej publicznej deklaracji, że rząd Donald Tuska, w którym zasiada Trzecia Droga, z niczym sobie nie radzi. „Jako rząd nie dowozimy wielu rzeczy i robimy je źle. Rozliczenia, to dramat jak to idzie. Duże projekty inwestycyjne, ochrona zdrowia. To wymaga dużo pracy" – mówił na swoim lajfie Hołownia. Miał jednak dla wyborców nagrodę pocieszenia: „Bądźmy realistami, gdyby nie my, to PiS byłby trzecią kadencję".

Biorąc pod uwagę coraz większe rozczarowanie nabitych w 100 konkretów Polaków, jeszcze chwila, a większość społeczeństwa będzie marzyła o powrocie PiS do władzy. Nawet krytyczna wobec Prawa i Sprawiedliwości gazeta.pl piórem Grzegorza Sroczyńskiego podsumowała: „Po roku rząd KO-Lewica-TD ma tak kiepskie notowania, jak pisowska władza po ośmiu latach". A dlaczego? „Gabinet Tuska produkuje momentami taki chaos, że okres pandemii wydaje się okresem względnego porządku, a zamykanie i otwieranie lasów pokazem zegarmistrzowskiej precyzji. Raz kredyt »zero procent« jest, raz go nie ma, potem na chwilę znowu jest, potem znika. Raz orzeczenia Izby Kontroli Sądu Najwyższego obowiązują, a za chwilę nie obowiązują. Jednego dnia porodówki w małych miastach minister Leszczyna likwiduje, drugiego dnia nie likwiduje. Raz CPK to »pilnowanie łąki pod Baranowem, he, he«, a raz wspaniały projekt rozwojowy pana Laska" – wylicza Sroczyński. A oszukani wyborcy są tym coraz bardziej zmęczeni.

Podobnie jak kolejnymi przemianami Rafała Trzaskowskiego, który już chyba sam nie wie, kim jest i co myśli. Za chwilę gotów obiecać, że w tym roku już na pewno pójdzie w Marszu Niepodległości, byle zdobyć choć kilku wyborców. Jednak nie zyskuje ich, a traci. I choć partyjni koledzy wiceszefa PO zapewniają, że Trzaskowski bardzo chce wygrać te wybory, zupełnie co innego mówi zblazowane lico włodarza stolicy, który odpowiadając na konferencjach i spotkaniach na pytania wyborców i dziennikarzy, wydaje się przeżywać fizyczne katusze. Cała jego mowa ciała i wyraz twarzy sygnalizują: „Jeszcze jedno pytanie?! Litości!".

Ten umęczony kampanią już na samym jej starcie kandydat pierwszego dnia oficjalnego wyścigu prezydenckiego zafundował sobie i wyborcom koszmarny plagiat. Trzaskowski zamieścił w mediach społecznościowych krótki spot, w którym nalewa mleko do kubka z kawą, przez co uwidacznia się wcześniej naniesiony na naczynie napis z datą wyborów prezydenckich 18 maja. Wyborcze wideo prezydenta Warszawy jest kalką spotu byłego brytyjskiego premiera Rishiego Sunaka, który posłużył się tym trikiem dużo wcześniej. I choć byłego premiera UK ciężko traktować jako politycznie dobry wzór do naśladowania, to w tamtym spocie przynajmniej o coś chodziło – o obniżenie składki na ubezpieczenie społeczne. A o co chodzi Trzaskowskiemu? Chyba o to, że najchętniej siedziałby za biurkiem i sączył kawkę. „Bronisław Trzaskowski znowu... nie zaskakuje. Ctrl+c ctrl+v. Czego się spodziewać po leniwym wiceszefie PO i jego specach (od przegranych kampanii) Nitrasie i Tomczyku. Dobra robota panowie. Oby tak dalej" – komentował na X poseł PiS Andrzej Śliwka.

Na starcie kampanii mamy także zamieszanie w Konfederacji, bowiem Grzegorz Braun zadeklarował chęć startu w wyborach, krzyżując szyki Sławomirowi Mentzenowi. „To jest Grzegorz Braun, on może wszystko" – komentowali politycy Konfederacji, których pytałam o tę sytuację.

Za to aż trójkę kandydatów mają wyborcy lewicowi. Naprzeciw siebie stają dawni współprzewodniczący partii Razem: Magdalena Biejat i Adrian Zandberg, a oprócz nich jest jeszcze Piotr Szumlewicz.

Kampanię w niezłej formie zaczyna Karol Nawrocki. Na starcie ma znaczący wzrost poparcia w sondażach i duży wzrost rozpoznawalności. Ale będzie ona długa, wyczerpująca i obfitująca w zwroty akcji. Historia kampanii uczy zaś, że nie można zbyt wcześnie witać się z gąską, bo to się przeważnie źle kończy.

Dorota Łosiewicz

Grenlandia

Klucz do Arktyki

Donald Trump odmówił wykluczenia użycia siły militarnej w celu włączenia Grenlandii do Stanów Zjednoczonych i zagroził nałożeniem bardzo wysokich ceł na Danię, jeśli Kopenhaga stanie mu na przeszkodzie. Stwierdził, że USA potrzebują kontroli nad Grenlandią dla „bezpieczeństwa ekonomicznego". Jego zdaniem to „absolutna konieczność". Jeszcze podczas swojej pierwszej kadencji w Białym Domu Trump zastanawiał się, w jaki sposób Stany Zjednoczone mogłyby kupić tę arktyczną wyspę.

Znaczenie Grenlandii bardzo wzrosło w ostatnich latach. Chodzi nie tylko o jej strategiczne położenie pomiędzy Ameryką i Rosją, lecz także o bogate zasoby surowców mineralnych, które wraz z topnieniem pokrywy lodowej można dziś wydobywać na dużą skalę. Oprócz ropy naftowej i gazu na wyspie znajdują się złoża miedzi, litu, kobaltu i niklu oraz licznych metali ziem rzadkich. Są to surowce szeroko wykorzystywane w transformacji energetycznej i grenlandzkim złożom z zainteresowaniem przyglądają się Chiny, które zmonopolizowały już część rynku zielonych technologii, a niedawno zagroziły ograniczeniem eksportu kluczowych minerałów.

Zanikanie arktycznego lodu otworzyło także wiele nowych szlaków żeglugowych, które skracają podróż z Dalekiego Wschodu do Europy, stając się tym samym atrakcyjną alternatywą dla Kanału Sueskiego. W listopadzie Chiny i Rosja podjęły formalną współpracę, której celem jest kontrola nad arktycznymi szlakami handlowymi. Z tego punktu widzenia położona w pobliżu tych dróg Grenlandia nabiera dużego znaczenia, z jej terytorium można bowiem kontrolować ruch statków, a otaczające ją wody są morską bramą do Ameryki.

Nic więc dziwnego, że Grenlandia odgrywa ważną rolę w amerykańskim systemie obronnym. Amerykanie mają bazę wojskową w Pituffik (dawniej Thule) już od czasów zimnej wojny. Podczas II wojny światowej, gdy Dania była okupowana przez Niemcy, Grenlandia została zajęta przez amerykańskie wojska i zwrócona Duńczykom w 1945 r.

Wyspa, na której duńska kolonizacja rozpoczęła się w XVIII w., stała się częścią Królestwa Danii dopiero w 1953 r. Od 1979 r. jest samorządnym terytorium, ma własną izbę ustawodawczą i dwóch posłów w duńskim parlamencie Folketingu. Kopenhaga nadal kontroluje grenlandzką politykę zagraniczną i obronną.

Na początku roku premier Grenlandii Múte Egede wezwał do ogłoszenia niepodległości wyspy. Jak stwierdził, „historia i obecne warunki pokazały", że współpraca Grenlandii z Danią „nie doprowadziła do stworzenia pełnej równości". Donald Trump najwyraźniej obawia się takiego scenariusza i nie chce dopuścić do tego, aby strategicznie ważna wyspa dostała się pod wpływy Chin lub Rosji.

Konrad Kołodziejski

Fidesz nadal zwycięski

Od kilku tygodni lewicowo-liberalne media na Węgrzech emocjonują się faktem, że w ostatnich sondażach opozycyjna partia TISZA zyskuje największe poparcie wśród potencjalnych wyborców. To duża sensacja, ponieważ od 2006 r. w rankingach popularności nikomu jeszcze nie udało się wyprzedzić Fideszu. Niektóre ośrodki wskazują nawet na 10-proc. przewagę formacji Pétera Magyara nad ugrupowaniem Viktora Orbána. Dlatego część komentatorów widzi w nowym liderze opozycji zwycięzcę najbliższej elekcji parlamentarnej, która odbędzie się wiosną 2026 r.

Weryfikację tych oczekiwań miały przynieść wybory uzupełniające w okręgu Tolna przeprowadzone po śmierci miejscowego posła Fideszu. Zakończyły się one zdecydowanym sukcesem partii Orbána. Kandydatka obozu rządowego Krisztina Csibi otrzymała ok. 64 proc. głosów, podczas gdy pozostali kandydaci łącznie ok. 36 proc. Skąd wzięła się tak dramatyczna różnica w zestawieniu z ogólnokrajowymi sondażami?

Okazuje się, że badania opinii publicznej nie są miarodajne dla wyniku elekcji, ponieważ nie odzwierciedlają specyfiki mieszanej, większościowo-proporcjonalnej ordynacji wyborczej na Węgrzech. Na 199 członków Zgromadzenia Narodowego aż 106 wybieranych jest tam w okręgach jednomandatowych, natomiast tylko 93 wchodzi do parlamentu z listy krajowej. Zdobycie samodzielnej większości konstytucyjnej przez Fidesz w czterech kolejnych wyborach z rzędu było możliwe jedynie dzięki miażdżącemu zwycięstwu w JOW. Nie pokazywały tego żadne krajowe sondaże, ale w 2010 r. w okręgach jednomandatowych partia Orbána uzyskała 98 proc. mandatów, w 2014 – 90 proc., w 2018 – 86 proc., a w 2022 – 82 proc.

Wybory uzupełniające w okręgu Tolna znów ukazały siłę prawicy na poziomie lokalnym. TISZA, która powstała niedawno, nie ma struktur w terenie – w odróżnieniu od Fideszu, który w wielu regionach zbudował potężne zaplecza społeczne, finansowe i medialne. Pogłoski o nieuchronnej porażce Orbána są więc na razie przedwczesne.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Fot. Shutterstock Fot. Northfoto/Shutterstock.com

Austria

Zerwany kordon sanitarny

Dokładnie 100 dni po wyborach parlamentarnych w Austrii prezydent Alexander Van der Bellen powierzył liderowi Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) Herbertowi Kicklowi [na zdj.] misję utworzenia rządu.

Nie przyszło mu to łatwo. Van der Bellen, wieloletni polityk Zielonych, nie pała sympatią do FPÖ, którą uważa za partię skrajnie prawicową i populistyczną. Ponadto zlecając Kicklowi utworzenie rządu, miał zapewne jeszcze w pamięci incydent sprzed dwóch lat, kiedy lider partii nazwał go „stetryczałą mumią". Tyle że po pierwsze ugrupowanie Kickla wygrało wybory, uzyskując 28,8 proc. głosów, a po drugie próba utworzenia koalicji z pominięciem FPÖ (złożonej z chadeków z ÖVP, socjaldemokratów z SPÖ i liberalnych NEOS) nie powiodła się. A podczas gdy negocjacje nad tzw. koalicją cukierkową (Zuckerlkoalition) – od kolorów papieru, w który w Austrii zawinięte są popularne słodycze – jeszcze trwały, poparcie dla FPÖ skoczyło do 37 proc. Przyspieszone wybory wydawały się więc gorszym rozwiązaniem niż zerwanie kordonu sanitarnego i podjęcie próby utworzenia rządu z Kicklem.

Europejskie media, szczególnie te w sąsiednich Niemczech, są przerażone i przestrzegają przed oddaniem władzy „w ręce polityka odwołującego się do żargonu nazistów" („Frankfurter Rundschau"). Ten żargon gazeta wywnioskowała z zapowiedzi Kickla, że chce być „kanclerzem ludowym". Mimo histerii nikt nie spodziewa się jednak takich sankcji Brukseli wobec Austrii, jakie spotkały Polskę za rządów PiS. „Czy uśmiechną się, gdy będą pozować do zdjęć z Kicklem? Raczej nie. Ale to będzie cała skala ich protestu" – powiedział jeden z unijnych dyplomatów portalowi Politico. Według niego kordony sanitarne wzniesione przeciwko prawicy „kruszą się".

Socjaldemokraci i ludowcy przez dekady rządzili Austrią, a problemy takie jak masowa imigracja z zagrożeniem terrorystycznym w tle narastały. Tymczasem Kickl obiecuje przekształcenie kraju w „twierdzę" i wyborcy najwyraźniej są gotowi dać mu szansę. Niektórzy zresztą uważają, że czar FPÖ szybko pryśnie, bo Austria stoi przed trudnym zadaniem sanacji finansów publicznych. Niech sobie porządzą i się skompromitują – mówią. Już raz tak było, w 2017 r., gdy na fotelu kanclerza zasiadał Sebastian Kurz, a FPÖ uczestniczyła w rządzie. Wtedy partię pogrążyło wiele skandali i poparcie dla niej spadło do 11 proc. Jak będzie tym razem, okaże się już niebawem.

Aleksandra Rybińska

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Koniec przyjaźni z talibami

Pakistan

Afganistan i Pakistan znalazły się na krawędzi wojny. W minionym roku w zamachach bombowych w Pakistanie zginęło 900 osób. Zaobserwowano również nasilenie ataków islamistów na personel działających w tym kraju chińskich firm, co może mieć poważne konsekwencje gospodarcze dla Islamabadu.

Pod koniec roku afgańscy talibowie rozpoczęli ataki artyleryjskie na pakistańskie posterunki graniczne. Władze w Kabulu oświadczyły wówczas, że zniszczono kilka „punktów oporu", a na wypadek ewentualnego rewanżu na granicę wysłano batalion sił specjalnych. Islamabad nie odpowiedział zbrojnie, ale od tego czasu na granicy utrzymuje się napięcie, obie strony przeprowadzają dyslokację zaś swoich oddziałów.

Akcja talibów została wywołana wcześniejszymi atakami pakistańskiego lotnictwa na bazy separatystów z ruchu Tehreek-e-Taliban Pakistan (TTP) we wschodnim Afganistanie, którzy blisko współpracują z talibami. Celem TTP jest obalenie rządu w Islamabadzie, a jednym z jego „dokonań" było zamordowanie w 2009 r. Piotra Stańczaka, polskiego geologa pracującego w Pakistanie.

Zdaniem Kabulu pakistańskie naloty na bazy TTP spowodowały śmierć 46 niewinnych osób, głównie kobiet i dzieci, dlatego nie mogły pozostać bez odzewu. „Wysłaliśmy na granicę kilka batalionów mudżahedinów i jesteśmy gotowi na wszystko. Nie po to wykopaliśmy NATO z naszego kraju, aby pozwolić sobie na upokorzenia i groźby. Mamy w nosie to, że Pakistan posiada broń atomową. Z nami jest Bóg i nasza wiara" – stwierdził rzecznik afgańskiego MON.

Incydenty graniczne między Afganistanem a Pakistanem mają także szerszy, geostrategiczny kontekst. Pakistan przez wiele lat nieoficjalnie wspierał talibów i miał nadzieję, że po przejęciu przez nich władzy w Kabulu będzie odgrywał większą rolę w regionie. Tak się jednak nie stało. Nowa władza w Afganistanie poszła zupełnie inną drogą i postawiła na zbliżenie z odwiecznym rywalem Pakistanu – Indiami oraz rozpoczęła dialog z Rosją Putina. Potwierdzeniem tego zwrotu było m.in. niedawne spotkanie w Katarze afgańskiego ministra spraw zagranicznych Amira Khana z indyjskim wiceministrem Vikramem Misrim. Jednym z tematów rozmów mogły być rosyjskie projekty infrastrukturalne, w tym rurociągi do Indii, które muszą przebiegać przez Afganistan. Taki obrót spraw jest nie do przyjęcia w Pakistanie, co wskazuje na to, że pokój w regionie nie wróci zbyt szybko.

Marek Budzisz

Fot. Northfoto/Shutterstock.com

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Trump 2.0: Nadzieja na nowy porządek i polskie rozterki

47. prezydent Stanów Zjednoczonych daje Europie jasny sygnał: albo zbudujecie silne gospodarki narodowe, zdolne do konkurowania na globalnym rynku, albo staniecie się przestarzałym dodatkiem do wielkich graczy, takich jak Chiny czy USA

Donald Trump w wielkim stylu powraca właśnie do Białego Domu, przypominając, że polityka to nie miejsce dla słabych graczy.

Druga kadencja republikańskiego lidera niesie szansę na odbudowę globalnego porządku, w którym Stany Zjednoczone grają pierwsze skrzypce, a Europa ma szansę na nowo zdefiniować swoją rolę.

W inauguracji uczestniczą czołowi prawicowi liderzy, co pokazuje, że Donald Trump buduje globalną koalicję wokół wartości narodowych, suwerenności i silnej gospodarki. Polska pod rządami uśmiechniętej koalicji Donalda Tuska wylądowała na marginesie tej zmiany.

Polityka „America first" Donalda Trumpa, krytykowana przez liberalne media, to w rzeczywistości jasny komunikat: Ameryka dba o swoje interesy, a także oferuje uczciwe zasady współpracy dla tych, którzy są gotowi je zaakceptować. Trump stawia na wzmacnianie przemysłu, wspieranie innowacji i uniezależnienie od Chin – to cele, które powinny inspirować również Europę. Jednak pod wodzą Tuska Polska nie potrafi znaleźć swojego miejsca w tej układance.

Na inauguracji drugiej kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa nasz kraj jest reprezentowany przez byłego premiera Mateusza Morawieckiego, co trudno uznać za przypadek. Trump nie zapomniał o sympatii, jaką darzył poprzedni polski rząd, który w pełni rozumiał znaczenie silnych relacji transatlantyckich. Mateusz Morawiecki potrafił skutecznie przekonywać amerykańskich partnerów do inwestycji w polski przemysł i energetykę, budując realne sojusze na arenie międzynarodowej.

Europa zmagająca się z gospodarczymi wyzwaniami powinna dostrzec w drugiej kadencji Trumpa szansę, a nie zagrożenie. Donald Trump jasno mówi o konieczności budowy silnego przemysłu, uniezależnienia się od chińskich technologii i inwestowania w bezpieczeństwo energetyczne – to wartości, które powinny się stać priorytetami także dla Unii Europejskiej. Niestety UE wciąż boryka się z nadmiernymi regulacjami, Komisja Europejska broni zielonej transformacji oderwanej od realiów gospodarczych i centralizacji władzy w rękach biurokratów.

47. prezydent Stanów Zjednoczonych daje Europie jasny sygnał: albo zbudujecie silne gospodarki narodowe, zdolne do konkurowania na globalnym rynku, albo staniecie się przestarzałym dodatkiem do wielkich graczy, takich jak Chiny czy USA. Polska, zamiast dryfować w cieniu niemiecko-francuskiej osi, powinna wykorzystać drugą kadencję Trumpa jako okazję do umocnienia swojej pozycji w regionie.

Dla Polski, która potrzebuje silnego przemysłu i inwestycji w nowe technologie, priorytetem powinno być odbudowanie stosunków z administracją Donalda Trumpa. Silne relacje z Waszyngtonem, inwestycje w przemysł obronny, surowce strategiczne i niezależność energetyczna – to cele, które mogą uczynić z Polski nie tylko lidera regionalnego, lecz także kluczowego partnera dla Stanów Zjednoczonych.

Jednak aby to osiągnąć, potrzebne są odwaga i wizja, których rząd Tuska po prostu nie posiada. Głośno i wyraźnie mówią za to o nich były polski premier i nowy szef Europejskich Konserwatystów i Reformatorów Mateusz Morawiecki oraz kandydat na prezydenta RP Karol Nawrocki. Wybory prezydenckie to szansa na powrót do polityki budowania silnej pozycji Polski. Nie możemy jej zmarnować.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Reglamentacja słowa

Marta Kaczyńska-Zielińska

Rządowy projekt przepisów nowelizujących ustawę o świadczeniu usług drogą elektroniczną, które implementują do polskiego porządku prawnego unijne rozporządzenia, zakłada, że prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej mógłby bez udziału sądu wydawać platformom internetowym nakazy blokowania treści naruszających dobra osobiste lub wypełniających znamiona czynu zabronionego. Mógłby to robić w terminie 2–21 dni bez obowiązku uprzedniego poinformowania autora treści poddawanych cenzurze.

Przedstawiciele obecnej koalicji rządzącej publicznie deklarują wolę odebrania koncesji jednej z prywatnych stacji telewizyjnych, która według badań cieszy się większą oglądalnością zarówno od nielegalnie przejętej Telewizji Polskiej S.A. w likwidacji, jak i niejednokrotnie od stacji z ul. Wiertniczej, wpisanej przez aktualnego premiera na listę inwestycji strategicznych dla państwa.

Trzeba też wspomnieć, że trwają prace nad nowelizacją Kodeksu karnego, która ma penalizować tzw. mowę nienawiści i dławiąc wszelkie przejawy nawet najbardziej zdroworozsądkowej krytyki, sprzyjać forsowaniu rewolucji kulturowej.

Polska jest państwem, w którym szczególnie ceniona jest wolność, a w szczególności szeroko pojęta wolność słowa. Konstytucja RP pozycjonuje wolność prasy i innych środków społecznego przekazu jako jedną z zasad ustrojowych. Art. 14 ustawy zasadniczej stanowi, iż Rzeczpospolita Polska zapewnia wolność szeroko rozumianej prasy i innych środków społecznego przekazu, a więc m.in. mediów społecznościowych. Zasada ustrojowa z art. 14 jest ściśle powiązana z wolnością wypowiedzi gwarantowaną przez art. 54 konstytucji, który stanowi, że każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu, czyli uzależnienie opublikowania lub wyemitowania określonego przekazu od uprzedniego przyzwolenia organu władzy publicznej, oraz koncesjonowanie prasy są zakazane.

Państwo demokratyczne może bowiem funkcjonować i rozwijać się wyłącznie z zachowaniem pluralizmu poglądów oraz realnej możliwości ich prezentowania w przestrzeni publicznej. W orzecznictwie Trybunału Konstytucyjnego z 2008 r. podkreślono, że wolność prasy jest elementem zasady zwierzchnictwa narodu.

Wolność słowa jest standardem norm cywilizacyjnych. Ograniczenia wolości wypowiedzi funkcjonują w wielu państwach na świecie, które jednak powszechnie są uznawane za ustroje niedemokratyczne, a nawet niezachowujące pozorów, by uchodzić za respektujące zasadę pluralizmu.

Jeden z najsurowszych systemów kontroli mediów społecznościowych funkcjonuje w Chinach. Platformy takie jak Facebook, X i Instagram są blokowane, a rząd monitoruje i cenzuruje krajowe media społecznościowe, takie jak WeChat i Weibo. Publikowane treści są filtrowane, a użytkownicy mogą zostać ukarani za rozpowszechnianie informacji, które rząd uważa za fałszywe lub antypaństwowe.

W Korei Północnej tylko niewielka grupa ludzi ma dostęp do internetu, a media społecznościowe są zakazane. Rząd ściśle kontroluje wszystkie informacje. Korzystanie z mediów społecznościowych może skutkować karą. Lokalny intranet, Kwangmyong, oferuje bardzo ograniczony i ściśle monitorowany wybór treści.

W Iranie dostęp do wielu platform mediów społecznościowych jest ograniczany z obawy przed zagrożeniem bezpieczeństwa moralnego i narodowego. Rząd monitoruje media społecznościowe i aresztuje osoby za podawanie treści uznanych za antyrządowe lub niemoralne.

W Arabii Saudyjskiej media społecznościowe są kontrolowane, a osoby krytykujące rodzinę królewską, politykę rządu lub rozpowszechniające informacje sprzeczne z wartościami islamskimi są pozbawiane wolności.

W Rosji obowiązuje wymóg przechowywania przez platformy danych użytkowników w kraju i usuwania treści uznawanych przez rząd za nielegalne, takich jak wezwania do protestów. Gabinet może blokować platformy, które nie stosują się do tych przepisów. Możliwe jest odcięcie dostępu do globalnych sieci w przypadku potencjalnego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego.

REKLAMA

02/0125/F

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Walizka Anki Olej-Kobus

„AfrykAnki", przewodniczki wypraw po Afryce, pisarki

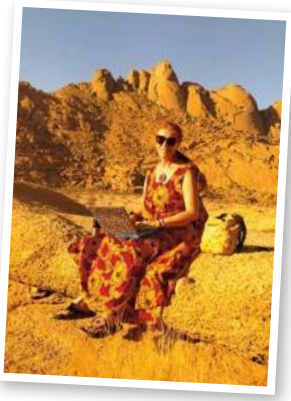

Pierwszy raz pojechałam do Afryki, gdy miałam siedem lat. To była Nigeria, gdzie mój tata pracował na kontrakcie. Drugi raz, już jako 30-letnia „kobieta pracująca", trafiłam do Etiopii, a potem z rodziną do Namibii. Od tamtej pory regularnie wracam w różne zakątki Afryki, a z tych fascynacji, opowieści i zdjęć powstała książka o jej zwierzętach, która stała się biblią wszystkich osób, które jadą na safari. Myślę, że jeżdżenie po tym kontynencie nieprędko mi się znudzi, bo to jest wszechświat – jak pisał Kapuściński, „kosmos różnorodności", niesamowitych ludzi z ciekawymi życiorysami. Im więcej wiem, tym więcej widzę, ile jeszcze nie wiem. Każda podróż, nawet gdy jadę w to samo miejsce, jest zachwytem i odkrywaniem czegoś nowego. Afryka daje dużo lekcji, m.in. otwartości, zrozumienia, tolerancji, pokory, cierpliwości, ale przede wszystkim leczy z europejskiego przekonania, że panujemy nad czymkolwiek. Tam zasadniczo nie panujemy. Jestem pilotką, przewodniczką wypraw. Zgłaszają się do mnie różne firmy i wynajmują na wyjazdy. Jako „bush baby" (to gatunek lemura, ale oznacza też kogoś z buszu) najlepiej czuję się w terenie, zarówno gdy prowadzę wyprawy z namiotami i biwakami przy ognisku, jak i z noclegami w pięknych lodge'ach. Odnajduje się w tych miejscach, bo wszystkie są bardzo blisko fantastycznej natury.

PRZEWODNIK „ZWIERZĘTA AFRYKI"

Owoc moich podróży i nieoficjalny must have każdej osoby udającej się do Afryki. Jest to jedyna taka książka, która pokazuje zwierzęta – od słoni po mrówki – przez związane z nimi historie, ciekawostki i fakty. Chciałabym, żeby ludzie poczuli zachwyt, widząc bogactwo świata przyrody i dostrzegli jego misterny, a zarazem kruchy ekosystem.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

KAPELUSZ

Ma 16 lat i jest coraz bardziej sfatygowany, ale bardzo go kocham. Został kupiony w sklepie dla Afrykanerów w Namibii. Siatka chłodzi głowę, rondo chroni kark przed słońcem, poza tym kobieta zawsze wygląda dobrze w kapeluszu.

HAMAK

Spanie w nim daje fantastyczne poczucie bliskości natury. Hamak Bushmen, choć ma moskitierę, to nie odcina naszego zapachu od dzikich zwierząt. Dlatego tam, gdzie są wielkie koty lub do obozu mogą wejść słonie, śpimy w namiotach.

POMPKA DO WYSYSANIA JADU

Jadu węży, owadów i skorpionów. Zasada pracy przypomina działanie bańki na podciśnienie. Na jad węży jeszcze jej nie stosowałam, ale skorpionów już tak. Działa! Na safari jest takie powiedzenie: „Spodziewaj się niespodziewanego", dlatego uważam ten zestaw za obowiązkowy, choć myślę, że naprawdę trzeba mieć pecha, żeby ugryzło nas coś jadowitego.

MOJA KOSZULA

Zakupiona w sklepie Helikon-Tex, ale obszyta przeze mnie afrykańskimi motywami. Jest lekka, przyjemna w dotyku i przewiewna, co przy wysokich temperaturach jest bezcenne. Dodatkowo chroni przed komarami!

SANDAŁY

Wygodne sandały to podstawa, a ja mam takie z oryginalnymi ozdobami, które pierwotnie odcięłam od masajskich sandałów wykonanych z krowiej skóry, zbyt twardej na moje stopy.

RACJE ŻYWNOŚCIOWE

Są takie miejsca na safari, gdzie nie możemy zabrać jabłek czy suchej krakowskiej, bo przyjdą słonie lub lwy i zrobią nam demolkę w samochodzie. Racje żywnościowe nie kuszą żadnych zwierząt, są wygodne i można je długo przechowywać.

BIŻUTERIA

Lubię wyglądać kobieco i obalam mit, że jeżdżąc na sawannę, trzeba mieć wizerunek super twardzielki komandoski, w związku z czym zabieram kolczyki, bransoletki, naszyjniki i wisiorki, w tym biżuterię do przywabiania lwów. Oczywiście wszystko kupione na afrykańskich ryneczkach.

SUKIENKI

Należę do tego rodzaju przewodniczek, które chodzą w sukienkach. Zabieram cztery pary... kiedy się ograniczam. Specjalne rozcięcie w kieszeni daje mi dostęp do pasa biodrowego.

PAREO

Pierwsza rzecz, którą pakuję. Pareo to kawał tkaniny, który może służyć jako obrus, prześcieradło, kołdra, ręcznik, szalik, sukienka, a także jako zasłona do okna. Innymi słowy, zastosowań jest wiele, a ja mam kilka takich pareo z cieńszego i grubszego materiału na różne pory roku.

PAS BIODROWY

Chodzę w nim od rana do wieczora, także w nim śpię. Zdejmuję tylko na czas kąpieli. Wzmocniony metalową linką sprawia, że mój telefon, dokumenty i pieniądze są bezpieczne.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Materiały prasowe AfrykAnka.pl

eprasa.pl 8e99d6d4d0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wagon z minami i bezpieczeństwo

Jan Pietrzak

Polska objęła tzw. prezydencję w UE pod hasłem: „Bezpieczeństwo Europy". Aby uczcić to epokowe wydarzenie, Wojsko Polskie pod dowództwem Kosiniaka-Kamysza zgubiło wagon z minami. Uwaga! Nie chodzi o miny mimiczne, lecz o miny wybuchowe. Znalezisko odkryli na bocznicy poszukiwacze skarbów z czasów Hitlera. Są tacy pasjonaci, którzy niezmordowanie poszukują złotego pociągu, bursztynowej komnaty, kolekcji abażurów z ludzkiej skóry wykonanych w pracowni Auschwitz i innych hitlerowskich ciekawostek. To moda ostatnich lat.

Natomiast finansowe bezpieczeństwo rządu ma zapewnić min. Domański, przechwytując subwencję PiS. I co mu zrobicie, pisowczycy? Premier, który był już „królem Europy", nie boi się was! Teraz jest półrocznym „prezydentem" Brukseli i wszystkich ogra! No może z wyjątkiem Donalda Trumpa. Na wszelki wypadek trwają prace nad przywróceniem w Polsce cenzury, żeby mocniej się nie bał. U niego stany lękowe łatwo przeradzają się we wściekłość. Przypadek znany psychiatrii. Frustracja z powodu braku zdolności zapobiegania obsesyjnym myślom i kompulsywnym zachowaniom. Taka jest cena wodzostwa.

Na szczęście są wspólnicy gwarantujący rekonwalescencję. Np. „niewielka orkiestra codziennej niemocy" stała się ostatnią deską ratunku dla służby zdrowia kobiety Leszczyny. Jak wiadomo, na zdrowie zawsze jest zbyt mało pieniędzy, a podskakujący dyrygent w krótkich majtkach ma taki talent, że jakoś gromadzi tę kasę. Jemu dają! Dlatego trzeba mu oddać ten resort, co zapewni bezpieczeństwo zdrowotne. Może nie w całej Europie, ale w Sopocie na pewno! Od czegoś trzeba zacząć!

My możemy jedynie pokornie prosić – niech zabezpieczą powodzian na Dolnym Śląsku. Niech złapią tych, co ukradli Polskie Radio i TVP, co likwidują kopalnie, oddają PKP Cargo Niemcom. Niemcy nieraz udowodnili, że po polskich torach potrafią przewozić transporty oryginalnych ładunków.

Obecna władza głosząca postępowe idee klimatyzmu-ekologizmu w jednym przypadku odstąpiła od ochrony przyrody: w polskich lasach postanowiła rozstawić tysiące elektrycznych wiatraków zwiezionych ze złomowiska pod Teutońskim Lasem. Używane, więc dużo tańsze, ale skutecznie płoszące z lasów ptactwo i zwierzynę. Bezpieczeństwo żubrów niekiedy koliduje z bezpieczeństwem byków, „takich, jak oni je rozumieją", ale czego się nie robi dla wypróbowanych przyjaciół.

Kłopot w tym, że w ostatnich latach z rozumowaniem nie idzie zbyt dobrze, więc bądźmy gotowi na niespodzianki... Na początek trzeba się zastanowić, o czyje bezpieczeństwo mamy głównie dbać, Berlina czy Warszawy.

Siewcy nienawiści walczą z hejtem

Samuel Pereira

Izabela M. z Torunia obraziła nie tego, kogo trzeba. 66-latka napisała na Facebooku komentarz: „Giń, człeku", dodając uwagi o majątkach Jerzego Owsiaka i okularach „noszonych przez LGBT". Dwa dni później policja zatrzymała ją, skonfiskowała telefon, a prokurator zakazał jej wypowiedzi publicznych. Kobiecie grożą nawet trzy lata więzienia za „groźby karalne". W ten sposób starsza pani, może niezbyt elegancka w słowach, stała się ofiarą nadgorliwości władzy.

Już samo niezrozumienie kontekstu użytych słów pokazuje brak podstawowej wiedzy tych, którzy wzięli ją na celownik. „Giń, człeku" brzmi archaicznie, przypomina literackie zwroty lub ludowe zaklęcia, których źródeł możemy doszukiwać się w baśniach. Choć dosadne, jest raczej wyrazem frustracji niż rzeczywistego zagrożenia. Jak to jest, że wulgaryzmy takie jak „wyp...aj" czy „je...ać" nie tylko nie wywołują w obecnie rządzących kręgach sprzeciwu, lecz budziły nawet zachwyt.

Spójrzmy na inne przypadki. Kiedy mężczyzna z Krakowa pisał do ministra Ziobry o „martwych punktach" na posesji i w kontekście jego oraz jego rodziny, o „skończeniu jak Ceaușescu", prokuratura uznała to za „niejednoznaczne treści". Autor został przesłuchany jedynie jako świadek. Gdy aktywistka Katarzyna Augustynek znana jako Babcia Kasia, wykrzykiwała na wiecu: „Jarek, zaje...my cię niedługo", nie tylko nie skończyło się to dla niej reakcją porównywalną do tego, co zrobiono Izabeli z Torunia, lecz w ogóle żadnymi konsekwencjami. Aparat państwowy działa z taką gorliwością wobec słabych, bo zamachnęli się na silnych i wpływowych, a nagle traci zapał wobec swoich krzykaczy i hejterów wspieranych przez prorządowe media.

Sprawa Izabeli M. to nie tylko przykład nadgorliwości, lecz także przestroga. Dziś powodem zatrzymania może być „giń, człeku", jutro każdy niewygodny komentarz. Gdy prawo staje się narzędziem uciszania, a nie ochrony, tracimy wszyscy. Wolność będzie odchodzić bez hałasu, no może przy dźwiękach pięknych haseł o trosce, szacunku i walce z nienawiścią.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Odbudować mosty, które spalono...

Jak doskonale wiemy, zmiany w polityce mają swój rytm. Czasami zachodzą z hukiem, a czasami wkradają się cicho, modyfikując układ sił w sposób, który dostrzegamy dopiero z perspektywy czasu. Ten tydzień może być momentem zwrotnym dla konserwatystów po obu stronach Atlantyku. Mateusz Morawiecki jako nowy lider Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów objął stery na europejskiej prawicy w kluczowym momencie – nie tylko dla Unii Europejskiej, lecz także w kontekście zmieniającej się sceny międzynarodowej. Jego wybór na szefa prawicy w Europie zbiegł się bowiem z wielkim powrotem Donalda Trumpa do Białego Domu, co może dać nam zupełnie nowy impuls.

Premier Morawiecki to pragmatyk, który rozumie, że dziś Europa potrzebuje nie sloganów, ale konkretów. Tymczasem Trump, ze swoją polityczną energią, może według mnie na nowo ożywić relacje transatlantyckie. Taka kombinacja – spokojne planowanie i dynamiczne działanie – daje nadzieję na zmiany w kwestiach, które od lat blokują rozwój Starego Kontynentu. Europa nie może dłużej przeć tam, gdzie centralizacja czy kolejne narzucane regulacje są receptą na każdy kryzys. Potrzeba rozsądku w podejściu do problemów takich jak migracja, kryzys energetyczny czy kosztowne plany Zielonego Ładu, które dotykają zwłaszcza tych mniej zamożnych.

Wracając do Białego Domu, Trump będzie szukał partnerów szczerych i godnych zaufania. To przecież oczywiste, że nie zbuduje relacji z kimś, kto teraz za sztucznym uśmiechem ukrywa swoje prawdziwe intencje, a jeszcze niedawno z zimną krwią przypisywał mu rolę „ruskiego agenta" i przystawiał polityczny pistolet do pleców. Donald Tusk, który jeszcze kilka miesięcy temu chętnie i bezpardonowo atakował Trumpa, dziś może się do niego szeroko uśmiechać, ale to za mało, by odbudować zaufanie zburzone wcześniejszym nieodpowiedzialnym podejściem do relacji z USA. Tylko z litości nie będę rozwijać tematu, że po wygranej Trumpa rząd w Warszawie dalej uparcie uważa, że naszą ambasadą w Waszyngtonie musi kierować Klich... który diagnozował u Trumpa choroby psychiczne.

Dlatego tym bardziej to Mateusz Morawiecki, choć nie sprawuje teraz rządów w Polsce, obejmując przywództwo na europejskiej prawicy ma szansę stać się głosem Polski i Europy gotowej na dialog. Nie tej, która tonie w utopijnych wizjach centralizacji, ale tej szukającej rozwiązań realnych i bliskich potrzebom obywateli. To głos rozsądku, który może się przebić przez polityczne podziały, budując mosty tam, gdzie inni z premedytacją je palili.

Historia tworzy się na naszych oczach – teraz jest czas, by pokazać, że konserwatyzm może być odpowiedzią na wyzwania współczesnego świata. I jeśli ta współpraca między Europą a Ameryką nabierze tempa, być może naprawdę zbliżymy się do tego, by nie tylko Amerykę, lecz także Europę znów uczynić wielką.

Arkadiusz Mularczyk

Miłość na bezdechu

Z aktorką Matyldą Giegżno rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czego nauczyła się pani od Agaty, bohaterki filmu „Światłoczuła"?

Matylda Giegżno: Miłości do siebie, asertywności i spokoju. Nieprzejmowania się tym, co ludzie myślą, jak patrzą, tylko robienia swojego z miłością i empatią.

Agata jest osobą niewidomą, ale wydaje się, że nie przyjmuje tego do wiadomości.

Pracuje w ośrodku dla trudnej młodzieży, nurkuje na bezdechu, co jest sportem ekstremalnym, ale jej to nie przeszkadza w osiąganiu bardzo dobrych wyników. Bierze też udział w sesjach zdjęciowych (czasem tak niezwykłych – także dla mnie – jak ta realizowana nocą w lesie). Podczas jednej z nich poznaje Roberta, fotografa.

„Światłoczuła" to love story, ale nie tylko.

Ze strony obu postaci, także Roberta [granego przez Ignacego Lissa – przyp. red.] pojawia się dojrzałość i gotowość na uczucie. Agata angażuje się w tę miłość, bo wie, czego chce; nie oddaje jej całej kontroli, jest poukładana. Godzi się na to uczucie, bo ma na nie w sobie przestrzeń.

Co było największym wyzwaniem w graniu Agaty?

Zaufanie sobie. A także – gdy się odcina zmysł wzroku – zaufanie drugiej osobie. Pamiętam pierwsze wyjście na ulicę z zasłoniętymi oczami i laską. Wokół było wiele bodźców i hałasu, że ciężko było się odnaleźć. Pojawiło się też nowe doświadczenie. Kiedy nie widzisz świata wokół siebie, interpretujesz go przez swoje zmysły i uczucia. Odbierasz go na własnych zasadach.

Fot. Kino Swiat

eprasa.pl 8e99d6d4d0

I po szkodzie głupi

Skąd w narodzie taka niechęć do wyciągania wniosków z popełnionych wcześniej błędów? Czy zawdzięczamy to obniżaniu się naszego IQ z pokolenia na pokolenie o 7 pp.? A może pod presją przemocy (również tej psychicznej) ulegamy syndromowi sztokholmskiemu i kapitulujemy przed swoimi prześladowcami? Czy to możliwe, że w świecie medialnych fake newsów i załganego hejtu stara goebbelsowska maksyma (ta o kłamstwie powtórzonym tysiąc razy, aż staje się prawdą) wyprała nasze mózgi z samodzielnego myślenia? Być może winna jest przysłowiowa pamięć rybki akwariowej? Nieustannie zaskakują nas nieprawdopodobne wolty polityków, którzy z dnia na dzień zmieniają swe poglądy o 180 st. I co? I nic.

Gdy słyszę kolejne ostrzeżenie WHO o nadciągającej „pandemii" i nowych superszczepionkach ratujących populację, zbiera mi się na wymioty. Czyżbym tylko ja pamiętał, że to napływ uchodźców z Ukrainy w jednej chwili skasował „śmiertelne" zagrożenie wirusem COVID-19? Czy mając dostęp do informacji z całego świata i żyjąc w bezpiecznym kraju, tak trudno skojarzyć nam nielegalną migrację z gwałtami, morderstwami i zamachami terrorystycznymi dokonywanymi z okrzykiem: „Allahu akbar!" na ustach? Czy znając rozpiętość ziemskich temperatur w ciągu milionów lat, można uwierzyć, że akurat dziś „Ziemia płonie" i z tego powodu zdemolować łacińską cywilizację? Jak ktoś zdrowy na umyśle może planować rozwój UE, promując jednocześnie rozkład rodziny, aborcję na życzenie i zabójcze dla naszej demografii genderowe fanaberie (*vide* powołanie *de facto* Ministerstwa Masturbacji Narodowej)? I jak zapewnić bezpieczeństwo kraju, nie inwestując w przemysł zbrojeniowy, silną armię i wychowanie chłopców na mężczyzn? Wojen wszak nie zresetowano.

PS Prawie pięć wieków temu rozgoryczony bezmyślnością rodaków Jan Kochanowski pisał: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, / Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi".

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS, KPRM, SHUTTERSTOCK/TOMASZ BIDERMANN, EVAN EL-AMIN, SUNWART

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Odwagi mi nie zabraknie, dam z siebie wszystko

Jestem przekonany, że wygram te wybory. Jestem sobą, jestem prawdziwy, w przeciwieństwie do mojego głównego kontrkandydata nie muszę nikogo udawać, przebierać się, odstawiać różnych szopek. Bardzo mu współczuję, że musi to robić – mówi nam w pierwszym wywiadzie prasowym obywatelski kandydat na prezydenta i zdobywca tytułu Człowieka Wolności tygodnika „Sieci"

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z dr. Karolem Nawrockim, obywatelskim kandydatem na prezydenta RP

Decyzją czytelników i kapituły został pan Człowiekiem Wolności tygodnika „Sieci" za 2024 r. Wśród argumentów, które przedstawiali głosujący w plebiscycie, wybijają się dwa. Po pierwsze, pański dorobek w Instytucie Pamięci Narodowej, nadanie tej instytucji nowego impetu i nieugięta obrona prawdy o polskiej historii oraz polskiej racji stanu. Po drugie, za wolę stanięcia do wyścigu prezydenckiego w czasie tak trudnym dla wolności, gdy tak dużo bezprawia i prześladowań. Musimy zapytać formalnie: czy przyjmuje pan to wyróżnienie?

Karol Nawrocki: Tak, z ogromną radością, traktując to jako wielki zaszczyt. Dziękuję czytelnikom i kapitule tytułu Człowieka Wolności tygodnika „Sieci". Wiem, jak wybitne osoby są w gronie dotychczasowych laureatów i znalezienie się wśród nich uważam za ogromne wyróżnienie. Z tego powodu traktuję ten tytuł również jako zobowiązanie. To poważna nagroda, która obliguje do dalszej walki w obronie wolności, dziś naprawdę poważnie zagrożonej.

Chodzi o nasilające się próby stłamszenia mediów niepokornych wobec władzy? Wprowadzenia cenzury?

Tak, widzimy próby cenzurowania słów i myśli, zdławienia wolności, za czym idą próby odebrania nam suwerenności. Wolni Polacy muszą się temu przeciwstawić, wszyscy potrzebujemy odwagi. Obiecuję, że nie zabraknie mi odwagi i determinacji. Liczę na to, że do naszej obywatelskiej akcji przyłączą się miliony Polaków. Bo w tych dniach zaczynamy coś więcej niż kampanię wyborczą – tworzymy wielki ruch, który ma obronić Polskę oraz marzenia Polaków o silnym państwie i dobrym życiu.

Oficjalnie kampania właśnie się rozpoczyna, ale pańska kandydatura została ogłoszona już 24 listopada. Jak pan ocenia ten pierwszy okres?

Przed nami miesiące pracy i wysiłków, wiele zwrotów akcji, pewnie też trudnych momentów. Na tym etapie z pokorą podchodzę do wszelkich sondaży i prognoz. To nie one zdecydują, ale poważna rozmowa z Polakami. Na pewno jednak ten pierwszy etap pozytywnie zaskoczył. Uczestniczę w setkach spotkań we wsiach i miastach w całej Polsce i widzę, jaki entuzjazm wzbudza moja obywatelska propozycja dla Polski.

Stawka jest ogromna. Albo „domknięcie systemu", bardzo złego, dysfunkcjonalnego, antywolnościowego, redukującego nas, albo powrót na ścieżkę rozwoju, ambicji narodowej, normalności. Zwycięstwo jest możliwe?

Te wybory rozstrzygną nie tylko bieżące sprawy polityczne, gospodarcze, społeczne, lecz także naszą przyszłość. Mądrzy Polacy wiedzą, że jeśli teraz się pomylimy, popełnimy błędy, to zapłacimy jeszcze większą cenę. Rozumiem zatem stawkę tej walki, czuję brzemię odpowiedzialności i zapewniam, że dam z siebie wszystko, by nie zawieść nadziei pokładanych we mnie przez Polaków. Jestem przekonany, że wygram te wybory, jestem zdeterminowany, by to uczynić. Jestem sobą, jestem prawdziwy, w przeciwieństwie do mojego głównego kontrkandydata nie muszę nikogo udawać, przebierać się, odstawiać różnych szopek.

Nie zazdrości pan Rafałowi Trzaskowskiemu tej zdolności do mimikry, daru bycia kameleonem? Radykalnej zmiany poglądów co kilka dni?

Odwrotnie – patrzę na to ze smutkiem i współczuję Trzaskowskiemu. Powiedziałbym, że jest on wytworem politycznego laboratorium, które w tej kampanii przestało działać. Siła, którą czerpię ze swojego autentyzmu, radość, jaką daje mi zawsze szczera, autentyczna rozmowa z moimi rodakami, powodują, iż nie wiem, jak mój konkurent może w ogóle funkcjonować jako człowiek.

To znaczy?

Spójrzmy na to chłodno. Raz usuwa krzyże, potem deklaruje przywiązanie do tradycji i wiary. Raz stawia na wielkie miasta, potem czaruje polską wieś. Raz chce jak najszybciej wprowadzać Zielony Ład, a potem deklaruje walkę z nim. Masowo kupuje niemieckie drzewa i chińskie autobusy, a potem coś tam opowiada o patriotyzmie gospodarczym. Długo mógłbym wymieniać, ale najważniejsze jest to, że nie potrafię się rozeznać w tym całym wielkim zbiorze różnych Rafałów Trzaskowskich wymienianych każdego dnia. Boję się, że któregoś dnia on sam wstanie rano, spojrzy w lustro i nie będzie wiedział, kim jest. Takie ryzyko jest bardzo poważne, stąd moja autentyczna, ludzka troska o jego stan. Normalny człowiek

eprasa.pl 8e99d6d4d0

nie potrafi wytrzymać takich wolt. I przestrzegam, by przestał, bo bardzo sobie tym szkodzi.

A inni kandydaci? Sławomir Mentzen? Szymon Hołownia? Marek Jakubiak? Mówi się o Krzysztofie Stanowskim.

Cieszy mnie, że mamy tylu kandydatów, bo to dowód, że Polacy lubią wybór, nie pozwolą zabić demokracji, co niektórym chodzi po głowach. Nigdy nie będziemy krajem jednej partii. Z wieloma kandydatami dużo mnie łączy, będę z nimi rozmawiał, zabiegał o wsparcie w II turze.

Jeszcze w fazie prekampanii zobaczyliśmy, jak brudne chwyty mogą być zastosowane. Fałszywy „raport" o panu, bezprawna inwigilacja i szukanie haków, o czym jako pierwsi napisaliśmy w „Sieci". Po jakie metody sięgną jeszcze? Nie złamią pana?

Mogę tylko powtórzyć tytuł świetnej, inspirującej książki Davida Gogginsa „Nic mnie nie złamie". Oczywiście znam historię, wiem, do czego mogą być zdolni źli ludzie, jak wszyscy widzę, co się wyrabia w ostatnim roku w Polsce. Skala fejków, kłamstw, półprawd i manipulacji wobec mojej obywatelskiej kandydatury też daje do myślenia, uruchamia wyobraźnię. Z całą pewnością będzie tego więcej. Kłamali, kłamią i będą kłamać, ale powtarzam: nic mnie nie złamie w walce o Polskę. A najlepszym sposobem na kłamstwo jest bezpośrednia rozmowa z Polakami.

Nie da się spotkać z każdym.

Ale trzeba się spotkać z każdym, kto tylko chce, przyjechać do jego miejscowości, a przez tych zaangażowanych i obecnych dotrzeć do ich rodzin, znajomych. Na szczęście nie wszystkie media grają w orkiestrze władzy, są media społecznościowe – rządzący się jeszcze do nich nie dobrali, choć próbują. To są prawdziwe, szczere spotkania. Przedstawiam swoją perspektywę, ale przede wszystkim słucham moich rodaków. Atmosfera też bywa niesamowita. Postawię tu tezę, że odzyskaliśmy wiarę, iż uda się przywrócić Polskę na dobre tory. Czuć wiatr zmian. Rządzący powinni posłuchać, jak wielkie jest rozczarowanie obecnym rządem, także tych, którzy na tę koalicję głosowali.

Zdjęcia Andrzej Wiktor

> Stawka jest ogromna. Te wybory rozstrzygną nie tylko bieżące sprawy polityczne, gospodarcze, społeczne, lecz także naszą przyszłość. Mądrzy Polacy wiedzą, że jeśli teraz się pomylimy, popełnimy błędy, to zapłacimy jeszcze większą cenę

Jaka tematyka dominuje w trakcie tych spotkań?

Polacy dobrze definiują problemy i zagrożenia, np. dotyczące Zielonego Ładu i polityki gospodarczej Unii Europejskiej. Mówiłem o tym ostatnio na spotkaniu z ambasadorami, przekazując konkretne postulaty. Wiele pytań dotyczy tego, jak widzę rolę prezydenta i siebie w niej, jakie konkretne decyzje bym podjął, jakie projekty wspierał w sprawach doraźnych, codziennych, a także strategicznych. Jak będę działał na rzecz bezpieczeństwa Polski, jakie sojusze budował, jak wzmacniał nasze siły zbrojne, jak zawalczę o elektrownie jądrowe, interesy rolników, pacjentów, emerytów, pracowników i przedsiębiorców.

Czy dzisiaj Polska jest w stanie wrzenia? Narasta pragnienie zmiany?

Jako historyk wiem, że bywało dużo gorzej, jako człowiek mający polityczną wyobraźnię widzę też możliwe złe scenariusze. Zatem słowo „wrzenie" na razie bym odłożył, ale Polska znalazła się w kryzysie. Widzimy dramat w finansach publicznych – rekordowe deficyty i zadłużenie, rezygnację z koniecznych ważnych inwestycji, jak całościowy plan na Centralny Port Komunikacyjny. Ministerstwo Zdrowia planuje zamknąć oddziały położnicze w ponad 100 miejscowościach. Dla wielu ludzi to poważna sprawa, wielkie trudności, możliwe dramaty i tragedie, a niektórzy politycy zamknięci w warszawskim ratuszu niestety tego nie dostrzegają.

To jest jeszcze szerszy problem: w warszawskocentrycznej polityce problemy mniejszych miejscowości jawią się jako kropeczki na mapie,

eprasa.pl 8e99d6d4d0

dalekie, nieistotne. Przełamały to dopiero rządy Zjednoczonej Prawicy. Ale teraz chyba znów wróciło stare.

Co widziałem kilka dni temu w Wielkopolsce, w Koninie. Mieszkańcy obawiają się, że planowana tam elektrownia jądrowa nie powstanie lub będzie bardzo opóźniona, nie powstaną miejsca pracy. Dla wielu okolicznych powiatów w połączeniu z planowaną linią kolejową była to ogromna szansa. Podobnie jest w Siarzewie w woj. kujawsko-pomorskim, gdzie miała powstać zapora na Wiśle, i w wielu innych miejscach. Te sprawy nie budzą wielkiego zainteresowania największych mediów, a przecież są to takie lokalne CPK, ambitne, ale konieczne projekty, które miały pchnąć do przodu te regiony.

Znowu zwijają Polskę?

Tak bym to nazwał. Na to nakładają się inne niekorzystne zjawiska odczuwalne przez każdego: ceny energii, drożyzna w sklepach, rachunki za usługi komunalne. Wyłączyli tarczę i spadająca inflacja wróciła. Polacy o tym rozmawiają i boją się o przyszłość. Jeśli ten rząd w dwa lata zadłuża nas bardziej niż wynosiła łączna suma deficytów przez cały okres rządów Prawa i Sprawiedliwości, to chyba coś jest tu nie tak. Bez względu na to, jakie mamy sympatie polityczne, musimy się czuć zaniepokojeni.

Gdzie znikają te pieniądze, zawsze za Tuska?

Ludzie bardzo często o to pytają, bo przecież wcześniej mieliśmy pandemię, wybuch wojny, wydatki zbrojeniowe, falę uchodźców z Ukrainy, putinflację. A jednak wtedy ludziom żyło się lepiej. Odpowiedź jest dość oczywista: obecne rządy prowadzą inną politykę fiskalną i gospodarczą niż poprzednie. Ściąganie podatków kuleje, zatrzymane inwestycje nie są kołami zamachowymi gospodarki. Innymi słowy, decyduje jakość rządów. A przecież ona wpływa na dobre życie Polaków.

To dobry moment, by zapytać pana o ocenę rządów Prawa i Sprawiedliwości. Jako kandydat niezależny zyskał pan wsparcie obozu prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ale wszedł pan do kampanii z zewnątrz. Ile z tego, co było za czasów PiS, pan bierze, a co odrzuca?

Często ludzie mówią mi na spotkaniach, że wystarczył rok rządów Donalda Tuska i jego zastępcy Rafała Trzaskowskiego, by się przekonać, że wcześniej było lepiej. I zgadzam się, że ta perspektywa ma znaczenie. Doceniam ten wysiłek obozu. Ale widziałem rzeczy, które można było zrobić lepiej, albo te, które nie wyszły. Pewne sprawy poprowadziłbym inaczej – i mówię o tym na spotkaniach.

Na przykład?

Na przykład politykę antycovidową.

Ba, dziś każdy by to inaczej poprowadził.

Tak, dziś sporo wiemy o tym paskudztwie, wtedy dominowały niewiadome. Ale mimo wszystko pewne decyzje także wtedy oceniałem źle. W takich dyskusjach zawsze dodaję, że łatwiej być recenzentem, a trudniej rządzić. Kierowałem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, dziś, choć aktualnie w związku z kampanią jestem na urlopie, prowadzę dużą instytucję, jaką jest IPN i też często słyszę dobre rady z boku. Czasem słuszne, ale niekiedy absurdalne, niemożliwe do realizacji, nieuwzględniające warunków w jakich działamy.

A Polski Ład?

Może to był zbyt duży program na raz, błędem był chaos podatkowy przy wprowadzaniu zmian. Ale gdy odwiedzam powiaty daleko od wielkich miast, widzę, ile pieniędzy w ramach Polskiego Ładu przekazano lokalnym społecznościom. To często był pierwszy tak duży zastrzyk inwestycyjny od wieków. Widzę, ile dzięki temu zbudowali zdolni i pracowici samorządowcy. W każdym z tych miejsc to dziesiątki milionów złotych włożonych w drogi, kanalizację, szpitale, szkoły, sale gimnastyczne. Tak jest w każdym powiecie, który odwiedziłem. Nie można przejść obojętnie obok tego.

A kwestia ochrony życia, która wybuchła po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. Zapytany niedawno, czy jako prezydent podpisałby pan ustawę przywracającą kompromis aborcyjny, odpowiedział pan: „Nie podpisałbym ustawy o powrocie do kompromisu aborcyjnego. Jako przyszły prezydent nie mógłbym pozwolić na to, aby aborcji były poddawane dzieci z zespołem Downa". Jak to należy rozumieć?

Z narastającym zdumieniem śledziłem dyskusję po tej mojej wypowiedzi. Sądziłem, że wszyscy wiedzą, że prezydent nie może podpisać rozwiązań nawiązujących wprost do ustawy dwukrotnie zakwestionowanej przez Trybunał Konstytucyjny w zupełnie różnych składach, pierwszy raz w 1997 r., drugi właśnie w 2020 r. Jestem natomiast otwarty na nowy kompromis, budowę wokół niego społecznego porozumienia. Jestem gotowy na rozmowę, z uwagą będę przyjmował decyzje i działania parlamentu, ale na stole zawsze musi być ustawa. Jednak ten Sejm, mimo że działa już ponad rok, nie przyjął żadnej, choć zasiadająca w nim większość mówiła o tym przez całą kampanię parla-

eprasa.pl 8e99d6d4d0

mentarną. To oni zawiedli swoich wyborców. Warto zauważyć, że tak mocno dzielące nas kwestie światopoglądowe są wybijane na pierwszy plan, sprzedawane jako najpilniejsze wtedy, gdy władza nie radzi sobie z rządzeniem. Dziś tak jest w Polsce, tak było w Stanach Zjednoczonych.

Dużo emocji wzbudziła też pana wypowiedź, że „nie widzi" pan Ukrainy w UE i NATO, dopóki „nie załatwimy naszych spraw", czyli kwestii ludobójstwa na Wołyniu. W reakcji Rafał Trzaskowski zapytał, czy chce pan Ukrainy na Zachodzie, czy w Rosji. Pańska odpowiedź? Powtórzy pan zdanie, że Ukraina nie wejdzie do UE i NATO, jeśli nie rozwiąże tej sprawy?

Konsekwentnie stoję na stanowisku, że w zjednoczonej Europie nie może być sytuacji, w której sojusznik nie potrafi rozliczyć się ze zbrodnią ludobójstwa na 120 tys. swoich sąsiadów.

> Boję się, że któregoś dnia Rafał Trzaskowski wstanie rano, spojrzy w lustro i nie będzie wiedział, kim jest. Takie ryzyko jest bardzo poważne, stąd moja autentyczna, ludzka troska o jego stan. Normalny człowiek nie potrafi wytrzymać takich wolt

Brak woli ukraińskiej do rozwiązania tej sprawy, nietraktowanie nas jako partnera przy tej wielkiej pomocy, której udzieliła Polska, nie jest czymś, co dla godności naszej ojczyzny byłoby do zaakceptowania. Dużo zrobiliśmy i dużo jesteśmy gotowi zrobić, by wspierać Ukraińców w ich walce także z naszym wspólnym wrogiem – Rosją. W kontekście integracji Ukrainy będę się kierował wyłącznie polskim interesem. Polska dostosowywała się do unijnych reguł kilkanaście lat, a droga na skróty dla Ukrainy jest wobec tego nie tylko niesprawiedliwa, lecz także zagraża wielu obszarom polskiej gospodarki. Widzieliśmy, jak to może działać, na rynku zbóż. Wejście Ukrainy do UE nie może być „bezwarunkowe", jak ostatnio deklarował premier Tusk. Ja bym stawiał takie warunki, że polska gospodarka ma być chroniona, a Polska ma na tym skorzystać.

Rosja ściga pana listem gończym za konsekwentną likwidację pomników ku czci Sowietów.

Rosja powróciła jako imperium zła. Jakimś tego symbolem jest powrót do sowieckiej historiozofii. Nie można stawiać pomników zbrodniarzom i nie można tolerować ich obecności w przestrzeni publicznej, bo są wyrazem kłamstwa historycznego.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

W czasie ostatniego wywiadu udzielonego lewicowym i skrajnie lewicowym mediom prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski teatralnie udawał, że nie może sobie przypomnieć pańskiego nazwiska, sugerował wsparcie dla Rafała Trzaskowskiego. Zrobiło się panu przykro?

Nie. Nigdy nie dam się zawstydzić tym, że bronię interesu Polski, że pamiętam o Polakach, także zamordowanych. Prezydent Rzeczypospolitej jest od obrony interesów Polski i Polaków, niech inni sobie pohukują, ja w tym czasie będę załatwiał sprawy ważne dla naszych rodaków.

Zełenski radził, by ćwiczył pan już do walki.

Byłem zdziwiony, bo prezydent Ukrainy ma dziś chyba ważniejsze zadania niż wchodzenie w polskie wybory prezydenckie. Ale może ta sytuacja coś nam wyklarowała: ja jestem kandydatem polskim, a niektórzy chcą, żeby tu byli kandydaci niemieccy, ukraińscy i ogólnie wspierani z zewnątrz. Moja linia jest prosta: zawsze będę twardo bronił polskich interesów i dbał o jak najlepsze relacje z naszymi sąsiadami. Na świecie nie szanuje się tych, którzy nie podnoszą interesów swojego państwa, którzy marzą o poklepywaniu po plecach przez innych.

Swoją drogą, jak nisko upadliśmy w czasie ostatniego roku, że niektórzy pozwalają sobie na takie gierki? Na dyktowanie nam praw i wyborów właściwie z każdej strony?

To jest chyba istota sprawy. Jesteśmy dużym demokratycznym państwem, wszyscy ciężko pracujemy, budując jak najsilniejszą gospodarkę, mamy ponad 1 tys. lat tradycji państwowej, a często dajemy się traktować jak junior partner wielu ościennych państw. Jeśli Polacy wybiorą mnie na swojego prezydenta, nigdy na to nie pozwolę. Nie chcę być prezydentem, który czerpałby energię z pochwał zagranicznych dziennikarzy, poklepywania po plecach przez innych przywódców za cenę zostawienia na boku spraw Polaków. Zawsze będę realizował polską agendę i zdanie kanclerza Niemiec, prezydenta Ukrainy czy cara Rosji nigdy nie będzie rozstrzygało o naszych interesach. Co nie oznacza braku dialogu, dobrej dyplomacji, normalnych relacji. Oczywiście z naszymi sojusznikami, bo Rosja ustawiła się poza cywilizowanym światem.

> Konsekwentnie stoję na stanowisku, że w zjednoczonej Europie nie może być sytuacji, w której sojusznik nie potrafi się rozliczyć ze zbrodnią ludobójstwa na 120 tys. swoich sąsiadów

Ostro zaatakował pana prof. Antoni Dudek. Mówił o panu jako o człowieku „niebezpiecznym", bo zdeterminowanym, by osiągać założone cele.

Tak, potwierdzam, że jestem człowiekiem zdeterminowanym, ale prof. Dudek niestety nie miał racji w innych kwestiach. W sprawie, w której miałem się zachować bezwzględnie wobec pracownika IPN, było odwrotnie – przyjąłem jego odwołanie. Sam prof. Dudek wychwalał mnie kiedyś w recenzji mojej pracy doktorskiej. Cóż, żartobliwie powiem, że czekam na ujawnianie rzekomej prawdy o mnie przez sąsiadów z porodówki i nauczycieli ze szkoły podstawowej. Te kombinacje to próby szukania czegokolwiek, byle tylko uderzyć.

Weźmie pan udział w debatach prezydenckich? Przyjąłby pan zaproszenie np. telewizji wPolsce24?

Tak, z radością, telewizję wPolsce24 bardzo lubię, oglądam. Szczegóły każdej ewentualnej debaty oczywiście będzie musiał omówić mój sztab wyborczy, w takich sprawach są one bardzo ważne. Wiele też zależy od decyzji i postawy konkurentów.

W trakcie wspomnianego już w tym wywiadzie spotkania z ambasadorami mówił pan po angielsku. Żeby zamknąć usta krytykom?

Absolutnie nie. Tu nie ma nic nadzwyczajnego – w gabinecie prezesa IPN przyjąłem blisko 100 ambasadorów, często musiałem prowadzić delikatne rozmowy z zagranicznymi partnerami, brać udział w konferencjach, oficjalnych spotkaniach. Była to prawdziwa szkoła dyplomacji i twardy sprawdzian również dla moich umiejętności językowych. Jeśli ktoś się tu czegoś obawia, mogę uspokoić, że będę godnie i skutecznie reprezentował Rzeczpospolitą Polską na wszelkich forach międzynarodowych. Swoją drogą, najważniejsze, by w znanym sobie języku miało się coś ważnego do powiedzenia, aby być skutecznym w pracy dla Polski.

O jakiej Polsce pan marzy? Jaką Polskę pan widzi?

Żeby Polska mogła istnieć, musi być wielka, ambitna, z dumą i własną tożsamością współtworząca rodzinę narodów europejskich. Nie ma innej drogi dla Rzeczypospolitej – to podstawowa lekcja z naszej historii, każdy dzień przynosi dowody na tę tezę. Polska musi gwarantować dobre życie Polakom i każdego dnia będę walczył o dobrobyt rodaków.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Blamaż, czyli raport gen. Stróżyka

PIOTR GURSZTYN

Raport rządowej komisji ds. wpływów rosyjskich miał wstrząsnąć opinią publiczną. Spodziewano się też, że będzie batem na prawicową opozycję. Może nawet pretekstem do ostrych działań pod płaszczykiem walki z agentami Kremla. Tymczasem nastąpił inny wstrząs – szok, że organ rządowy może działać tak idiotycznie i żenująco

Polityczny thriller przygotowywany przez gen. Jarosława Stróżyka, zaufanego współpracownika premiera Donalda Tuska, miał wstęp, którego celem było rozbudzenie ciekawości oraz emocji opinii publicznej. Był nim – w zamierzeniu hitchcockowskim trzęsieniem ziemi – komunikat o wszczęciu śledztwa z zawiadomienia komisji przeciwko Antoniemu Macierewiczowi. Przedmiotem śledztwa jest decyzja Macierewicza jako szefa MON o rezygnacji z udziału w programie budowy tankowców powietrznych. Wprawdzie jego postanowienie, różnie oceniane pod względem zasadności, nie wykazuje żadnych związków z działaniami Rosji, ale komisja uznała, że nazwisko Macierewicza przyciągnie masowe zainteresowanie.

Tak jednak się nie stało. Prezentacja raportu 10 stycznia wzbudziła ograniczone zainteresowanie. Raport nie był nagłaśniany przez członków rządu ani polityków rządzącej koalicji. Także media wspierające gabinet nie zainteresowały się nim w jakiś zauważalny sposób. Nawet żaden z członków komisji, wśród których jest kilku znanych pracowników naukowych, nie zechciał dać twarzy publikacji. Rzeczywiście, dokument – jeśli to „dzieło" komisji w ogóle zasługuje na to określenie – okazał się słaby merytorycznie. Z wielkiej chmury spadł jedynie nędzny deszczyk.

Fot. Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 8e99d6d4d0

PIĄTEK WŚRÓD TZW. EKSPERTÓW

Dzisiaj już wiemy, dlaczego tak się stało. Znienacka ujawnili się prawdziwi autorzy „dokumentu". To Tomasz Piątek, Anna Mierzyńska i Klementyna Suchanow. Każda z tych osób prezentuje się jako ekspert od wpływów Kremla i rosyjskiej dezinformacji. Najbardziej znana postać z tej trójki, Piątek, „zasłynął" teraz z rzekomego zdemaskowania rosyjskich konotacji siostry Karola Nawrockiego. Otóż Nina Nawrocka, z zawodu cukiernik, wytwarza desery dla sieci hoteli Hilton. A te, jak zarzuca Piątek, działają w Rosji. Szybko okazało się, że on sam korzysta z usług tej sieci hotelowej, a przy okazji przegapił ważniejszy przejaw obecności rosyjskiej w Polsce, jakim jest sprawa spółki Cryogas M&T Poland współpracującej z warszawskim ratuszem. Wcześniej zaś Piątek przeoczył, że w środowisku liberalnych dziennikarzy bryluje prawdziwy rosyjski szpieg, czyli Paweł Rubcow vel Pablo González.

Podobnie jest z dwoma następnymi „ekspertami". Anna Mierzyńska, z zawodu pracownica biur Platformy Obywatelskiej, kreuje się na specjalistkę od dezinformacji, ale sama opisywała sprawę Rubcowa jako przypadek niezależnego dziennikarza gnębionego przez pisowski „reżim". Klementyna Suchanow jest z kolei znana z tego, że była agresywną uczestniczką tzw. Strajku Kobiet. A także z tego, że została oskarżona o molestowanie seksualne przez niejakiego Michała Szutowicza „Margot".

Całą trójkę trudno uznać za budzących zaufanie znawców tematu. Także wielu komentatorów o poglądach liberalnych i centrowych zareagowało szokiem i oburzeniem na wieść o tym, kim są autorzy rządowego raportu, na dodatek opłaceni z publicznych pieniędzy. I jeśli przed ujawnieniem tego faktu było słychać opinie, że raport „czuć Piątkiem na kilometr", to dzisiaj trzeba stwierdzić, że ktoś z komisji próbował jakoś ucywilizować jego treść i formę, aby nie było „czuć Piątkiem", ale to i tak nie wyszło.

„DOWODY" KOMISJI

W raporcie kompromitacja goni kompromitację, a groteska ściga się z groteską. Ale nie wolno tego lekceważyć. Dokument i praca komisji odsłaniają schematy działania, które ekipa Tuska uważa za przydatne w podtrzymywaniu poparcia ze strony własnych zwolenników i dyskredytowania przeciwników politycznych. Zdradza też intencje, którymi kierowali się zleceniodawcy tego „dzieła". To ważne w kontekście tego, co wydarzyło się w Rumunii z unieważnioną pierwszą turą wyborów prezydenckich. Wątek rumuński pojawił się bowiem w raporcie jako przykład rzekomej ingerencji Kremla i ostrzeżenie, że może tak być również u nas.

Już w bardzo ogólnym wstępie jako „dowody" na powtarzanie rosyjskiej propagandy podano takie opinie, jak te, że „Zachód odciął się od chrześcijańskich korzeni" oraz że społeczeństwa Zachodu stały się „zakładnikami elit — mediów, instytucji, polityków, wielkiego biznesu". Wiadomo zatem, że ma to być kij na wszelkich krytyków rewolucji obyczajowej oraz przeciwników dominacji establishmentu nad resztą społeczeństwa.

Komisja szukała owych rzekomych dowodów w dziesiątkach wymienionych w raporcie portali i niektórych większych mediach. Problem w tym, że najczęściej wskazano portale niszowe czy wręcz kompletnie nieznane, o mikroskopijnych zasięgach i tym samym zerowym autorytecie wśród odbiorców. Czy ktoś w Polsce przejmuje się tym, co napisał portal jagodnik.pl czy neurogra.pl (jeśli ktoś w ogóle o nich słyszał)? Ten pierwszy jest poświęcony uprawom roślin jagodowych, takich jak agrest, borówki, maliny itp., rodzi się więc pytanie, dlaczego komisja w ogóle się nad nim pochyliła. A według raportu powiela on rosyjską narrację. Ten drugi – neurogra.pl – to strona firmy handlującej programami i grami do ćwiczeń umysłowych, które sprzedawca nazywa treningiem mózgu. Skądinąd ludzie związani z tym biznesem byli cytowani w pozytywnym kontekście przez media, np. tygodnik „Polityka", radio Tok FM i „Gazeta Wyborcza".

Do tego sosu dodano oczywiście jawnie prorosyjskie portale, np. Myśl Polską, wymieniając przy okazji lidera tego środowiska Jana Engelgarda. Czego zabrakło w tej informacji? Tego, że Engelgard od lat jest ważnym pracownikiem instytucji kultury podległych marszałkowi Adamowi Struzikowi, w tym do marca 2022 r. był kierownikiem Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

Według raportu tubami Kremla byli wszyscy ludzie, którzy nie zgadzali się z oficjalnym przekazem w sprawie pandemii COVID-19 i kwestionowali potrzebę szczepienia się. Instytut Ordo Iuris został zrównany z partią Rodacy Kamraci Wojciecha Olszańskiego, gdyż rzekomo w obu przypadkach odnotowano „narracje zbieżne z rosyjskimi" (bez podawania przykładów). Wielokrotnie występują pomieszani z osobami ewidentnie zaburzonymi, ale przy tym skrajnie marginalnymi, wymienieni pod nazwiskami posłowie Konfederacji i Kukiz'15, a także kilku polityków PiS. „Z prawego skrzydła" – jak ujęto w raporcie Piątka i Stróżyka.

Najciekawiej się robi, gdy komisja pochyliła się nad tematem presji migracyjnej na granicę polsko-białoruską w 2021 r. W raporcie czytamy, że była to operacja „profesjonalnie przygotowana" przez służby białoruskie i rosyjskie. Jej ważnym elementem była kampania dezinformacyjna wewnątrz Polski. I kto był tu winien? Według raportu nie „aktywiści" i politycy przeszkadzający Straży Granicznej oraz wojsku ani liberalne media domagające się wpuszczenia nielegalnych imigrantów. Nie padają nazwiska Władysława Frasyniuka, Barbary Kurdej-Szatan, Franciszka Sterczewskiego czy Dariusza Jońskiego i Michała Szczerby. Winni byli politycy PiS (wówczas u władzy) i „sympatyzujący z nimi" dziennikarze. W tym kontekście wymienieni zostali Mariusz Błaszczak, Mariusz Kamiński i Stanisław Żaryn! Rzekome akcje dezinformacyjne – wśród ich twórców wymieniono m.in. Samuela Pereirę i Tomasza Sakiewicza – „były skierowane przeciwko politykom opozycyjnym, organizacjom i osobom wspierającym aktywistów na granicy, aktywistom i dziennikarzom próbującym relacjonować sytuację migrantów".

O to samo komisja oskarżyła demokratycznych działaczy białoruskich, którzy pisali o używaniu imigrantów jako broni przeciw Polsce przez reżim Łukaszenki.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Zatem winny kampanii dezinformacyjnej miał być portal Nexta, medium wielokrotnie nagradzane za działania na rzecz wolności na Białorusi (m.in. przez Parlament Europejski). Komisja twierdzi zatem, że rosyjską dezinformację rozpowszechniał portal, którego założyciel, młody dziennikarz Sciapan Puciła, w tym samym czasie został skazany zaocznie przez białoruski sąd na 20 lat więzienia. „Zarówno polskie władze, jak i politycy oraz dziennikarze przyjęli za pewnik, że polską granicę atakują migranci" – ubolewają autorzy raportu.

Wśród uznanych za winnych siania rosyjskiej dezinformacji została wymieniona prywatna osoba, ale znana jako aktywny użytkownik mediów społecznościowych o pseudonimie Exen. Ten przypadek wzbudził szczególną wesołość, bo chodzi o człowieka, który mieszka blisko granicy, prezentuje poglądy zdecydowanie dalekie od prawicowych, a po ataku Rosji na Ukrainę bardzo mocno zaangażował się we wspieranie armii ukraińskiej w środki transportowe, co jest wiedzą powszechnie dostępną (wspierał go np. Radosław Sikorski). Ale „Exen" miał tego „pecha", że ostrzegał w internecie o zbliżającym się szturmie imigrantów na polską granicę. Identycznie jak Nexta i jej autorzy.

PAŁKA NA PiS

Kolejny groteskowy punkt. Każdy, kto podaje w wątpliwość politykę klimatyczną Unii Europejskiej, wspiera Kreml. „Rosja intensyfikuje swoje działania dezinformacyjne na temat kryzysu klimatycznego" – przekonują autorzy raportu. Z tego powodu wśród „winnych" znalazł się m.in. portal wPolityce.pl (bez żadnego wskazania na konkretne artykuły ani podania linków do nich). Jedyne, czego można się domyślić z dalszej części raportu, to fakt, że rzekoma dezinformacja polegała na krytyce takich programów UE, jak Zielony Ład, pakiet Fit for 55 i Europejski System Handlu Emisjami, czyli osławiony ETS. Oczywiście nie trzeba tu dodawać, że komisja i jej wynajęci autorzy ani słowem nie zająknęli się o tym, że na potrzeby kampanii prezydenckiej od tych programów zaczęli się dystansować politycy tacy jak Donald Tusk i Rafał Trzaskowski.

Dodajmy jeszcze, że jedyny sensowny fragment raportu, czyli teoretyczny opis wojny kognitywnej, okazał się plagiatem z prac dr. Michała Wojnowskiego. Tyle że to członek poprzedniej komisji, powołanej przez Sejm za czasów PiS. W zemście za udział w niej Wojnowski został zwolniony z pracy w ABW przez obecne władze.

Dlaczego Stróżyk i komisja zdecydowali się, aby raport został napisany przez osoby z zewnątrz, całkowicie niekompetentne i niewiarygodne? Być może dlatego, że przytłaczająca większość członków komisji nie zajmowała się Rosją i nie ma o niej wiedzy. Jako tako może się w tym orientować Tomasz Chłoń, bo był m.in. ambasadorem w Estonii, a także kierował z Brukseli Biurem Informacji NATO w Moskwie, czyli placówką, która miała informować rosyjskie społeczeństwo o działalności Sojuszu. Ale jednocześnie to człowiek, który rozpoczął pracę w MSZ w 1987 r., a gdy jego kariera została zatrzymana w czasie rządów PiS, był bardzo broniony przez postkomunistyczny tygodnik „Przegląd". Być może jakieś kompetencje ma też płk Paweł Białek, zastępca szefa ABW w latach 2007–2012. Ale ze służb odszedł 12 lat temu i potem zasiadał w zarządach różnych spółek skarbu państwa.

> Kto śledzi „prace" komisji Stróżyka, ten się w cyrku nie śmieje. Doskonale widać, że komisja powołana przez Donalda Tuska z propagandowym przytupem nie jest zdolna do wykrycia rzeczywistych działań Kremla w Polsce

Reszta to osoby takie jak dawna poseł UD i UW oraz rzecznik praw obywatelskich Irena Lipowicz, niegdysiejszy szef UOKiK Cezary Banasiński, kilkoro historyków, politologów i medioznawców. Np. anonsowana jako specjalistka od przeciwdziałania dezinformacji dr hab. Agnieszka Demczuk z UMCS jest prawniczką, która przez lata zajmowała się informacją publiczną, potem zainteresowała się ruchami antyszczepionkowymi i debatą wokół COVID-19, a rosyjską dezinformacją dopiero w ostatnim czasie. O innej ekspertce, dr Katarzynie Bąkowicz z uczelni SWPS, było głośno, gdy oskarżała Karola Nawrockiego o hajlowanie na podstawie zdjęcia przedstawiającego zupełnie inną osobę. A ostatnio dr Bąkowicz zaproponowała, aby karą za „mowę nienawiści" w mediach społecznościowych było wyrzucanie ludzi z pracy. Nic natomiast nie wiadomo o jej znajomości tematu Rosji.

Dodajmy jeszcze żenujący wątek obecności w komisji dwóch znanych postaci. Od teraz można mówić, że dwóch profesorów historii – Adam Leszczyński i Grzegorz Motyka – są kolegami Tomasza Piątka. Obaj milczą w sprawie raportu, choć muszą wiedzieć, że zastosowana w nim „metodologia" jest gwałtem na zasadach pracy badawczej. Nie można się jednak spodziewać protestów z ich strony. Leszczyński korzysta teraz z tego, że jest dyrektorem przejętego po prof. Janie Żarynie dawnego Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Motyka otrzymał od nowej władzy stanowisko dyrektora Wojskowego Biura Historycznego, a według rozpowszechnionych w środowisku historyków pogłosek ma obiecane od samego Tuska stanowisko prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Warto zatem znieść tę kompromitację dla obecnych i przyszłych profitów.

Kto śledzi „prace" komisji Stróżyka, ten się w cyrku nie śmieje. Tak można podsumować cały temat raportu Piątka, Mierzyńskiej i Suchanow. Doskonale widać, że komisja powołana przez Donalda Tuska z propagandowym przytupem nie jest zdolna do wykrycia rzeczywistych działań Kremla w Polsce. Ale wątpliwe, aby to był jej prawdziwy cel. Tym było wykreowanie pałki na PiS i prawicę w ogóle. To jednak też się słabo udało, a to z powodu głupoty, lenistwa i oportunizmu kierownictwa oraz członków komisji.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Wojna w rodzinie

Najgroźniejszymi rywalami Rafała Trzaskowskiego są kandydaci z partii koalicji rządzącej

STANISŁAW JANECKI

Udział w wyborach prezydenckich trojga kandydatów koalicji rządzącej (Rafał Trzaskowski, Szymon Hołownia, Magdalena Biejat) oraz startującego z listy Nowej Lewicy kandydata Koła Poselskiego Razem (Adrian Zandberg) niezależnie od intencji ich samych oraz ugrupowań, które ich wystawiły, oznacza wojnę w rodzinie (wojnę domową). Nieprzypadkowo zaniepokoił się tym były premier Leszek Miller i wezwał konkurentów Trzaskowskiego, by zrezygnowali jeszcze przed 18 maja 2025 r. (pierwszą turą wyborów), bo jeśli nie, to wszystko się posypie. Nadzieje, że taki krok dałby prezydentowi Warszawy zwycięstwo w pierwszej turze, są naiwne, raczej przykrywają strach, że wojna w rodzinie zaszkodzi przede wszystkim sondażowemu faworytowi.

Najgorętszą odsłoną tego konfliktu jest walka wybrańca Koalicji Obywatelskiej Rafała Trzaskowskiego z kandydatem Polski 2050 (Trzeciej Drogi) Szymonem Hołownią. Już kilka miesięcy przed ogłoszeniem terminu wyborów zaczęło się dostarczanie mediom kompromitujących materiałów na marszałka Sejmu. Trzaskowski musi go „niszczyć", żeby odbierać mu głosy. Uderzenie w Hołownię ma obniżyć poparcie dla niego do poziomu poniżej 5 proc., a optymalnie do ok. 3 proc. Realizację takiego planu zdają się potwierdzać sondaże. W tym przeprowadzonym przez CBOS (w styczniu 2025 r.) Rafał Trzaskowski uzyskał 35 proc. głosów, Szymon Hołownia – 6 proc. (Magdalena Biejat – 3 proc., a Adrian Zandberg – 2 proc.). Miesiąc wcześniej w badaniu Ipsos dla TVP Info Hołownia miał jeszcze poparcie na poziomie 8 proc. W badaniu United Surveys na zlecenie Wirtualnej Polski z sierpnia 2024 r. chciało na niego głosować 11,2 proc. wyborców, a w lutym 2024 (ta sama sondażownia i ten sam zamawiający) obecny marszałek Sejmu był liderem, mając poparcie 24,8 proc. (Rafał Trzaskowski – 22,2 proc.).

Ataki na Hołownię mają doprowadzić do przejęcia przez Trzaskowskiego większości tych wyborców, którzy deklarowali poparcie dla marszałka Sejmu choćby w lutym 2024 r. Te głosy wydają się sztabowcom prezydenta Warszawy najłatwiejsze do odbicia z powodu podobieństwa oferty wyborczej i współpracy w rządzie. Tym bardziej jeśli uda się wdrukować ludziom, że Hołownia to kandydat ze skazą, a nawet wieloma skazami, więc choćby dlatego nie warto na niego głosować.

JAK WY W HOŁOWNIĘ, TO MY W TRZASKOWSKIEGO

Już od jesieni 2024 r. trwa „bombardowanie" Hołowni (a przy okazji jego prawej ręki Michała Koboski) przez „Newsweek" w związku z ich „studiami" na sprzedającej dyplomy (także podyplomowych studiów executive MBA) uczelni Collegium Humanum. W styczniu 2025 r. doszło do tego kompromitowanie ich partii – Polski 2050 w kwestii finansów. „Newsweek" z 13 stycznia 2025 r. zrobił z tego temat okładkowy – „Co ukrywa partia Hołowni". A ukrywać ma przede wszystkim podejrzane finansowanie kampanii (parlamentarnej, samorządowej) przez posłankę (kandydatkę na prezydenta Wrocławia) Izabelę Bodnar. Przy czym nie chodzi tylko o nią, lecz o całą partię, gdyż tygodnik sugeruje, że jej najlepszym spon-

eprasa.pl 8e99d6d4d0

sorem jest mąż – Maciej Bodnar, baron śmieciowy z Dolnego Śląska.

Przez wiele tygodni chłopcem do bicia był tylko Szymon Hołownia, ale w styczniu 2025 r. zaczęło się to zmieniać. Niemal w tym samym czasie, gdy „Newsweek" demaskował podejrzane finansowanie Polski 2050, portal Wirtualna Polska podał, że Miejskie Zakłady Autobusowe w Warszawie kupiły od prywatnego przewoźnika zajezdnię autobusową, ale na jej terenie znajduje się instalacja do tankowania autobusów gazem, a ona nie została kupiona. Należy do firmy Omne Energia, która wcześniej była własnością wpisanej na listę sankcyjną rosyjskiej firmy Cryogas M&T Poland. Ta rosyjska firma była warta kilkaset milionów złotych, a została sprzedana Omne Energii za jedyne 3 zł. Nowy właściciel chciał usunięcia spółki z listy sankcyjnej, lecz kierownictwo MSWiA za rządów PiS nie zgodziło się na to, twierdząc, że ustalona cena „nie ma uzasadnienia ekonomicznego" i transakcja ma charakter pozorny. Jednak po zmianie władzy w grudniu 2024 r. skreślono Omne Energię z listy sankcyjnej. Uznano tym samym, że zakup 100 proc. akcji za 3 zł to normalny biznes.

Rafał Trzaskowski, w którego uderza ta sprawa, twierdzi, że o niczym nie wiedział. Szef MSWiA Tomasz Siemoniak w TVN24 uznał, że skoro spółka przestała być rosyjska, to usunięcie z listy sankcyjnej było uzasadnione. I zapewniał, że obowiązuje embargo na rosyjski gaz, także LPG. Zaklinał się, że w warszawskich autobusach nie ma rosyjskiego surowca i nie istnieje ryzyko, że się on pojawi, gdyż nikt go nie sprowadza. Siemoniak stwierdził, że „cała ta akcja służyła temu, żeby uderzać w prezydenta Trzaskowskiego i sugerować, że w warszawskich autobusach jest tankowany rosyjski gaz".

Atakowanie Hołowni ma przede wszystkim zasiać wątpliwości w wyborcach PSL (koalicjanta Polski 2050) i sprawić, że albo wielu z nich nie pójdzie na wybory, albo przeniesie swój głos na Trzaskowskiego, który intensywnie pracuje nad wizerunkiem kandydata centrum, a nawet konserwatywnego, choć to tylko teatr. Odium finansowych machlojek ma odstręczać od Hołowni także wielkomiejski elektorat samej Polski 2050. Jej wyborcy czerpią informacje m.in. z takich mediów, jak „Newsweek" i traktują je poważnie. Ale zaczęło się też grillowanie Trzaskowskiego za pomocą „rosyjskiego gazu", więc wojna w rodzinie przestała mieć tylko jeden cel ataku.

Punktowe uderzenia medialne były już zresztą (i nadal są) skierowane w należące do Polski 2050 szefowe resortów klimatu i środowiska (Paulina Hennig-Kloska) oraz funduszy i polityki regionalnej (Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz). Przedstawia się je jako nieudolne w ważnych resortach (co akurat nie jest dalekie od prawdy), a przez to kompromitujące cały rząd. Ale tak się składa, że szefowe ministerstw klimatu i funduszy ujawniają ukryte cele i działania rządu Donalda Tuska, przede wszystkim w kwestii skutków Zielonego Ładu (Hennig-Kloska) czy cięć z obszarze infrastruktury (Pełczyńska-Nałęcz), np. dotyczących kolei w ramach projektu CPK. To taka wojna *per procura* między kandydatami na prezydenta.

> Zaplecze Trzaskowskiego będzie osłabiało i próbowało kompromitować Hołownię oraz zaczepiać Biejat i Zandberga, a ci nie mogą pozostać obojętni. Czeka nas gorący przednówek w koalicji

Przed wyborami prezydenckimi Tusk nie wyrzuci z rządu przedstawicielek Polski 2050, gdyż kryzys gabinetowy uderzyłby także w Trzaskowskiego. Ale można się spodziewać kolejnych ataków. Np. takich, które by wywoływały i pogłębiały konflikty między Polską 2050 a PSL.

HAKI PILNIE POSZUKIWANE

W kampanii prezydenckiej nie da się uniknąć kolizji między Rafałem Trzaskowskim a kandydatką Nowej Lewicy Magdaleną Biejat, która wprawdzie reprezentuje koalicję 13 grudnia, ale wywodzi się z Partii Razem, a poza tym musi się czymś odróżniać od Trzaskowskiego. A jeśli jej kampania będzie szkodzić przede wszystkim jemu, przeciwko niej zostaną wypuszczone różne „psy gończe" KO i skończy się Wersal. Wtedy konflikt się zaostrzy, a Biejat będzie musiała się bronić, uderzając w Trzaskowskiego.

Kandydatkę Nowej Lewicy czeka też bratobójcza walka z Adrianem Zandbergiem, ale on zyska najwięcej głosów tylko dzięki zaatakowaniu Rafała Trzaskowskiego i Koalicji Obywatelskiej. I będzie w tym wiarygodny, robił to już bowiem przed zgłoszeniem swojej kandydatury. W sztabie prezydenta Warszawy słychać, że trwają intensywne poszukiwania jakichś haków na Zandberga, żeby odechciało mu się atakować władzę oraz Trzaskowskiego jako wiceprzewodniczącego PO współodpowiedzialnego za to, co robi (czego nie robi) rząd.

Zaplecze Trzaskowskiego będzie osłabiało i próbowało kompromitować Hołownię oraz zaczepiać Biejat i Zandberga, a ci nie mogą pozostać obojętni. Szczególnie Hołownia, który ma za sobą takich ludzi, jak Jacek Cichocki, obecnie szef kancelarii Sejmu, ale wcześniej nadzorujący tajne służby i mający dużą wiedzę o samym Donaldzie Tusku (był jego bliskim współpracownikiem). A to oznacza prawdopodobne uruchomienie haków, jakimi dysponują np. służby czy ich emerytowani oficerowie, których można wykorzystać w różnych wojenkach. O ile Trzaskowski ma interes w wojnie z Karolem Nawrockim, o tyle Hołownia, Biejat i Zandberg mogą poprawić swoje notowania tylko kosztem prezydenta Warszawy. Czeka nas więc gorąca wojna w rodzinie (swego rodzaju wojna domowa w koalicji 13 grudnia).

Chociaż rządzący mają już kontrolę nad Radą Mediów Narodowych, nie chcą przed wyborami powołać „legalnych" szefów publicznych mediów, bo to wywołałoby kolejne niebezpieczne dla nich konflikty o podział stołków. A trzeba pamiętać, że ta wojna w rodzinie dopiero wchodzi w gorącą fazę, gdyż oficjalna kampania wyborcza zaczęła się 15 stycznia 2025 r.

Fot. Andrzej Wiktor x3, Shutterstock

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Mokre sny reżimu

Przez długi czas – aż do początku minionego tygodnia – nie było nowych sondaży. Być może wynikało to z przerwy świątecznej, ale niektórzy uważali, że za tym milczeniem kryją się niekorzystne dla obecnej władzy zmiany nastrojów opinii publicznej.

Rzeczywiście, gdy na początku zeszłego tygodnia pojawiły się długo oczekiwane wyniki badań opinii publicznej, mogły być one wstrząsem dla zwolenników rządzącego reżimu. Nastąpił bowiem gwałtowny spadek poparcia dla Rafała Trzaskowskiego, sięgający według jednego z sondaży aż 9 pp. Jednocześnie Karol Nawrocki zbliżył się do swojego konkurenta na niewielki dystans i jeśli dotychczasowa dynamika zostanie zachowana, ma spore szanse na rychłe wyrównanie wyników, a nawet wyjście na prowadzenie. Zwolenników przybywa również Sławomirowi Mentzenowi, podczas gdy adiutanci Tuska w rodzaju Szymona Hołowni i Magdaleny Biejat pozostają daleko w tyle. Wniosek z tego taki, że po zaledwie roku swoich nieudolnych rządów obecny reżim traci dotychczasową przewagę i zapowiadane „domknięcie systemu" może się okazać niemożliwe. Chyba że Tusk sięgnie po nadzwyczajne środki.

Ze strony PO padały pod adresem PiS oskarżenia o represje polityczne, łamanie praworządności, zapędy cenzorskie, a nawet wyprowadzanie wojska na ulice. Partia Tuska zarzucała prawicy najgorsze skłonności, ponieważ sama je miała. I teraz, gdy zdobyła władzę, wprowadza swoje ponure fantazje w życie

KONRAD KOŁODZIEJSKI

najbliższych wyborach, to do władzy wróci PiS, a wszyscy na tej sali pójdą siedzieć" – tak według Onetu miał powiedzieć Tusk na zamkniętym spotkaniu partyjnym PO w marcu.

A więc wóz albo przewóz. Stawką najbliższych wyborów prezydenckich jest w dłuższej perspektywie przetrwanie reżimu. Przy czym, co bardzo istotne, chodzi tu nie tylko o uniknięcie odpowiedzialności politycznej, lecz także karnej. W tym kontekście komunikat Tuska jest bardzo czytelny: albo będziemy „naprawdę walczyć", albo pójdziemy siedzieć.

Wynika z tego, że dotychczasowa „walka" była zbyt niemrawa, a jej metody – zbyt łagodne. Dlatego prawdopodobnie czeka nas zaostrzenie represji, tak aby wynik wyborów prezydenckich był po myśli urzędującego premiera. Naturalnie nikt nie będzie się przejmował prawem, bo w ciągu ostatniego roku większość bezpieczników chroniących ustrój została zerwana. Ludzie, którzy się tego dopuścili, nie mają żadnych skrupułów, aby pójść dalej, ponieważ alternatywą jest dla nich utrata władzy i sąd. Będą więc walczyć o wygraną za wszelką cenę. I właśnie do takiej walki motywował ich Tusk.

WÓZ ALBO PRZEWÓZ

Za komuny władza nie rozmawiała ze społeczeństwem, lecz wydawała komunikaty. Inteligentni obserwatorzy byli czasem w stanie odsiać z nich ideologiczną nowomowę i dokopać się do realnej treści. Dziś znów zaczynamy pogrążać się w politycznej opresji. Dlatego warto przypomnieć sobie stare umiejętności i zastosować je do obecnej władzy.

W ostatni wtorek Donald Tusk wydał oświadczenie na temat tegorocznych wyborów prezydenckich. „Główny pojedynek będzie taki, jak dzisiaj mniej więcej sondaże pokazują. Wierzę, że ta przewaga Rafała Trzaskowskiego zostanie utrzymana, ale ona nie jest gwarantowana w żaden sposób. Trzeba będzie naprawdę walczyć" – zapowiedział.

Warto teraz zestawić sobie te słowa premiera z jego wyznaniem sprzed prawie roku. „Jeśli damy ciała w kilku

MECHANIZM PROJEKCJI

Wezwanie do walki oznacza przede wszystkim kolejną ofensywę przeciwko PiS i dalsze „rozliczenia". Chodzi o sparaliżowanie działań opozycji i odcięcie tlenu Karolowi Nawrockiemu. Reżimowi nie udało się, stosując sztuczki formalne, zablokować wypłaty subwencji dla PiS, więc minister finansów, idąc na rympał, wstrzymuje wypłatę należnych środków. Jak na dłoni widać tu mechanizm, o którym wspomniałem wyżej. Andrzej Domański jest gotów pójść w przyszłości za kraty, byleby tylko nie narazić się Donaldowi Tuskowi. Obecny premier jest tu kimś w rodzaju capo di tutti capi – szefem wszystkich szefów, któremu należy się większa lojalność aniżeli własnemu państwu i jego obywatelom. Warto to powtórzyć: gdy raz złamało się prawo, to najczęściej wszelkie inne granice znikają. I zdaje się, że ten mechanizm stał się źródłem władzy Tuska nad jego urzędnikami.

Fot. Studio graficzne Fratria, referencje Shutterstock

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Zagłodzenie PiS stanowi ważny cel obecnego reżimu, ale to zaledwie preludium do dalszych działań. Co ciekawe, aby je przewidzieć, nie musimy posiłkować się wyobraźnią ani skomplikowanymi analizami. Wystarczy bowiem przypomnieć sobie, co Tusk zarzucał Prawu i Sprawiedliwości, gdy sam był w opozycji.

Ze strony PO padały wówczas oskarżenia o represje polityczne, łamanie praworządności, zapędy cenzorskie, a nawet wyprowadzanie wojska na ulice. Żaden z tych zarzutów się nie potwierdził, jednak nie w tym tkwi sedno sprawy. Chodzi o to, że ludzie obecnego reżimu zawsze obwiniali PiS o najbardziej paskudne skłonności, ponieważ sami je mieli. To znane w psychologii zjawisko projekcji, gdy przerzucamy swoje intencje na innych. Czy idąc ulicą, podejrzewamy mijanych ludzi, że chcą nas zabić? Oczywiście, że nie. Takie podejrzenia może mieć tylko ktoś, kto sam ma mordercze zamiary. Dlatego przypisuje je innym.

Podobnie jest z Platformą. Oskarżała PiS o najgorsze rzeczy, bo chodziły one po głowie jej politykom. I teraz, gdy zdobyli władzę, wprowadzają swoje ponure fantazje w życie.

POWSZECHNE „UMOCZENIE"

Zacznijmy od represji politycznych. Do takich działań na pewno zalicza się niezgodna z prawem blokada subwencji dla opozycji, podobnie jak nagonka prokuratury na polityków PiS. Dodajmy – mało skuteczna, bo mimo roku intensywnych śledztw ciągle nie udaje się postawić wiarygodnych zarzutów. I nie chodzi tu o nieudolność organów ścigania, dla których sprawy polityczne są dziś priorytetem (kryminaliści mogą być bardzo zadowoleni z tego powodu), ale o brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Nie pomogły nawet areszty wydobywcze zastosowane wobec ks. Michała Olszewskiego i byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości.

W tej sytuacji reżim odgrzewa stare kotlety. Tuż po publikacji nowych sondaży dowiedzieliśmy się o wznowieniu dochodzeń w sprawie wypadku z udziałem premier Beaty Szydło (słynna kolizja z fiatem cinquecento) oraz dwóch wież, czyli w sprawie nieruchomości spółki Srebrna, w której szwarccharakterem miał być sam Jarosław Kaczyński. Obie miały ostateczny finał w sądzie, w pierwszym przypadku sąd uznał winę kierowcy cinquecento, a w drugim odrzucił skargę na odmowę wszczęcia postępowania przez prokuraturę. Teraz jednak słyszymy, że stało się tak wskutek upolitycznienia ówczesnych organów ścigania i że prokuratorzy odpowiedzialni za tamte śledztwa poniosą konsekwencje.

Trudno odczytywać to inaczej jak zapowiedź czystek, co może jeszcze bardziej sparaliżować pracę prokuratury. Chętnych do prowadzenia spraw z polityką w tle będzie coraz mniej. Skoro można bowiem karać śledczych za sprawy sprzed kilku lat, to jaka jest gwarancja, że po zmianie władzy podobne represje nie dotkną prokuratorów obecnej władzy? Zwłaszcza że tym razem powody nie będą naciągane.

Znowu chodzi jednak o to samo, co w przypadku polityków. W łamanie prawa trzeba „umoczyć" jak największą liczbę ludzi, aby potem pazurami bronili obecnego reżimu przed klęską. Bo jego upadek będzie się wiązał z osobistymi konsekwencjami dla „umoczonych". Inaczej mówiąc, reżim szykuje sobie kadrę gotowych na wszystko prokuratorów.

Może to oznaczać, że w tej chwili są preparowane poważne sprawy. Tę tezę potwierdzają również niedawne doniesienia „Newsweeka". Według nich Tusk miał zagrozić Adamowi Bodnarowi, że jeśli ten nie przyspieszy „rozliczeń", to wrzuci mu na zastępcę Romana Giertycha. Należy się zatem spodziewać, że tak „zmotywowany" Bodnar dociśnie wkrótce pedał gazu.

W „rozliczeniach" chodzi o stawianie politykom opozycji kryminalnych zarzutów. O sprzeniewierzenie, złodziejstwo, marnotrawstwo. Społeczeństwo ma uwierzyć, że Polską przez osiem lat rządzili kryminaliści i pod żadnym pozorem nie można im oddać władzy. Nawet jeżeli te sprawy nie skończą się aktami oskarżenia, to przynajmniej zniszczą reputację polityków PiS. Zawsze można też podjąć decyzję o tymczasowym aresztowaniu kilku parlamentarzystów opozycji, co powinno pokrzyżować jej szyki. Są przecież precedensy.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

CAŁY NARÓD JEDNYM GŁOSEM

Gdyby zarzuty kryminalne okazały się zbyt naciągane, pozostaje jeszcze jedna możliwość – oskarżenie o szerzenie mowy nienawiści lub o wspieranie Putina. Oba mają tę zaletę, że można je postawić właściwie każdemu i w każdej sytuacji.

Czym jest bowiem mowa nienawiści? Dotychczasowa praktyka wskazuje, że to świadomie nieostre pojęcie stosowane wyłącznie wobec treści uznawanych za niewygodne lub niebezpieczne dla liberalno-lewicowej oligarchii trzęsącej dziś Europą. W Polsce byłyby to np. treści krytyczne wobec obecnego reżimu, poglądy konserwatywne, katolickie, a także takie, które – choćby z tradycyjnie lewicowej perspektywy – uderzają w interesy finansowe grupy trzymającej władzę. Do mowy nienawiści zaliczają się także „niepoprawne politycznie" żarty czy memy – wszystko, co mogłoby zaboleć obecny reżim, jego klientelę i mocodawców. Wymienione kategorie, całkowicie dopuszczalne w ramach wolności słowa oraz swobodnej wymiany myśli i poglądów, zostały celowo pomieszane z postawami skrajnymi, nazistowskimi czy rasistowskimi, aby w ten sposób postawić znak równości między nimi. Jesteś katolikiem? Uważasz, że inni kradną? Zadajesz niewłaściwe pytania? Drwisz z władzy? To znak, że jesteś nazistą, nawołujesz do przemocy i trzeba cię ukarać.

Podobnie jest z zarzutami o wspieranie putinowskiej Rosji. Wystarczy mieć krytyczny pogląd na funkcjonowanie Unii Europejskiej, samobójczą politykę Zielonego Ładu, zmiany klimatyczne czy autorytarne zapędy liberalnych reżimów, aby zostać oskarżonym – na razie tylko werbalnie – o niszczenie „jedności Zachodu" i sprzyjanie Putinowi. Biorąc jednak pod uwagę prace nad nowelizacją Kodeksu karnego, do którego mają trafić przepisy o mowie nienawiści, już wkrótce za podobne opinie będziemy trafiać przed oblicze prokuratora i sądu. Będzie to dotyczyło nie tylko polityków PiS, lecz także każdego, kto ośmieli się publicznie krytykować reżim i jego politykę.

Pomysły blokowania mediów społecznościowych, które pojawiły się ostatnio w Polsce, są kolejnym przejawem cenzury. Podobnie należy odczytywać zapędy reżimu do zamykania niewygodnych stacji telewizyjnych. Społeczeństwo ma zostać pozbawione głosu.

Jakże śmiesznie i zarazem tragicznie wypadają na tym tle antypisowskie demonstracje sprzed lat, których uczestnicy paradowali z ustami zaklejonymi czarną taśmą. Nikt im wtedy nie odbierał głosu, za to dziś oni sami chcą z szatańską gorliwością pozbawiać go innych.

WYJŚCIE AWARYJNE

Mówiąc o odbieraniu głosu przez obecny reżim, należy jednak myśleć nie tylko o cenzurze, lecz także o głosie wyborczym. I znów warto się cofnąć o pięć lat, gdy nasi „uśmiechnięci demokraci" przekonywali, że PiS chciało sfałszować wybory prezydenckie. Dziś nie ulega już chyba wątpliwości, że głodnemu zawsze chleb na myśli i Platforma przerzucała na Prawo i Sprawiedliwość własne urojenia.

Po wyczynach liberalnych zamordystów w Rumunii, gdzie, jak przyznał unijny aparatczyk Thierry Breton, tamtejsze wybory prezydenckie zostały brutalnie „skręcone" i unieważnione, nikt nie może mieć pewności, że podobny scenariusz nie powtórzy się nad Wisłą. Zwłaszcza że Breton nie wykluczył takiej możliwości w odniesieniu do Niemiec.

Sugerował to zresztą sam Tusk, zasłaniając się – podobnie jak czyniono w Rumunii – ryzykiem obcej manipulacji, przy czym jest to eufemizm oznaczający putinowską Rosję, którą, jak wiemy z enuncjacji Tomasza Piątka, mają reprezentować głównie politycy PiS. „Nauczeni doświadczeniem z ostatnich lat w Polsce i w innych państwach Europy nie pozwolimy na obcą ingerencję w nasze wybory" – napisał w połowie grudnia Tusk na platformie X. Niektórzy odczytali to jako ostrzeżenie, że jeśli nie wygra kandydat PO, głosowanie zostanie unieważnione.

> Gdy raz złamało się prawo, to najczęściej wszelkie inne granice znikają. I zdaje się, że ten mechanizm stał się źródłem władzy Tuska nad jego urzędnikami

To wyjście awaryjne, jeśli zawiodą wszystkie inne środki, takie jak zagłodzenie opozycji, aresztowanie jej posłów oraz zakneblowanie niezależnych mediów i internetu. Do czasu wyborów reżim zapewne tyle razy brutalnie podepcze prawo, że tego rodzaju zamach stanu będzie już tylko formalnością. Zwłaszcza że Tusk ma potężnych protektorów z Unii.

Gdyby zaś ludzie wyszli protestować, zawsze można wyprowadzić wojsko na ulice. Zgodnie z ubiegłoroczną nowelizacją ustawy o obronie ojczyzny armia może prowadzić działania również podczas pokoju, jeżeli „okoliczności wymagają natychmiastowego działania, w szczególności w sytuacjach zagrożenia granicy państwa, obiektów infrastruktury krytycznej, bezpieczeństwa ludzi lub mienia w znacznych rozmiarach, w tym w przypadku gdy siły i środki służb podległych ministrowi właściwemu do spraw wewnętrznych lub przez niego nadzorowanych mogą okazać się nieadekwatne".

I choć ta nowelizacja jest uzasadniona – mamy przecież wojnę u naszych wschodnich granic – to jakie są gwarancje, że obecny reżim nie wykorzysta tych przepisów w zupełnie innym celu? W końcu jeszcze niedawno Platforma alarmowała, że PiS chce wysłać armię przeciwko obywatelom, a Wojska Obrony Terytorialnej miały być oddziałami szturmowymi Macierewicza.

Jeśli wtedy mieliśmy do czynienia z fantazjami Platformy na temat jej przyszłych rządów, to dziś nie powinniśmy wykluczać żadnego scenariusza. Bo jak na razie wszystkie urojenia, które zrodziły się w głowach polityków tej formacji, stają się rzeczywistością.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Patocelebryta i inni stypendyści minister kultury

Jaś Kapela to jedynie skandalizujące alter ego rządu Donalda Tuska symbolizujące degradację polskiej kultury. Stypendia minister Wróblewskiej są kierowane wyłącznie do jednej, lewicowej grupy ludzi zajmujących się działaniami nazywanymi przez nich sztuką

MACIEJ WALASZCZYK

Stypendystą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego kierowanego przez Hannę Wróblewską został Jaś Kapela, a więc niegardzący mocnymi używkami lewicowy działacz związany z „Krytyką Polityczną", a do tego uczestnik walk w klatkach uprawiający podgatunek poetyckiego slamu. Dla żywiących się sensacjami mediów to skandalista, który powyższe „aktywa" sprawnie zamienia na pieniądze. Także z pomocą państwa.

Zdaniem Mateusza Wernera, filozofa kultury, krytyka filmowego, do niedawna kierującego pismem literackim „Twórczość", Kapela jest dziś po prostu środowiskowym celebrytą i aktywistą politycznym.

– Jeszcze kilkanaście lat temu uchodził za skandalizującego młodego pisarza, który starał się zwrócić na siebie uwagę kontrowersyjnymi działaniami. Ale od kiedy zaczął „walczyć w kisielu", przeszedł do innej kategorii i obdarzanie go państwowym stypendium jest czymś niewłaściwym. To nie jest sytuacja porównywalna do tej, gdy Marek Hłasko czy Ireneusz Iredyński upili się i wdali w jakąś awanturę w lokalu, bo oni po powrocie do domu tworzyli po prostu niezłą literaturę – wyjaśnia.

Kapela na pewno jest symbolem szkód, jakie wyrządza kulturze rząd Tuska premiujący za pośrednictwem ministerstwa środowiskowe subkultury, które dokonują podboju nadzorowanych przez nie instytucji. Otóż okazało się, że za roczne stypendium w wysokości 6 tys. zł brutto miesięcznie Kapela ma napisać teksty do musicalu na temat aborcji. Fragmenty prowokacyjnej grafomani opublikowały media, do których sam je rozesłał. Sprawa rodzi uzasadniony niesmak i oburzenie, a pewno wiele mówi o komisji opiniującej wnioski o przyznanie stypendiów twórczych.

Faktycznie Kapela stał się szerzej znany po tym, gdy zaczął występować w patowalkach organizowanych przez Prime Show MMA, jedną z najważniejszych federacji freak fight

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8e99d6d4d0

w kraju. W lipcu 2015 r., a więc w okresie szczytu kryzysu uchodźczego, opublikował film zatytułowany „Mazurek Kapeli – Polacy witają uchodźców!", którego „artystyczna modyfikacja" polegała na parodiowaniu słów hymnu narodowego.

Reszta z 250 ministerialnych stypendystów podobnie jak skandalizujący patocelebryta reprezentuje niemal wyłącznie to samo lewicowe środowisko. Wsparcie państwa otrzymały bowiem w większości osoby zajmujące się literaturą, krytyką, sztukami plastycznymi i wizualnymi, których działalność krańcowo odbiega od wrażliwości większości Polaków. Co więcej, to ludzie już od dawna zakotwiczeni w systemie dotacji, nagród i stypendiów, często korzystający również ze wsparcia instytucji związanych z Warszawą rządzoną przez Rafała Trzaskowskiego, a także z Gdańskiem, Poznaniem czy Lublinem, a więc miast od lat zarządzanych przez ludzi bliskich PO i Lewicy.

– Pomijając okres, w którym rządziło PiS, artystów w szerokim rozumieniu, którzy reprezentują malarstwo nierealizujące tematów politycznych czy prowokacji, nie było w przestrzeni sztuki i kultury. Oni nie istnieli dla tego systemu z wyjątkiem tych kilku lat rządów prawicy. Ale nastąpiła zmiana i powróciło „stare" – tłumaczy dr Janusz Janowski, który przed rokiem i w trakcie kadencji został odwołany z funkcji dyrektora Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki. Przyznaje, że niestety, ale w ogóle nie podejmuje się dyskusji o tym, czy projekty, które otrzymują wsparcie ze środków publicznych, mają jakąkolwiek wartość.

TĘCZOWI, MNIEJSZOŚCI I FEMINISTKI

Typowym przykładem jest Waldemar Tatarczuk, związany z Lubliniem performer, kurator sztuki, założyciel galerii Labirynt. Miejsca od lat skandalizującego, mekki środowisk lewackich. Właśnie tam powstała wystawa „Nigdy nie będziesz szła sama", mająca być pokłosiem organizowanych przez środowiska aborcyjne i feministyczne protestów po wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Instytucji zarzucano promowanie komunizmu i narkomanii, nawoływanie do mordowania nienarodzonych, promowanie pornografii, wynaturzeń i dewiacji czy przygotowywanie z wykorzystywaniem środków publicznych przedmiotów przypominających sztuczne waginy i penisy oraz transparentów zawierających wulgarne słownictwo. Obecnie można tam zobaczyć wystawę na temat... ropy. Tak jest anonsowana: „Ropa to śmierć objawiająca się pod postacią skażenia środowiska, wojen surowcowych i widma katastrofy klimatycznej".

Wśród stypendystów tworzących literaturę większość stanowią osoby będące już wcześniej laureatami środowiskowych nagród, np. fundowanej przez „Gazetę Wyborczą" Nagrody Nike, Nagrody im. Adama Włodka, Nagrody Literackiej Gdynia lub Paszportów Polityki. Jedną z nich jest m.in. Natalia Malek, zdaje się, że ulubienica tego środowiska, autorka wierszy i recenzji publikowanych w „GW", a zarazem stypendystka Fundacji Genshagen w Berlinie, określającej swe cele jako „wzmacnianie Europy i kulturowej różnorodności". Oczywiście Malek jest też powiązana z warszawskimi

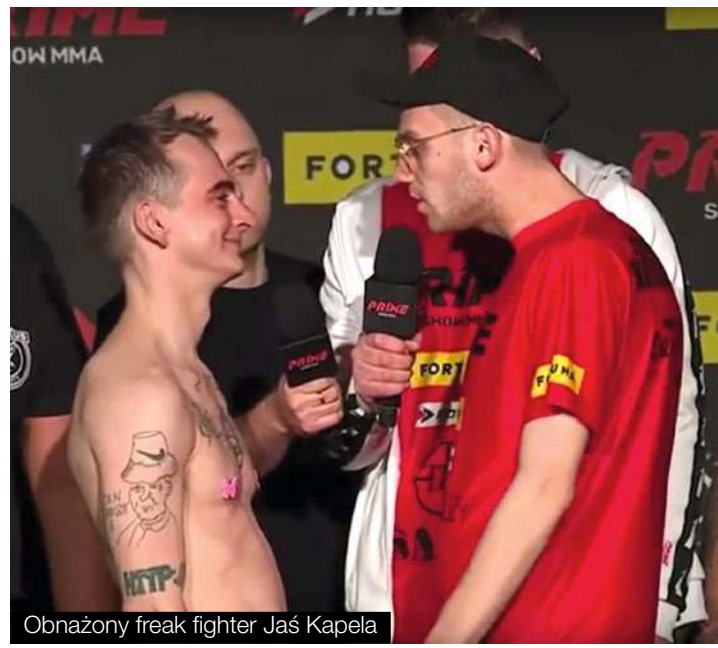

Obnażony freak fighter Jaś Kapela

instytucjami, choćby będąc w ub.r. kuratorką imprezy „Wiersze w mieście". Prezentowano podczas niej utwory poetyckie na temat zmian społecznych, politycznych, technologicznych czy klimatycznych, z których jedna trzecia miała być napisana w językach mniejszości narodowych i etnicznych, np. kaszubskim czy łemkowskim.

Bernadetta Darska to znów „feministka i literaturoznawczyni oraz krytyczka", autorka biografii Małgorzaty Szejnert, która nie tylko współtworzyła „Gazetę Wyborczą", lecz także przez wiele lat kierowała w niej działem reportażu. Książki Darskiej wręcz obsesyjnie skupiają się na tematyce kobiecej, to przewodniki po prasie feministycznej czy postaciach kobiet bohaterek powieści kryminalnych. Podobną literaturę tworzy Dominika Słowik, autorka raptem kilku książek, eksploatująca tematykę ekologii, „schyłku antropocentryzmu" i tożsamości płciowych. Remigiusz Ryziński to znów reportażysta oraz działacz na rzecz środowiska LGBT+, także naukowo rozprawiający o feminizmie, teoriach gender i queer. Kilka lat temu dał o sobie znać książką reportażem „Hiacynt. PRL wobec homoseksualistów".

WNUCZKA OBYWATELA WOLNEGO MIASTA GDAŃSKA

Stypendystką jest także Elżbieta Benkowska, kiedyś nominowana nawet do Złotej Palmy za film „Olena" pokazujący perypetie pary Ukraińców, którzy podróżują do Szwecji przez Polskę. W pociągu złodzieje kradną im portfel i w wyniku bójki wyrzucają paszporty na tory. Kiedyś Paweł Adamowicz opowiadał o tym, że jest Europejczykiem i gdańszczaninem. Nie było to przypadek, ale szerszy i od lat lansowany trend budujący alternatywne tożsamości do tej polskiej. Benkowska to więc „wnuczka trzech Kaszubów i obywatela Wolnego Miasta Gdańska".

Fot. Prime Show MMA

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Na liście stypendystów mamy również takie postaci jak L'udmila Bubánová, która jest scenografką i kostiumografką słowackiego pochodzenia mieszkającą w Warszawie. Tworzy tzw. wearable art, dziergając na drutach ubrania mające być jednocześnie „dziełem sztuki". Głównym źródłem jej inspiracji jest „ludzkie ciało i anatomia", oczywiście „wszystkie jego niedoskonałości, ułomności i słabości". I trzeba przyznać, że jej dzieła również są pełne ułomności, słabości i niedoskonałości, dlatego pewnie potrzebna jest im państwowa kroplówka.

Z kolei Urszula Kijak identyfikuje się jako poznanianka, a w „kobiecy ruch sprzeciwu" zaangażowała się już po pierwszych decyzjach rządu PiS. Także uczy i propaguje „niehierarchiczne metody twórczego myślenia i kreatywności bez przemocy". W umieszczonym w sieci filmiku, w którym opowiada m.in. o swojej apostazji, za jej plecami widać transparent z ośmioma gwiazdkami. Warszawa reklamuje zajęcia, które prowadzi jako „warsztaty wzmacniające i przeznaczone dla osób, które »nie dały rady«, tzn. nie miały możliwości zrealizowania pomysłów twórczych". To prawdopodobnie szkolenie dla ludzi pozbawionych talentu, ale w lewackiej nowomowie jest ono określone jako „indywidualne niespełnienie", które można rozbudzić w czasach narastających kryzysów, takich jak pandemia, wojna, kryzys klimatyczny, energetyczny, finansowy i psychiczny. Nie wiem, czy twórczość Pawła Błęckiego można zaliczyć do skutków tego ostatniego, ale na pewno to dobra ilustracja tego, na co idą pieniądze podatnika. Błęcki zajmuje się bowiem budową obiektów przy użyciu artefaktów z „domowych wykopalisk". O co chodzi? Na przykład na odwróconym koszu na śmieci stoi drewniany pieniek, na nim durszlak, w nim zostaje umieszczona plastikowa doniczka, a całość wieńczy niebieski worek na śmieci. Facet czerpie inspirację z „socjologii przedmiotów" i „odprawia dla przedmiotów symboliczny, dziwny, stworzony specjalnie dla nich rytuał pogrzebowy, a więc obrzęd zarezerwowany zwykle dla człowieka".

Alicja Kobza współpracuje zarówno z „Krytyką Polityczną", jak i Fundacją Batorego, a jej grafika zwyciężyła w konkursie na design Warszawskiego Obserwatorium Kultury, instytucji utrzymywanej oczywiście z budżetu Warszawy. Na marginesie – instytucja ta zorganizowała m.in. wystawę pt. „Moje plecy opowiadają. Narracje kobiet ze skoliozą". Sama Kobza dostawała też środki na projekt badawczo-historyczny „Polish Female Graphic Designers 1945–1989", prezentujący sylwetki i twórczość „zapomnianych graficzek PRL".

Błażej Ciarkowski jest znów architektem i historykiem sztuki zajmującym się architekturą PRL, m.in. kierownikiem projektu „Badania nad architekturą nadmorskich kurortów wzniesionych w PRL-u". Jak widać, to jak szerszy trend symbolizowany przez socrealistyczną „klatkę schodową" w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej, mającą być hołdem dla komunistycznego modernizmu.

Anna Baumgart to natomiast artystka wizualna i przedstawicielka „sztuki krytycznej i sztuki feministycznej". W 1995 r. w gdańskiej Galerii Wyspa pokazała realizację Timszel, w której w metaforyczny sposób przypomniała o „zniszczeniach, jakich dopuszcza się człowiek, dążąc do podporządkowania sobie natury". W pracy „Dostałam to od mamy" przedstawiła np. postacie kobiece w ślubnych sukniach, które według opisu „wyjęte wprost z kobiecych marzeń o szczęściu mają jednak na bosych stopach krwawe stygmaty". Ta krew to „bagaż tradycji i schematów wpisanych w patriarchalny system, niezmienny od pokoleń".

WRÓBLEWSKA, CZYLI POMYŁKA

„Środowiska bliskie dzisiejszej władzy krytykowały PiS za upolitycznienie grantów i programów stypendialnych, choć za poprzednich rządów po prostu wydłużyła się lista beneficjentów programów ministerialnych. Teraz ci sami ludzie robią rzeczy, które potępiali, ograniczając grupę stypendystów i odbiorców grantów do swoich sympatyków. Niestety zjawisko partyjniactwa w kulturze coraz bardziej eskaluje i ulega radykalizacji z każdym kolejnym powrotem do władzy. Kilkanaście lat temu standardy były jednak lepsze" – twierdzi Mateusz Werner.

> Okazało się, że za roczne ministerialne stypendium w wysokości 6 tys. zł brutto miesięcznie freak figther Jaś Kapela ma napisać teksty do musicalu na temat aborcji

Decyzje kierującej od ośmiu miesięcy resortem kultury Hanny Wróblewskiej wywołały w środowisku szok. Szefowa MKiDN zlikwidowała dotacje dla nieprawomyślnych wydawnictw i periodyków, rozpoczęła wymianę kadr we wszystkich niemal podległych sobie instytucjach, odwołując m.in. dyrektora Muzeum Historii Polski Roberta Kostrę czy likwidując Departament Restytucji Dóbr Kultury, który zajmował się odzyskiwaniem dzieł sztuki zagrabionych z Polski m.in. przez Niemców podczas II wojny światowej. Skandalem zakończyła się także wymiana dyrektora Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej.

Ciekawe, że w końcówce minionego roku na temat Wróblewskiej bardzo krytycznie wypowiedział się znany aktor Daniel Olbrychski, który uderzył w rząd Tuska. „Rozczarowała mnie nasza koalicja rządząca, którą artyści wspierają, tak jak umieją, w 99 proc. wyborem minister kultury, która jest wstydem dla polskiej kultury i dla tej koalicji" – oświadczył aktor na antenie TVN. Do sprawy odniosła się także jego żona Krystyna Demska-Olbrychska, która już po emisji programu za pośrednictwem mediów społecznościowych dodała kilka ostrych uszczypliwości pod adresem Wróblewskiej: „Uważam, że Daniel trafił w sedno. Bo chociaż zawsze byliśmy wiernymi fanami Donalda Tuska, od zawsze uważamy, że to nasz fantastyczny wódz, to nasza ministra kultury jest niestety tragiczną pomyłką".

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Rodzice przystopowali Nowacką

Pod presją opinii publicznej na starcie prezydenckiej kampanii wyborczej rząd zmienił zdanie i ogłosił, że edukacja zdrowotna z komponentem edukacji seksualnej w roku szkolnym 2025 wbrew pierwotnym zapowiedziom będzie nieobowiązkowa. Rodzice nie składają jednak broni i zapowiadają dalszą walkę

DOROTA ŁOSIEWICZ

Wyłom zaczął się od słów wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza, który stwierdził, że edukacja zdrowotna powinna być przedmiotem dobrowolnym. Zaatakowała go za to minister edukacji narodowej Barbara Nowacka, zarzucając mu, że pomylił MON z MEN. Jednak dzień później to samo zadeklarował Rafał Trzaskowski, a kolejnego dnia Donald Tusk zapowiedział, że planowany szkolny przedmiot edukacja zdrowotna będzie nieobowiązkowy.

To zmusiło Barbarę Nowacką do częściowej zmiany stanowiska: „Edukacja zdrowotna w roku szkolnym 2025 będzie nieobowiązkowa. Później zrobimy ewaluację" – powiedziała na antenie RMF FM szefowa MEN. Minister dodała jednak, że po roku „o nowy przedmiot zostaną zapytani uczniowie i nauczyciele, a nie politycy". „Być może wtedy zmienimy decyzję" – podkreśliła.

Fot. Andrzej Wiktor

03/0125/F

eprasa.pl 8e99d6d4d0

„Będę zachęcała wszystkich do wzięcia udziału w tych zajęciach. Potem bardzo poważnie porozmawiamy z nauczycielami, jak ten program się sprawdza. To nam pozwoli stwierdzić, w jakim kierunku zmierzamy. Uważam, że ci, którzy protestowali przeciwko edukacji zdrowotnej, łącznie z kandydatem PiS panem Nawrockim, zrobili wielką krzywdę dzieciom i młodzieży. Protestują oni przeciwko rzeczom, których nie znają i nie rozumieją" – atakowała Nowacka środowiska rodziców, które brały udział w licznych protestach.

Z kolei wiceminister edukacji Joanna Mucha stwierdziła w Polsat News: „Polską polityką zaczęła rządzić histeria i szantaż ze strony środowisk związanych z PiS".

SPRZECIW RODZICÓW

Przez Polskę przetoczyła się fala protestów związanych z planami wprowadzenia od 2025 r. obowiązkowej edukacji zdrowotnej z komponentem permisywnej edukacji seksualnej typu B bazującej na standardach WHO. Ministerstwo i kuratoria zostały zalane protestami rodziców, lekarzy, nauczycieli oraz pedagogów, którzy krytykowali nie tylko szkodliwą, antyrodzinną, zideologizowaną podstawę programową, lecz także zapowiedziany przymus edukacyjny, który gwałci konstytucyjne prawa rodziców.

– Edukacja zdrowotna, jak stwierdziliśmy w petycji podpisanej przez ponad 8 tys. osób, zawiera treści ukierunkowane na seksualny hedonizm, promocję krzywdzenia i okaleczenia dzieci (tzw. zmiana płci będąca faktyczną kastracją dziecka) oraz zachęcanie do eksperymentowania seksualnego przez dzieci i młodzież. Jako członek Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły podpisujemy się pod protestami rodziców i nauczycieli. 1 grudnia 2024 r. byliśmy formalnym organizatorem manifestacji „Tak dla edukacji, nie dla deprawacji!". Warszawska manifestacja, na której były obecne dziesiątki tysięcy ludzi, uruchomiła lawinę podobnych wydarzeń w całym kraju: Kraków, Szczecin, Radom, wkrótce Olsztyn itd. – komentuje dr Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, który uznaje, że wycofanie się rządu z zapowiedzi, iż edukacja zdrowotna będzie obowiązkowa, należy uznać za częściowy sukces rodziców.

– MEN pod naporem nacisków zapowiada wycofanie się z obowiązkowej edukacji zdrowotnej, jednak, jak podkreśla, po roku ewaluacji będzie chciał wrócić do idei obowiązkowych zajęć. Jako rodzice osiągnęliśmy pewien sukces, jednak nie możemy popadać w triumfalizm, ponieważ najprawdopodobniej jest to jedynie zagrywka przedwyborcza. Jak wskazują niepublikowane badania, edukacja zdrowotna w obecnym kształcie nie ma poparcia większości polskiego społeczeństwa. Rażący jest też fakt, że pretekstem do likwidacji WDŻ jest to, że „dotychczasowa podstawa programowa kształcenia ogólnego w zakresie nieobowiązkowego przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie skupia się jedynie wokół treści związanych z funkcjami rodziny, miłością, przyjaźnią, pełnieniem ról małżeńskich i rodzicielskich, seksualnością człowieka, prokreacją oraz problemami związanymi z okresem dojrzewania". A to oznacza, że przedmiot „edukacja zdrowotna" pozbawi uczniów wiedzy o istocie relacji seksualnych, czyli że powinny być oparte na miłości. Dlatego zamierzamy nadal patrzeć MEN na ręce, zwyczajnie jako rodzice i nauczyciele nie mamy zaufania do poczynań pani minister Nowackiej – dodaje dr Grabowski.

NIE KONIEC WALKI

Dr Zbigniew Barciński, prezes Stowarzyszenia Pedagogów NATAN, uważa, że pełne zwycięstwo w kwestii tego, jak powinna wyglądać edukacja seksualna w polskiej szkole, będzie można ogłosić dopiero wówczas, gdy zostaną spełnione trzy postulaty środowisk zrzeszonych w Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS).

– W sierpniu ub.r. w petycji, którą KROPS wystosowała do MEN, określiliśmy trzy postulaty. Po pierwsze domagamy się utrzymania prorodzinnej edukacji seksualnej w postaci WDŻ. Po drugie nie zgadzamy się na wprowadzenie antyrodzinnej edukacji seksualnej zawartej w ramach edukacji zdrowotnej, a po trzecie nie zgadzamy się na przymus takiej edukacji. Tym, co się w tej chwili

REKLAMA

Zamów na www.esprit.com.pl lub pod numerem telefonu 12 262 35 51

eprasa.pl 8e99d6d4d0

udało, jest odroczenie przymusu na jeden rok – mówi dr Barciński. – Z jednej strony to dużo i to wspólny sukces wielu środowisk: rodziców, organizacji, także kościoła. MEN zostało zmuszone do ustępstw i to dobrze. Z drugiej strony to wciąż za mało, ponieważ ministerstwo nie wycofało się z zamiaru likwidacji prorodzinnej edukacji seksualnej prowadzonej w ramach WDŻ, a ten zamysł wciąż widnieje w projekcie rozporządzenia. W tej sprawie nie padła żadna deklaracja zmiany. Resort chce wprowadzić antyrodzinną edukację seksualną w ramach edukacji zdrowotnej na razie w formule dobrowolnej, ale to wciąż jest uderzenie w rodzinę, prorodzinne wzorce normatywne, rodzinę jako wartość i w żadnym wypadku nie powinno mieć miejsca w szkole. Zadanie, które teraz stoi przed protestującymi środowiskami, m.in. Koalicją na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, to walka o utrzymanie prorodzinnego WDŻ, zablokowanie wejścia do szkoły antyrodzinnej edukacji seksualnej w ramach edukacji zdrowotnej. By osiągnąć te cele, musimy docierać do jak najszerszej grupy rodziców z rzeczowymi informacjami. Rodzice muszą wiedzieć, na czym polega wybór, muszą wiedzieć, co zawiera podstawa programowa – wyjaśnił dr Barciński.

Wszystkich rodziców zainteresowanych tematem warto odesłać m.in. do internetowej strony KROPS, gdzie można znaleźć szczegółową analizę podstawy programowej przedmiotu „edukacja zdrowotna".

Hanna Dobrowolska, współzałożycielka Ruchu Ochrony Szkoły i współtwórczyni Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, bardzo krytycznie ocenia najnowsze deklaracje minister Nowackiej.

– To skandaliczna wypowiedź. Przede wszystkim chodzi o poziom upolitycznienia decyzji dotyczącej nieobowiązkowości edukacji zdrowotnej. Temat zawieszono na rok. A po roku mają się odbyć jakieś wirtualne konsultacje pomiędzy nauczycielami a uczniami. Nauczycielami, którzy *de facto* będą musieli odpowiedzieć, czy chcą zrezygnować z pracy, bo o edukację zdrowotną będą zapewne pytani nauczyciele przedmiotu. Przecież to nie będzie miarodajna opinia! A chodzi o przedmiot z gruntu szkodliwy, deprawujący, wywołujący protesty tysięcy rodziców, które trwają i będą kontynuowane. Taki komunikat ze strony MEN to jawne wyzwanie, jeśli chodzi o konstytucyjne prawa rodziców, które mają obowiązywać jeszcze przez rok, a następnie mają zostać całkowicie zawieszone na mocy decyzji pani Nowackiej. Kontekst i drugie dno deklaracji minister edukacji musi budzić sprzeciw i oburzenie. Te słowa wręcz mobilizują do dalszej walki i tego, by przywołać nasze podstawowe postulaty – nie ma wątpliwości Hanna Dobrowolska.

Jakie to postulaty? – Utrzymanie WDŻ w szkołach. Jeżeli przedmiot pozostanie, będzie można mówić o jakimkolwiek wyborze dla rodziców, którego pani Nowacka teraz próbuje ich pozbawiać. Należy utrzymać prawa rodziców do wychowania w kwestii płciowości, seksualności. One nie mogą być zawieszane lub odwieszane, bo tak się podoba jakiemuś ministrowi. KROPS podpisuje się także pod apelem Federacji Ruchów Obrony Życia skierowanym w liście do wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza, by pozostawić WDŻ w szkołach. Skandaliczny jest też sposób traktowania przez Barbarę Nowacką rodziców. Traktuje się nas jak niewykształconą grupę, która nie wie, w jakiej sprawie zabiera głos! To jest uwłaczające autonomii obywateli i ich świadomości oraz całemu narodowi – nie kryje oburzenia Hanna Dobrowolska.

> Jako rodzice osiągnęliśmy pewien sukces, jednak nie możemy popadać w triumfalizm, ponieważ najprawdopodobniej jest to jedynie zagrywka przedwyborcza – mówi dr Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, o zapowiedzi rządu, że przedmiot edukacja zdrowotna nie będzie obowiązkowy

W RODZICACH SIŁA

Trzeba przypomnieć, że to nie pierwszy raz, gdy z powodu oporu rodziców politycy zmieniają decyzje. Tak było np. z sześciolatkami. Zgodnie z reformą przygotowaną przez gabinet PO-PSL od 1 września 2014 r. do szkół miały pójść wszystkie dzieci urodzone w 2008 r., czyli ok. 400 tys. sześciolatków. Jednak wobec silnego oporu środowisk rodziców w 2013 r. rząd zdecydował, że w 2014 r. do szkoły powinny obowiązkowo pójść sześciolatki urodzone między styczniem a lipcem 2008 r.

W tym samym 2013 r. podczas spotkania z przedstawicielami Fundacji Rzecznik Praw Rodziców premier Donald Tusk przekonywał, że reforma jest skokiem cywilizacyjnym. Tymczasem zdaniem zwolenników referendum w tej sprawie i przeciwników reformy w polskich warunkach byłby to regres intelektualny dla całych roczników, ponieważ polska szkoła nie była przygotowana na tak małe dzieci i nie było w niej odpowiednich warunków dla maluchów. Stowarzyszenie Rzecznik Praw Rodziców, które zebrało niemal 1 mln podpisów pod referendum w sprawie sześciolatków, stało wówczas na stanowisku, że najodpowiedniejszym miejscem dla tak małych dzieci jest zerówka przedszkolna i sprzeciwiało się wrzuceniu maluchów do systemu, by dopiero później naprawiać system. Ostatecznie w grudniu 2015 r., gdy już rządziło Prawo i Sprawiedliwość, Sejm zniósł obowiązek szkolny dla sześciolatków i przedszkolny dla pięciolatków. Zgodnie z nowelizacją ustawy o systemie oświaty dzieci znów mogły obowiązkowo rozpoczynać naukę dopiero w wieku 7 lat.

To także rodzice sprzeciwili się wprowadzeniu do ustawy o systemie informacji oświatowej zapisów umożliwiających gromadzenie przez szkoły i system oświaty danych wrażliwych swoich dzieci. Nie zgodzili się na „wykorzystywanie" bez zgody rodziców niepełnoletnich dzieci jako świadków w postępowaniach dyscyplinarnych dotyczących nauczycieli.

Presja ma więc sens, a politycy muszą się liczyć ze środowiskami rodziców.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

JAN ROKITA

Dziś nikt nie ma wątpliwości, że nastawione na budowę amerykańskiej potęgi i globalnej dominacji rządy Donalda Trumpa obnażą beznadziejność kierunku, w jakim zmierza Europa

Era Trumpa

W 2016 r., dzień po wygranych przez Trumpa po raz pierwszy wyborach prezydenckich, Samuel Altman, lider OpenAI i pionier sztucznej inteligencji, z rozpaczą pisał na Twitterze: „Dzisiejszego wieczoru płaczemy, rozpaczamy i boimy się". Osiem lat później, po drugim zwycięstwie Trumpa, ten sam Altman pisze: „Wielkie gratulacje dla prezydenta Trumpa, życzę mu ogromnych sukcesów!".

Z kolei Mark Zuckerberg, twórca największego medium współczesnego świata, w 2021 r. nałożył na Trumpa sławetny ban na Facebooku, z gorliwością dołączając do grona tych, którzy raz na zawsze uciszyć próbowali nie tylko byłego prezydenta, lecz także stojący za nim ruch amerykańskiej prawicy. Cztery lata później ten sam Zuckerberg nazywa drugie zwycięstwo Trumpa „kulturowym punktem zwrotnym"

Fot. Official White House Photo by Tia Dufour

eprasa.pl 8e99d6d4d0

i przeprowadza trumpistowską rewolucję na Facebooku, znosząc ideologiczną cenzurę i porównując swoje wcześniejsze działania do przerażającej orwellowskiej dystopii „Rok 1984" (w rozmowie z Joe Roganem). Co więcej, zapowiada on, że chce blisko współpracować z nowym prezydentem, aby „odeprzeć ataki rządów ścigających amerykańskie firmy i naciskających na wzmocnienie cenzury", co oczywiście dotyczy głównie unijnej Europy.

Każdy wie o nowej politycznej roli Elona Muska, bezspornie najważniejszego lidera biznesu na świecie, bo on i Trump występują obecnie jako polityczny tandem o wspólnych celach i absolutnej wzajemnej lojalności.

CHINY: I WRÓG, I PARTNER

Musk, Zuckerberg czy Altman to tylko spektakularne przykłady przemiany ideowej, która następuje na szczytach amerykańskiego biznesu cyfrowego w związku ze zwycięstwem Trumpa. Nawet sięgając głęboko w historię, nie potrafiłbym wymienić żadnego przywódcy politycznego, który tak jak Trump w 2025 r. dochodziłby do władzy jako globalny lider przełomu technologicznego odmieniającego na naszych oczach oblicze świata.

Trump chętnie otacza się cyfrowymi geniuszami i żywi wiarę w dobroczynne skutki mającego miejsce cyfrowego przełomu. Wyraźnie odróżnia to nowego prezydenta USA od europejskich cyfrowych malkontentów, szukających z reguły złych stron i niebezpieczeństw związanych z postępem cyfryzacji i sztucznej inteligencji. Najważniejsze w tym jest to, że w wizji Trumpa ów cyfrowy przełom ma służyć przede wszystkim potędze Ameryki i odbudowie jej dominacji nad światem.

Jedynym konkurentem dla USA na tym polu mogą być komunistyczne Chiny. I właśnie to sprawia, że w erze Trumpa stają się one wielkim wrogiem, którego trzeba technologicznie pokonać, ale i – paradoksalnie – wielkim partnerem, z którym trzeba uczyć się współżyć, tak jak Ameryka w XX w. przez dziesięciolecia musiała uczyć się współżycia z potęgą sowiecką.

W wizji Trumpa reszta świata nie ma już takiego znaczenia, jakie zwykła jej przypisywać tradycja amerykańskiej polityki. Ta reszta świata to w gruncie rzeczy albo narzędzia, które mogą posłużyć dziełu odbudowy (a w zasadzie budowy na nowo) amerykańskiego globalnego imperium, albo przeszkody, które należy izolować i karać, zmuszając do nieprzeszkadzania i uległości. Takie jest sedno nowego amerykańskiego imperializmu, który właśnie teraz staje się czymś na kształt „doktryny państwowej" USA.

EUROPA: JUŻ NIE WSPÓLNIK

Demokratyczna Europa nie ma już kluczowego znaczenia. Niegdyś, w czasach zimnej wojny, Stary Kontynent traktowano jako „pępek świata" również w USA, w przekonaniu, że właśnie tamtędy przebiega kluczowa dla globu linia podziału pomiędzy demokratyczną cywilizacją a wschodnim barbarzyństwem. Ale dziś ani Trump, ani jego potężny obóz polityczno-technologiczny nie znajduje w Europie niczego, co nadal miałoby z niej czynić pobratymca i politycznego wspólnika Ameryki.

> Ja sam, muszę to przyznać, będąc przekonanym, iż tylko imperialna Ameryka realnie sprzyja polskim interesom, łączę spore nadzieje z rozpoczynającą się właśnie erą Trumpa

Powodów po temu jest bez liku i doprawdy trudno je kwestionować. Począwszy od tego, że ostatnimi czasy Europa sama się zdefiniowała jako najpoważniejszy wróg amerykańskiego biznesu cyfrowego, który jest siłą sprawczą globalnego przełomu technologicznego, a teraz ma jeszcze mocniej pracować na rzecz potęgi USA. Amerykańskie koncerny pod najróżniejszymi pretekstami są obkładane przez Unię Europejską horrendalnymi karami, a kolejne państwa unijne uchwalają nowe regulacje mające spętać swobodę mediów cyfrowych i postęp sztucznej inteligencji.

W ostatnim czasie tylko koncern Meta został najpierw obłożony karą w wysokości 1,2 mld euro pod pretekstem niewłaściwego transferu danych osobowych do USA, a krótko potem następną – 800 mln euro, tę z kolei nałożono za korzystne pozycjonowanie własnych reklam na Facebooku.

Niemal jako diaboliczny wróg traktowana jest w Europie należąca do Muska platforma X, której europejskie gazety nie określają już inaczej niźli „ściek", a politycy (ostatnio także w Polsce) otwarcie nawołują do prawnego zakazu korzystania z niej przez Europejczyków. Kolejne dyrektywy wydawane w Brukseli nakładają nowe restrykcje na rozwój sztucznej inteligencji albo usiłują wymusić wprowadzenie prewencyjnej cenzury mediów cyfrowych na wielką skalę. W oczach Trumpa i jego ludzi wszystko to wygląda niczym jakaś polityka absurdu. Europa nie tylko bowiem nie chce sama skorzystać na amerykańskim postępie cyfrowym, lecz także robi wszystko, co może, aby go utrudnić i przyhamować. A to znaczy, że występuje jako wróg dla żywotnych interesów USA.

Europa jest też głównym siedliskiem lewicowej ideologii, którą obóz Trumpa uważa za zgubną dla Ameryki i całego Zachodu. Na Amazonie (także w Polsce, za cenę 31,3 zł) można kupić szeroko reklamowany notatnik z różnymi przydatnymi do życia informacjami, na którego okładce figuruje sylwetka Trumpa z jego podpisem i bodaj najsłynniejszym cytatem z jego kampanii wyborczej: „Everything Woke Turns to Shit". „Woke" to dla całego ruchu trumpistowskiego hasło określające samo sedno dekadencji i deprawacji zachodniej cywilizacji: ideologiczną cenzurę, fanatyczny feminizm, zacieranie różnic płci, nienawiść do własnej kultury i tradycji, falę migracyjną, klimatyzm, swobodę aborcji itp. A są to obecne sztandary,

eprasa.pl 8e99d6d4d0

którymi patetycznie macha Europa. Nie dziw zatem, że od czasu II wojny światowej Atlantyk tak głęboko nie oddzielał ideowo obu swoich brzegów.

Do tego dochodzi oczywista konstatacja postępującej słabości Europy, a trumpistowski imperializm pogardza polityczną słabością, zwłaszcza taką „na własne życzenie". Jak policzył niedawno „Le Monde", w 2008 r., czyli u progu kryzysu finansowego, USA i strefa euro miały równoważny PKB na poziomie ok. 14 bln dol. Półtorej dekady później PKB strefy euro wynosi ok. 15 bln dol., podczas gdy w Ameryce urósł od tamtego czasu do 27 bln dol.

Te proste liczby nie wymagają komentarza. Dziś nikt nie ma wątpliwości, że nastawione na budowę amerykańskiej potęgi rządy Trumpa obnażą beznadziejność kierunku, w jakim zmierza Europa. Francja – pogrążona w kryzysie fiskalnym, Niemcy – cyfrowo zacofane i niezdolne do zróżnicowania swej gospodarki, Anglia – definitywnie przegrana na skutek załamania rynku eksportu usług. Ani jedno europejskie mocarstwo nie potrafi „wynaleźć się na nowo" w zmieniającym się świecie. A na domiar złego żadne nie jest zdolne ani do skutecznej militarnej obrony Europy w razie moskiewskiej inwazji, ani do ocalenia zaatakowanej Ukrainy, na przekór werbalnej tromtadracji uprawianej w związku z tą wojną.

NARZĘDZIA DOMINACJI

I tu dochodzimy do dwóch kluczowych narzędzi, którymi nowy trumpistowski imperializm chce się posłużyć, by odbudować potęgę i dominację USA.

Pierwsze to polityczna reglamentacja dostępu do amerykańskiego rynku, co oznacza nic innego, jak stare i dobrze znane narzędzie polityki: presję ekonomiczną. Trump już ogłosił, że kupuje ideę swego niegdysiejszego doradcy Steve'a Bannona, aby zaraz po inauguracji utworzyć nową federalną agencję rządową – Służbę Zewnętrznych Dochodów Państwa (External Revenue Service). Bannon uważa, że do amerykańskiego rynku wewnętrznego, najbardziej solidnego i lukratywnego na świecie, muszą prowadzić „złote drzwi", za otwarcie których każdy z zewnątrz winien sowicie zapłacić. A nowa służba federalna ma gromadzić dochody, które wzbogacą Amerykę, nie powodując zarazem przerzucania kosztów ceł importowych (jak to było dotychczas) na amerykańskich konsumentów.

Słusznie czy niesłusznie (jak kto uważa) na tym właśnie ma polegać prymat Ameryki nad resztą świata. A ponieważ cena otwarcia „złotych drzwi" będzie regulowana politycznymi interesami USA, tym narzędziem – toutes proportions gardées – można wywierać presję zarówno na potężne Chiny, sąsiednie Kanadę i Meksyk, jak i na praktycznie bezsilną, ale geopolitycznie newralgiczną Grenlandię.

Drugie narzędzie budowania potęgi USA to presja militarna. Jeśli w miniony wtorek ktoś choćby przez chwilę oglądał senackie przesłuchanie Pete'a Hegsetha, zapewne nowego ministra obrony USA, to zauważył, że zwarcie racji i argumentów, jakie tam nastąpiło, jest pewnie najbardziej wyrazistym symbolem obecnej zmiany. Otóż Hegseth tłumaczył senatorom, iż zadaniem, które postawił mu Trump, jest „przywrócenie kultury wojownika w Pentagonie" i pełne skoncentrowanie armii „na śmiercionośnej walce i rządach wojskowej merytokracji".

W odpowiedzi na to lewicowi senatorowie usiłowali wydobyć od Hegsetha takie informacje, jak np. „ile kobiet od czasu, gdy stał się pełnoletni, odmówiło mu seksu, gdy im to zaproponował?" (to pytanie 77-letniej senator Hirono z Hawajów, ale inne były podobne). W każdym razie militarna logika trumpistowskiego imperializmu jest najzupełniej jasna: wszyscy na świecie mają żyć w obawie, że Ameryka użyje siły, by przeforsować swoje interesy, armia zaś ma być zdolna do interwencji wszędzie i w każdej chwili.

To oczywiście oznacza również stopniową zmianę roli, którą odgrywało dotąd NATO. Dla Trumpa, i trudno mu się dziwić, nie do zaakceptowania jest sytuacja, w której rzekomi sojusznicy Ameryki czynnie działają przeciw jej interesom, gnębią jej wiodące koncerny, głoszą wrogą lewicową ideologię, a sami nie są w stanie wyrwać się z postępującego regresu ekonomicznego i na dodatek zakładają, że to amerykańska armia ocali ich w razie niebezpieczeństwa. Nie ma wątpliwości, że NATO stanie się teraz jeszcze jednym z narzędzi wymuszania wśród sojuszników respektu dla amerykańskich interesów i gotowości do skutecznej samoobrony.

Na tym zresztą polega istota problemu, przed którym staje teraz Ukraina. Trump nigdy nie zamierzał i nadal nie zamierza „sprzedać" jej Putinowi, a liczba nonsensów, które na ten temat napisano, przejdzie zapewne do annałów największych absurdów medialnych XXI w. Ale imperialna Ameryka zamierza zaszantażować europejskich sojuszników, aby zmusić ich do zabrania się na serio za militarne ocalenie Ukrainy zamiast uprawiania proukraińskiej propagandowej tromtadracji. Kłopot w tym, że jak dotąd niewiele wskazuje na to, że Trump może osiągnąć tutaj rychły sukces.

Jest najzupełniej jasne, że druga prezydentura Trumpa nie będzie kontynuacją pierwszej.

Primo – bo jego sukces wyborczy z 2016 r. był nieoczekiwany i w gruncie rzeczy przypadkowy, a sam Trump ani nie miał jeszcze jasności celów, ani nie był w stanie wprowadzać ich w życie z powodu wściekłego oporu lewicowej polityki, wielkich mediów, koncernów big tech oraz świata zewnętrznego. Dziś on sam dziwi się skalą przemiany, która dokonała się w ciągu tych kilku ostatnich lat. Na konferencji prasowej mówił niedawno z odcieniem ironii: „Podczas mojej pierwszej kadencji wszyscy chcieli ze mną walczyć, tym razem wszyscy chcą być moimi przyjaciółmi".

Secundo – bo skala nienawiści i represji, które spadły na Trumpa po utracie przezeń urzędu głowy państwa, uczyniła z tego biznesmena lekkoducha zdeterminowanego i wojowniczego przywódcę, teraz na serio zamierzającego odmienić Amerykę, a być może także świat. Jeff Bezos, właściciel Amazona, mówi o nim: „Jest teraz bardzo pewny swojej prezydentury". A ja sam (muszę to przyznać), będąc przekonanym, iż tylko imperialna Ameryka realnie sprzyja polskim interesom, łączę spore nadzieje z rozpoczynającą się właśnie erą Trumpa, która zdaje się być epoką nowoczesnego, cyfrowo-militarnego amerykańskiego imperializmu.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Pożar w piekle

Ogień odsłania w Los Angeles niemal wszystkie patologie współczesnej, jaśnie oświeconej, postępowej lewicy

Kiedy czytają państwo ten tekst, dane, które podajemy, są już nieaktualne. Z trzech głównych pożarów, które pożerają Los Angeles, ten największy, w Pacific Palisades, jest opanowany w 14 proc., a drugi, w Eaton – w 33 proc. Ściana ognia zagraża siedlisku gwiazd Beverly Hills i Hollywoodowi. Ewakuowano 150 tys. osób, a 25 zginęło. Z tysięcy budynków na 60 tys. akrów (ok. 250 km²), czyli mniej więcej tyle, ile ma Łódź czy pół Warszawy, pozostał tylko popiół. Jedynie gdzieniegdzie sterczą samotne szkielety. Straty są szacowane na 275 mld dol.

DARIUSZ MATUSZAK

Gdy czytają państwo ten tekst, Los Angeles wciąż płonie, a mieszkańcy modlą się, by wiatr Santa Ana zepchnął ogień na wypaloną już ziemię. Ci, którzy sami uważają się za bogów ziemi i klimatu, twierdzą, że to apokalipsa globalnego ocieplenia. Tymczasem zgliszcza Miasta Aniołów odsłaniają bezmiar pychy i głupoty, szaleństwa klimatyzmu, ideologii LGBT+, skrajną nieudolność i pogardę dla człowieka tych, którzy są władcami Los Angeles i Kalifornii. Pożar miasta upadłych aniołów ujawnia niemal wszystkie patologie współczesnej lewicy.

BOGOWIE KLIMATU

Historia tego pożaru ma ponad 50 lat. Wcześniej dwa pokolenia Kalifornijczyków, budując najbardziej przemyślne

systemy irygacyjne i zbiorniki, ciągnąc wodę z rzek północy i po roztopach w górach Sierra Nevada, zmieniło półpustynne ziemie środkowej i południowej Kalifornii w rajskie ogrody. Wtedy pojawili się szaleńcy z ekosekt i zablokowali rozwój infrastruktury. Dzieło to kontynuowali politycy, porzucając wszystko, co wcześniej zbudowano i przekierowując wody wprost do Pacyfiku, by było tak, jak chciała natura i by rybki stynki (to nie żart) pływały swobodnie, więc do kwitnącego stanu powróciły susze i pożary.

Ogromne zbiorniki retencyjne – w tym Santa Ynez, który mógł uratować Los Angeles – od 15–20 lat stoją puste. Nie ma w nich wody nawet po rekordowych opadach ostatnich zim. Logika szaleństw klimatycznych jest taka, że ogromne deszcze przyczyniły się też do wielkiej gwałtowności i zasięgu piekielnego żywiołu. Po wielkich opadach półpustynne tereny zazieleniły się i zakwieciły. W maju przyszła susza, która w Kalifornii jest normą, „nadmiarowe" rośliny wyschły, obumarły i stały się paliwem obecnej apokalipsy.

W największym uproszczeniu (a Kalifornia to ogromny stan, o ponad 110 tys. km² większy niż Polska) od tysiącleci cykle na tych terenach wyglądały tak: po wielkich deszczach woda podczas powodzi spływała do oceanu, a potem nadciągały susze trwające nawet 50 lat. Maniacy od globalnego ocieplenia nazywają to hydroklimatycznym biczem. Przyszli ludzie i uczynili tę ziemię sobie poddaną, ale po nich pojawili się bogowie klimatu i stworzyciele nowego ideologicznie pobudzonego człowieka – woke i wszystko zniszczyli.

Kiedy strażacy przyjechali do pożaru do leżącej przy oceanie dzielnicy Pacific Palisades, tam, gdzie są rezydencje gwiazd i właścicieli Kalifornii, okazało się, że w hydrantach nie ma kropli wody. Załogi, które się zjawiły, a było ich za mało, bo akurat ich część w ramach jakiejś akcji walki z ubóstwem zajmowała się bezdomnymi, podciągnęły cysterny, ale wiatr Santa Ana zawinął się od Pacyfiku i poszło. Kilka dni później okazało się, że ze 183 wozów strażackich, które ma Los Angeles, ponad 100 stoi na jakimś parkingu cmentarzysku, bo brakuje do nich części i nie ma ludzi, by je naprawić.

KTO TU RZĄDZI?

Pożar odsłonił bezdenną niekompetencję władz miasta i szefostwa straży pożarnej, na które w ramach ideologicznego programu DEI (Diversity–Equity–Inclusiveness, czyli Różnorodność–Równość–Inkluzywność) powołano trzy lesbijki z pensjami o 250 do 450 tys. dol. rocznie. Ktoś się oburza, że wspominam o ich preferencjach seksualnych? A jakie jest prawdopodobieństwo, że najbardziej kompetentnymi osobami do dowodzenia strażą pożarną w mieście liczącym 4 mln mieszkańców są akurat trzy takie kobiety?

Jedna z nich, zarabiająca 300 tys. dol. rocznie Kristine Larson, została gwiazdą po tym, jak puściła w sieci nagranie, w którym opowiada, że owszem, dzielna kobieta strażak nie jest w stanie wynieść z pożaru mężczyzny, ale to jego wina, że znalazł się w tak niebezpiecznym miejscu.

Kiedy alarmowano, że mogą się zacząć pożary, czwarta bohaterka – czarnoskóra burmistrz Los Angeles Karen Bass, wybrała się na wycieczkę do Ghany na inaugurację prezydenta Johna Mahamy. Szukając oszczędności w bankrutującym mieście, w ciągu roku zamknęła 16 posterunków straży pożarnej i obcięła jej budżet o 17 mln dol., ale znalazły się miliony na szkolenia strażaków do walki z rasizmem, homofobią, patriarchatem i czym tam jeszcze. Freddy Escobar, szef związku zawodowego strażaków, w rozmowie z portalem Breitbart mówi, że brakuje pieniędzy na wszystko, tymczasem straż pełni rolę opieki społecznej i przyjmuje rocznie dziesiątki tysięcy wezwań od bezdomnych.

Jest i piąta bohaterka – Janisse Quiñones, szefowa miejskiego Departamentu Energii i Wody, której zadaniem jest poprowadzenie Los Angeles do używania tylko czystej energii w 2035 r. Miasto Aniołów jest bowiem krajowym liderem działań na rzecz klimatu, równości, czystej energii i innowacji – zachwala pani burmistrz. To Quiñones, która zarabia 700 tys. dol. rocznie, odpowiada za to, że w hydrantach nie było kropli wody, a główny zbiornik retencyjny miasta mogący pomieścić ponad 400 mln l jest pusty. Gdy strażacy jechali na interwencję, nawet nie wiedzieli, że nie ma wody.

Wszyscy mieli świadomość, co nadchodzi, ale mimo bijących na trwogę dzwonów wymienione kobiety były poza krytyką. Wiadomo, czarnoskóre czy Latynoski, na dodatek lesbijki. Jeszcze teraz, gdy szaleją pożary, obłąkani heroldzi postępu – media, aktoreczki z Hollywood, politycy Partii Demokratycznej – zawsze mają jedną odpowiedź na zarzuty. To homofobia, mizoginia, rasizm i co tam jeszcze – zawsze ten sam repertuar.

Kto odpowiada za pożary? Wiadomo, klimatyczni denialiści, bo doprowadzili do globalnego ocieplenia. No i on, prawdziwy demon – Donald Trump. Senator demokratów z Massachusetts Ed Markey twierdzi, że to Trump podsyca klimatyczną katastrofę i za 1 mld dol. od firm paliwowych zabije amerykański Zielony Ład, sprowadzi jeszcze więcej katastrof i śmierci. Podobnie mówi wielu innych demokratów. Trzej telewizyjni gwiazdorzy – Jimmy Kimmel, Stephen Colbert i Jon Stewart w nadawanych na całą Amerykę programach zaatakowali Trumpa obłąkańczymi tyradami, oskarżając go o rasizm wobec strażaków i blokowanie pomocy dla Los Angeles. „Dziś wieczorem nie chcę wchodzić w te wszystkie podłe, nieodpowiedzialne i głupie rzeczy, które nasz niby przyszły prezydent i jego banda łajdaków mówią w naszej najtragiczniejszej i najbardziej przerażającej godzinie. To, że atakują strażaków, którzy najwyraźniej nie są wystarczająco biali, aby tam być i ryzykować życie, jest obrzydliwe" – mówił Kimmel w swym show w ABC.

UPADŁE ANIOŁY

Gwiazdy Hollywood i telewizji to jedna z największych plag nie tylko Los Angeles i Kalifornii, lecz także całej Ameryki. Jeszcze się tlą popioły Pasadeny, jeszcze mieszkańcy nie mogą wrócić do swych spalonych domów, by zobaczyć, czy coś ocalało, a burmistrz Victor Gordo oprowadza po zgliszczach Meghan Markle i jej męża, brytyjskiego księcia Harry'ego, by kręcili kolejny odcinek show dla Netfliksa. Aktoreczka roni łzy, przytula i pociesza ofiarę pożaru – podstawioną statystkę, a gdy wszystko zostaje sfilmowane, odjeżdża z nią i swą ekipą. Hieny od turystyki katastrof i moralnej pornografii.

Nie ma prądu, więc nie działają alarmy, nie ma policji, więc Julia

Fot. Shutterstock

Roberts wypłakuje się, że nie ma komu chronić jej rezydencji przed setkami szabrowników, którzy plądrują opuszczone domy. Kiedy rasistowskie bandy BLM i faszyści z Antify jeszcze za pierwszej prezydentury Trumpa rabowali i demolowali całe miasta, publicznie popierała „obywatelskie protesty".

Michael Douglas uruchamia swą fundację, której nikt nie widział, gdy huragany pustoszyły wieśniacze i republikańskie stany na południu wschodniego wybrzeża Ameryki. Teraz się obudził, bo spłonęły domy jaśniepaństwa. Niektórych stać na to, by ściągać „prywatnych" strażaków do gaszenia swych rezydencji i płacić im 2 tys. dol. za godzinę. Leonardo DiCaprio zapakował się z partnerką i ojcem do swojego samolotu i poleciał do Meksyku na zasłużone wakacje.

Pożar podchodzi pod Muzeum J. Paula Getty'ego i może wejdą do niego strażacy, którzy wedle wielu Amerykanów odkryją i ujawnią, co to za miejsce. Gwiazdy i bogacze mają tam urządzać zabawy z dziećmi niewolnikami. Dla wielu Amerykanów Los Angeles ze swoim Hollywood to miasto upadłych aniołów, czyli piekło. Wszystko to tylko szaleńcze teorie spiskowe – do czasu, gdy okazuje się, że coś jest na rzeczy, jak w przypadku Epsteina, który na swej „wyspie orgii" organizował dla władców i właścicieli świata imprezy z dziewczynkami. Albo jak w Wielkiej Brytanii, gdzie wreszcie się odkrywa, że pakistańskie bandy pedofilów przez dekady gwałciły tysiące dziewcząt.

Kto jest winny temu, że wybuchły pożary? Wszystko wskazuje na to, że za część odpowiada Quiñones i jej załoga z Departamentu Wody i Energii, bo gdy wiatr obalił słupy elektryczne, nawet nie wyłączyli prądu, więc druty biły po wyschniętym podłożu jak ogniste bicze. Wiadomo, że doszło do podpaleń, bo pożary wybuchały w kilku miejscach jednocześnie. Już zatrzymano wielu domniemanych sprawców – głównie nielegalnych imigrantów, ale w towarzystwie znalazła się też 60-letnia wariatka od klimatyzmu, która ogniem przekonywała, że jest globalne ocieplenie. Jeszcze nie ustalono, jaka była skala podpaleń i czy wywołały główne pożary, ale wreszcie zaczyna się mówić, że za to, iż w Los Angeles i Kalifornii tyle ich wybucha, w części odpowiadają nielegalni imigranci. Czasami podpalają specjalnie, czasami pożogi zaczynają się od ognisk w ich obozowiskach. To oni zasilają też koczowiska bezdomnych, których w Los Angeles jest 100 tys., a w nich byle tlący się pet rozpętuje ogień. W sieci można obejrzeć nagrania z całych kwartałów i ulic odurzonych narkotykami półżywych zombies.

To niekontrolowana, często nielegalna imigracja sprawiła, że w ciągu 40 lat ludność Kalifornii się podwoiła.

> Michael Douglas uruchamia swą fundację, której nikt nie widział, gdy huragany pustoszyły wieśniacze i republikańskie stany Ameryki. Teraz się obudził, bo spłonęły domy jaśniepaństwa

Ale infrastruktura krytyczna, czyli drogi, sieci przesyłowe, wodociągi, jest w takim stanie, jakby stan wciąż liczył 20 mln, a nie 40 mln mieszkańców.

Dokładnie teraz, gdy Los Angeles płonie, gubernator Gavin Newsom ze swymi towarzyszami demokratami z legislatury stanowej, przepycha w budżecie 50 mln dol. na prawników, którzy mają walczyć z programem Trumpa dotyczącym deportacji i powstrzymywania nielegalnej imigracji.

WIELKA UCIECZKA

Jak to wszystko jest możliwe w jednym z najbogatszych miejsc na świecie? „Los Angeles Times" pisze, że miasto od lat żyje ponad stan i samo kreuje swe problemy. Jego władcy obcięli budżety straży pożarnej i innych służb, ale dali hojne podwyżki pracownikom biurowym. Na dodatek miasto nie naprawia infrastruktury, wszystko się sypie, mnożą się wypadki, więc płaci się odszkodowania i kropla po kropli wszystko się spiętrza. Los Angeles leży też w najbogatszym i za razem najbiedniejszym stanie Ameryki, gdzie fortuny rosną wśród połaci nędzy. Z 3,7 bln dol. PKB Kalifornia byłaby szóstym najpotężniejszym gospodarczo krajem świata, tymczasem jest najgorszym stanem Ameryki, jeśli chodzi o wskaźnik ubóstwa. Dolina Krzemowa, przemysł kosmiczny, show-biznes zarabiają miliardy, ale mieszkańcy mają z tego coraz mniej. Szkolnictwo jest na 29. miejscu w kraju, niezawodność sieci energetycznej – najgorsza. Wedle badań Consumer Affairs stan dróg plasuje się na czwartym miejscu wśród najgorszych pod tym względem stanów. Ceny prądu z powodu wiecznego konstruowania *perpetuum mobile* darmowej energii odnawialnej są średnio dwa razy wyższe niż w reszcie Ameryki.

Według Tax Foundation klimat podatkowy dla przedsiębiorstw oprócz New Jersey jest najgorszy. Mercatus Center klasyfikuje Kalifornię jako stan z największą liczbą regulacji wpływających na biznes. Nieruchomości są tu tak drogie, że średniej klasy nie stać na kupno domu. Rosną fortuny, a klasa średnia zanika bądź ucieka do innych stanów. Uciekają też firmy, które nie są w stanie działać z powodu cen energii i wszechobecnej ideologii woke i DEI, która na każdym szczeblu narzuca, kogo zatrudnić, kogo zwolnić, wymaga nieustannego wiecowania, szkolenia i gotowości do walki z rasizmem, transfobią, denializmem klimatycznym i tymi wszystkimi obłąkańczymi wynalazkami współczesnej postępowej lewicy. Nawet Zuckerberg nie wytrzymał i zapowiedział, że przenosi swój zespół cenzorski, czyli moderatorów Facebooka, do Teksasu. Idzie w ślady Muska, który systematycznie wyprowadza swe firmy ze stanu. Od 2018 r. Kalifornia straciła blisko 2 mln obywateli. Republikanie mogą się w jakiś perwersyjny sposób cieszyć, bo jeśli utrzyma się tempo wyprowadzek, to do 2029 r., kiedy Trump będzie zdawał prezydenturę, demokraci mogą stracić pięć miejsc w Kongresie, gdyż zmniejszy się liczba mandatów, a także elektorów z Kalifornii. I to jest jedyny pożytek z rządów lewicowych klanów, które od dekad władają tą krainą.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Cyfrowa cenzura kontra wolność słowa

Szykuje się wielka batalia o swobodę wypowiedzi w internecie. Mark Zuckerberg zapowiedział, że będzie w tej walce wspierał Donalda Trumpa przeciw rządom w Chinach i Europie

GRZEGORZ GÓRNY

Ministerstwo Cyfryzacji przedstawiło projekt nowego prawa, które przewiduje możliwość blokowania treści w internecie bez konieczności angażowania sądu oraz informowania o tym autorów, których materiały będą usuwane. Według rządowego projektu decyzję o eliminowaniu materiałów z sieci ma podejmować jednoosobowo prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej (UKE), który tym samym zamieni się w wielkiego cenzora.

W komunikacie resortu podano, że nowe przepisy przeszły już etap konsultacji społecznych, co jest nieprawdą, ponieważ takiego procesu w ogóle nie przeprowadzono. Gdyby bowiem tego rodzaju pomysł pojawił się wcześniej w debacie publicznej, z pewnością zostałby oprotestowany przez licznych ekspertów, organizacje pozarządowe czy media, a przede wszystkim przez samych obywateli. Już sam sposób procedowania nowego prawa stawia więc pod znakiem zapytania przejrzystość i uczciwość mechanizmu legislacyjnego.

ODWIECZNY DYLEMAT: WOLNOŚĆ A BEZPIECZEŃSTWO

Równie poważny, a może nawet poważniejszy zarzut dotyczy zamachu na wolność słowa. Nowe uprawnienia, jakie ma otrzymać według rządowego projektu szef UKE, dają mu narzędzia pozwalające na arbitralne ograniczanie swobody wypowiedzi oraz urzędnicze kontrolowanie debaty publicznej – tym bardziej że brakuje jasno określonych kryteriów blokowania treści. To sprawia, że z internetu mogą być usuwane wszelkie materiały, które władza uzna za niewygodne dla siebie. Co prawda istnieje możliwość zaskarżania decyzji UKE do sądu administracyjnego, ale takie sprawy trwają zazwyczaj długo, a przez ten czas wiele informacji może się już zdezaktualizować lub stracić znaczenie.

Według rządzących celem nowego prawa jest walka z dezinformacją, a co za tym idzie, ochrona bezpieczeństwa i porządku publicznego. Działania polskich władz wpisują się jednak w szersze zjawisko obserwowane także w innych krajach. Jego istotą jest nieusuwalne napięcie (przeradzające się niekiedy w spór) między dwoma niezwykle ważnymi w naszej kulturze politycznej wartościami: wolnością a bezpieczeństwem.

W cywilizacji informacyjnej, w której żyjemy, polem konfliktu między nimi stał się internet. Z jednej strony ma być on sferą wolności słowa i swobody prowadzenia nieskrępowanej debaty publicznej, z drugiej zaś powinien być wolny od dezinformacji, manipulacji i fałszywych wiadomości. Najczęściej nie da się pogodzić jednego z drugim. Otwarta dyskusja stwarza bowiem możliwość udziału w niej także tym, którzy próbują manipulować opinią publiczną dla własnych celów politycznych (np. krajom prowadzącym wojnę hybrydową za pomocą operacji informacyjno-psychologicznych). Można temu zapobiec, stosując mechanizm cenzury i usuwając podejrzane treści. Praktyka pokazuje, że otwiera to pole do licznych nadużyć, polegających np. na usuwaniu prawdziwych informacji, które są niewygodne dla wpływowych środowisk politycznych, finansowych lub opiniotwórczych.

Ten stan napięcia przechodzi obecnie na Zachodzie w okres przesilenia. Obserwujemy, jak w Stanach Zjednoczonych wahadło przesuwa się w stronę wolności słowa. Momentem przełomowym okazało się przejęcie Twittera przez Elona Muska i wyrzucenie stamtąd całej rzeszy tzw. weryfikatorów faktów, czyli *de facto* cenzorów. Wydaje się, że w odwrotnym kierunku podąża Unia Europejska, dla której punktem odniesienia staje się nie Ameryka z jej swobodą wypowiedzi, lecz raczej Rosja i Chiny z ich ograniczaniem wypowiedzi w internecie. Brukselskie elity grożą Muskowi zamknięciem platformy X i zapowiadają nowe regulacje krępujące wolność słowa w sieci.

W tym kontekście kluczowym wydarzeniem może się okazać niedawna zmiana kursu ogłoszona przez Marka Zuckerberga – właściciela koncernu Meta kontrolującego Facebooka, Instagram i Threadsa, który ogłosił: „Czas wrócić do korzeni wolności słowa". I dodał: „Stworzyłem media społecznościowe po to, by dać ludziom głos".

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Mark Zuckerberg

Fot. Frederic Legrand – COMEO/Shutterstock.com

NIEOCZEKIWANA WOLTA MARKA ZUCKERBERGA

To, co zapowiedział Zuckerberg, stanowi całkowitą rewolucję w funkcjonowaniu jego cyfrowego imperium. Oznacza bowiem likwidację „programu sprawdzania faktów" i „systemu moderacji treści", czyli *de facto* koniec cenzury. Jak przyznał internetowy magnat: „Problem ze złożonymi systemami polega na tym, że popełniają błędy. I właśnie doszliśmy do punktu, w którym jest zbyt wiele błędów i zbyt dużo cenzury". Tłumaczył, że jego weryfikatorzy faktów działali w dobrej wierze, jednak okazywali się „zbyt stronniczy politycznie" i „raczej niszczyli zaufanie, niż je budowali". Dlatego postanowił zmienić obowiązujące w swych mediach społecznościowych zasady, „aby uniknąć błędów, które były przyczyną zdecydowanej większości cenzury".

W tym kontekście symbolicznego wymiaru nabiera decyzja Zuckerberga, by zespoły ds. moderacji treści i bezpieczeństwa przenieść z Kalifornii (a więc bastionu demokratów) do Teksasu (czyli twierdzy republikanów). Miliarder nie ukrywa bowiem, że impulsem do przeprowadzenia zmian były dla niego wyniki listopadowych wyborów USA, które jego zdaniem po raz kolejny „sprawiają, że kultura sprzyja wolności słowa".

Zuckerberg zapowiedział, że zamierza współpracować z prezydentem Trumpem, by walczyć z tymi rządami, które wywierają presję na amerykańskie firmy, żeby zwiększać cenzurę w internecie. W tym kontekście wymienił Chiny oraz – co niezwykle symptomatyczne i ważne dla nas – Europę. Jego zdaniem Stany Zjednoczone są dziś głównym orędownikiem wolności słowa na świecie, choć przyznał, że za czasów prezydentury Joe Bidena bywało inaczej. Nowa administracja w Białym Domu otwiera jednak zupełnie nowe możliwości: „Teraz mamy szansę przywrócić wolność słowa i nie mogę się doczekać, aby z niej skorzystać!" – podsumował swe wystąpienie amerykański multimiliarder.

Jeszcze bardziej pouczający okazał się jego występ w podcaście najbardziej popularnego internauty w USA Joe Rogana. W trzygodzinnym wywiadzie Zuckerberg przyznał, że w jego medialnym imperium działał system przypominający mechanizmy jakby żywcem wzięte z antyutopii George'a Orwella: „Nasz program sprawdzania faktów przypominał coś z powieści »1984«".

Cyfrowy magnat opowiadał też, jak ekipa Joe Bidena walczyła ze swobodą wypowiedzi w internecie. Wywierano np. presję na cenzurowanie wiadomości dotyczących szczepionek przeciw COVID-19. Przedstawiciele agencji rządowych żądali usuwania z Facebooka i Instagrama niektórych treści, mimo że były one oparte na prawdziwych danych na temat skutków ubocznych owych preparatów. Zuckerberg opowiadał, że niektórzy z urzędników posuwali się nawet do krzyczenia na dyrektorów jego firmy, by natychmiast cenzurowano niewygodne dla nich materiały. W ten sposób działania mające na celu przeciwdziałanie dezinformacji zamieniały się w rządową cenzurę.

LIBERALNI WROGOWIE WOLNOŚCI SŁOWA

Po tych wystąpieniach na właściciela Facebooka spadła fala krytyki ze strony

eprasa.pl 8e99d6d4d0

kręgów lewicowo-liberalnych. Ich stanowisko jest odzwierciedleniem procesu ideowej przemiany, jaką przeszły te środowiska. Tak ową ewolucję scharakteryzowała amerykańska feministka Camille Paglia: „Wolność słowa była prawdziwą esencją, duszą lewicowej polityki lat 60. [...] Wolność słowa zawsze była moją główną zasadą i motywacją, stanowiąc część dziedzictwa filozofów oświecenia, którzy stanowczo atakowali autorytety religijne i przywileje klasowe. Właśnie z tego powodu było dla mnie niesamowicie szokujące, gdy w latach 70. amerykańscy liberałowie porzucili wolność słowa i zapoczątkowali erę poprawności politycznej, na którą cierpimy do dziś. Zamiast bronić tętniącego życiem indywidualizmu lat 60., lewica stała się stalinowską policją myśli, która promowała instytucjonalny autorytaryzm i narzucała karną inwigilację mowy oraz zachowania".

W tym kontekście warto przypomnieć, kiedy po raz pierwszy pojawiła się koncepcja poprawności politycznej. W swej książce „List miłosny imigranta do Zachodu" z 2022 r. Konstantin Kisin opisuje to następująco: „W rzeczywistości termin ten pojawił się po raz pierwszy w leksykonie marksistowsko-leninowskim po rewolucji rosyjskiej, aby opisać wierność polityce i zasadom partii komunistycznej. Obywatele radzieccy, składający oświadczenia uznane przez władze za problematyczne, często słyszeli: »Towarzyszu, to, co mówisz, może być zgodne z faktami, ale politycznie jest niepoprawne«. Innymi słowy, źródłem poprawności politycznej jest dążenie do tłumienia prawdy w celu ochrony i wzmocnienia panującej narracji politycznej. Czasy się nie zmieniają!".

Autor powyższych słów urodził się w ZSRS i jako dziecko wyemigrował do Wielkiej Brytanii, gdzie zrobił oszałamiającą karierę w mediach. Zaczął jednak obserwować na Zachodzie te same zjawiska, które niegdyś na co dzień widział w sowieckiej rzeczywistości. Dlatego postanowił ostrzec mieszkańców „wolnego świata", by w imię poprawności politycznej nie przejmowali bolszewickich metod, które niszczą wolność słowa. Kisin podobnie jak Mark Zuckerberg wystąpił niedawno w popularnym podcaście Joe Rogana. Opowiadał, że dla niego przekroczeniem cienkiej czerwonej linii okazało się w 2020 r. ocenzurowanie przez Facebooka i Twittera (jeszcze pod byłym kierownictwem) informacji o zagubionym laptopie Huntera Bidena (syna Joe Bidena). Wiadomość była prawdziwa, ale niewygodna dla ówczesnego kandydata demokratów na prezydenta. Niewykluczone, że zatajenie tego przed opinią publiczną w trakcie kampanii wyborczej mogło wpłynąć na ostateczny wynik elekcji i przyczynić się do porażki Donalda Trumpa.

Jak zauważył niedawno włoski politolog Luigi Curini: „W istocie być może największą zmianą ideologiczną, jaka nastąpiła w ostatniej dekadzie, było to, że poparcie dla wolności słowa przestało być powszechnie akceptowane jako podstawowa wartość demokratyczna, a stało się stanowiskiem marginalnym, postrzeganym jako prawo drugorzędne". Jego zdaniem jest to szczególnie widoczne wśród środowisk, które niegdyś pod sztandarami wolności słowa protestowały przeciwko George'owi W. Bushowi i jego Patriot Act, a dziś bagatelizują zagrożenia dla swobody wypowiedzi, podkreślając niebezpieczeństwa, jakie stwarzają „dezinformacja" i „mowa nienawiści".

> Próba narzucenia amerykańskim gigantom medialnym cenzury przez UE może się zakończyć otwartą konfrontacją między Waszyngtonem a Brukselą

UNIA EUROPEJSKA KONTRA AMERYKA

Listopadowe wybory w Ameryce uruchomiły jednak proces, który zmierza w odwrotnym kierunku. Skala zwycięstwa Trumpa pokazała zmianę klimatu kulturowego w Stanach Zjednoczonych. W przeciwną stronę zmierzają natomiast elity Unii Europejskiej, coraz bardziej przerażone „konserwatywną rewolucją" w USA.

W październiku 2022 r. w UE przeforsowano rozporządzenie o usługach cyfrowych zwane Digital Service Act, które weszło w życie w lutym 2024 r. Jego zapisy obejmują działalność ok. 20 platform internetowych, posiadających co najmniej 45 mln aktywnych użytkowników. Wspominane prawo zawiera pojęcie nielegalnych treści, czyli takich, których rozpowszechnianie może być zakazane w świetle prawa unijnego lub poszczególnych krajów (może pod to podlegać np. tzw. mowa nienawiści, czyli wypowiedzi niemieszczące się w kanonie poprawności politycznej). Do usunięcia takich materiałów wystarczy zwykły donos kogoś, kto uzna je za nielegalne. Do tropienia takich wiadomości mają być desygnowane „zaufane podmioty sygnalizujące", tworzące system zinstytucjonalizowanego delatorstwa.

Mimo pewnych oporów giganci cyfrowi pogodzili się z narzuconymi im ograniczeniami na rynku unijnym, tym bardziej że posiadali własne systemy cenzorskie. Było to jednak przed przejęciem Twittera przez Muska i przed zwycięstwem republikanów w ostatnich wyborach. Od tamtego czasu okoliczności się zmieniły. Pod koniec ub.r. Mark Zuckerberg udał się do rezydencji Trumpa w Mar-a-Lago na Florydzie, a następnie ogłosił, że wesprze fundusz inauguracyjny prezydenta kwotą 1 mln dol. Podobne sumy zadeklarowali inni potentaci Doliny Krzemowej: szef Amazona Jeff Bezos i dyrektor generalny OpenAI Sam Altman.

Próba narzucenia amerykańskim gigantom cenzury przez UE może się więc zakończyć otwartą konfrontacją między Waszyngtonem a Brukselą. Tym bardziej że wielu polityków w Europie Zachodniej już zapowiedziało (w kontekście ostatniej aktywności Elona Muska na platformie X) zintensyfikowanie walki z dezinformacją oraz zewnętrznymi wpływami na procesy wyborcze. W tej walce rząd Donalda Tuska staje więc po stronie unijnego establishmentu, ale w opozycji do USA. Jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić?

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Gen. Wałerij Załużny

Wołodymyr Zełenski

Amerykańska administracja zakłada, że gorącą fazę wojny z Rosją uda się zakończyć w ciągu sześciu miesięcy. Jeśli tak się stanie, Ukrainę czekają wybory. Mało prawdopodobne jest utrzymanie władzy przez Zełenskiego i jego ekipę. Kto ma największe szanse na zwycięstwo?

Ukrainę czeka „rewolucja wyborcza”

MAREK BUDZISZ

Donald Trump powiedział niedawno na konferencji prasowej, którą zorganizował w swojej rezydencji na Florydzie, że zakończenia wojny na Ukrainie można się spodziewać w ciągu 180 dni od momentu objęcia przez niego urzędu prezydenta USA. Mike Waltz, doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, który uchylił się w rozmowie ze stacją telewizyjną ABC od podania precyzyjnej daty zakończenia wojny, wspominał, że na osiągnięcie takiego rezultatu będzie potrzebne „kilka miesięcy”. Większym optymistą jest gen. Keith Kellogg, specjalny wysłannik Trumpa ds. Ukrainy i Rosji, którego zdaniem, aby zaprowadzić pokój, Ameryka będzie potrzebowała 100 dni.

Kellogg niedługo odwiedzi Kijów, podobnie jak premier Wielkiej Brytanii Starmer, który pierwszy raz od zwycięskich dla niego wyborów wyruszy do stolicy Ukrainy. Jak wynika z doniesień agencji Bloomberg, jedzie tam po to, aby przedyskutować warunki wysłania brytyjskich żołnierzy, którzy już po zakończeniu aktywnej fazy wojny mieliby wchodzić w skład międzynarodowego korpusu stabilizacyjnego.

Z moich niedawnych rozmów w Kijowie z przedstawicielami świata polityki, ekspertami oraz wojskowymi wynika, że wszyscy czekają na zakończenie wojny. „Zasobów wytrwałości” starczy nam jeszcze na pół roku – powiedział mi jeden z rozmówców w mundurze. Potem Ukraina nie upadnie, ale będzie coraz gorzej.

Nawet jeśli te szacunki są zbyt pesymistyczne, to i tak mówimy o najbliższych sześciu, może dziewięciu miesiącach, kiedy trzeba doprowadzić do zakończenia wojny. A to oznacza, że przed końcem roku będziemy mieli do czynienia z nowym cyklem wyborczym na Ukrainie. Skończyła się już kadencja prezydenta, Rady Najwyższej i władz samorządowych. Z doniesień ukraińskich mediów wynika, że do nadciągających wyborów zaczął się przygotowywać nie tylko świat polityki, lecz także zmęczone wojną społeczeństwo oczekuje dnia głosowania. Wybór nowych

Fot. photowalking/Shutterstock, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8e99d6d4d0

władz jest też niezbędny, jeśli myśli się o poprawieniu pozycji negocjacyjnej ukraińskiej delegacji w czasie ewentualnych rozmów pokojowych, bo Władimir Putin już kilkakrotnie podkreślał „brak legitymacji" władz w Kijowie do prowadzenia rozmów. Rosyjski prezydent nie ma w tym przypadku racji, ale problem jest realny i Ukraina zaczyna się przygotowywać do wyborów.

OPERACJA WYBORY

Ich zorganizowanie nie będzie proste. Trzeba uchwalić nową ordynację, ale przede wszystkim wykonać tytaniczną pracę organizacyjną. Niemal 10 mln obywateli Ukrainy znalazło się w państwach europejskich. Pozbawienie ich możliwości głosowania ze względu na brak odpowiedniej liczby lokali wyborczych i niezbędnej struktury organizacyjnej, której zadaniem miałaby być dystrybucja, a potem zliczenie kart do głosowania, może nie tylko zniekształcić wyniki wyborów, lecz także zniechęcić migrantów do powrotu.

Nie mniej skomplikowana jest sytuacja na Ukrainie. Szacuje się, że miejsce zamieszkania zmieniło nawet 7 mln ludzi, którzy przenieśli się ze wschodu i południa do stolicy i zachodnich obwodów. Spisy wyborcze nie były aktualizowane, bo państwo, walcząc o przetrwanie, miało na głowie co innego. Osobną kwestią jest zejście niemal 1 mln mężczyzn obawiających się poboru „do podziemia". Nie mieszkają oni tam, gdzie są zameldowani, pracują w szarej strefie i są dla administracji publicznej „niewidoczni". Władze jeszcze nie wiedzą, jak spowodować, aby wzięli oni udział w wyborach, podobnie jak nie mają pomysłu, w jaki sposób przeprowadzić elekcję na linii frontu, na którym pozostaną znaczące siły, nawet jeśli zakończy się intensywna faza wojny.

Przeprowadzenie wyborów nie będzie zatem proste, ale wśród ukraińskich elit panuje zgoda co do tego, że ten wysiłek należy podjąć. Z dwóch powodów. Wróg, czyli Rosja, wykorzysta ewentualne niepowodzenia władz w Kijowie i będzie próbowała zakwestionować legitymację przyszłego prezydenta i parlamentu. Drugi powód jest jeszcze istotniejszy. W ostatnich miesiącach zasadniczo zmieniły się preferencje Ukraińców, którzy chcieliby „podziękować" Zełenskiemu i jego ekipie. Prezydent, któremu jeszcze w IV kwartale 2022 r. ufało 90 proc. ankietowanych przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii, dziś cieszy się zaufaniem jedynie 52 proc. badanych. A jak napisał prof. Anton Hruszecki, komentując badania, „trend jest wyraźnie malejący".

FAWORYT SONDAŻY

Na ukraińskim firmamencie pojawił się inny „zbawca narodu". Jest nim zdymisjonowany w ub.r. gen. Załużny, były dowódca sił zbrojnych, obecnie ambasador w Wielkiej Brytanii. Z ostatniego sondażu opinii publicznej, który został przeprowadzony już w styczniu, wynika, że gdyby zdecydował się on kandydować, dziś głosowałoby na niego 24,3 proc. wyborców, podczas gdy Zełenski mógłby liczyć jedynie 16,07 proc. Ten rozkład sympatii ukraińskiego elektoratu powoduje narastającą frustrację i nerwowość urzędującej głowy państwa, co jest widoczne w wielu jego ostatnich wypowiedziach.

Załużny jest obecnie dla Ukraińców „człowiekiem z ludu", ale przede wszystkim symbolem zwycięstwa, bo kiedy on dowodził, to armia odnosiła zwycięstwa, wypierając Rosjan z Chersonia i niszcząc ich siły pod Iziumem. Dziś Ukraińcy potrzebują zwycięstwa, którego nie potrafi im dać Zełenski. Ale to nie jedyne źródło popularności Załużnego. Stał się on symbolem żołnierza, dowódcy, który przegrał ze skorumpowanym i bezwzględnym światem polityki. Do jego dymisji doprowadzili Zełenski i jego otoczenie, którzy przez wielu są oskarżani o złe przygotowanie kraju do wojny i tolerowanie korupcji. Na korzyść Załużnego przemawia też to, że kiedy dowodził, skala strat ludzkich była nieporównanie mniejsza niż obecnie, w wielu wywiadach generał podkreślał swą troskę o żołnierzy, mówił o tym, jak trzeba cenić ludzkie życie. Teraz wszystko się zmieniło, a wielu ukraińskich ekspertów oskarża gen. Syrskiego, następcę Załużnego, że wojuje tak jak Rosjanie, zupełnie nie licząc się ze stratami, realizując przy tym na zamówienie świata polityki spektakularne, ale z wojskowego punktu widzenia mało istotne operacje.

CZERWONA KARTKA DLA ZEŁENSKIEGO

Na dodatek większość społeczeństwa uważa dziś, że za niepowodzenia na froncie odpowiadają „tyły", przede wszystkim politycy, a nie żołnierze i dowódcy liniowi. To obecnie najważniejszy problem na Ukrainie, bo z badania przeprowadzonego w grudniu ub.r. wynika, że 71 proc. ankietowanych ma wśród swoich bliskich lub znajomych tych, którzy walczyli lub są na froncie, a 40 proc. pytanych było zdania, iż w najbliższym czasie także oni przywdzieją mundur. A zatem to, jak Ukraina walczy, czy szanuje „swoich chłopców", czy państwo dostarcza im wszystkiego, czego potrzebują, jest najważniejszą sprawą. Jedynie 24 proc. pytanych o to w grudniu ub.r. Ukraińców jest zdania, że państwo prawidłowo wywiązuje się ze swych obowiązków wobec żołnierzy i weteranów. Przypomnijmy, że w styczniu 2023 r. takie zdanie miało 69 proc. badanych. Ta zmiana pokazuje, jak głębokie jest rozczarowanie obywateli własnym państwem, jego instytucjami, a przede wszystkim prezydentem i klasą polityczną.

Nie można tego powiedzieć o siłach zbrojnych, którym ufa nawet 96 proc. ankietowanych – zarówno jeśli mówimy o dowództwach, jak i formacjach w rodzaju Azowa czy zwykłych żołnierzach. Co ciekawe, najniższe notowania mają ministrowie i rząd (11 proc.), zaraz za nimi plasuje się Zełenski i jego administracja, którzy cieszą się zaufaniem jedynie 28 proc. obywateli, jeśli oceniany jest ich wkład w zdolność do kontynuowania wojny.

Socjologowie w Kijowie, z którymi miałem okazję rozmawiać, mówią, że obecny rozkład nastrojów wskazuje na zbliżającą się „rewolucję wyborczą". Ukraińcy chcą pokazać Zełenskiemu „czerwoną kartkę" i powierzyć swą przyszłość wojskowym i weteranom. Komu personalnie, zależy od tego, kto będzie kandydował. Jeśli wystartuje Załużny, to on ma największe szanse zostać przyszłym prezydentem Ukrainy, a jego ludzie mogą stworzyć większość w Radzie Najwyższej.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

MANEWRY OBOZU WŁADZY

Zełenski doskonale o tym wie i dlatego, jak napisali dziennikarze portalu RBC analizujący ukraińską mapę przedwyborczą, do Londynu jeździli w tajnych misjach zarówno Andirj Jermak, szef prezydenckiej administracji, jak i minister obrony Umierow. Ponoć proponowali oni Załużnemu, aby ten nie startował i w zamian zgodził się być numerem jeden na „liście prezydenckiej", co dawałoby mu szansę objęcia funkcji spikera w przyszłej Radzie Najwyższej.

Partia Zełenskiego Sługa Narodu, posiadająca dziś parlamentarną większość, ma przejść zarówno głęboki „rebranding", w tym zmienić nazwę, jak i rewolucję kadrową. Jak napisali niedawno dziennikarze portalu Telegraf, ze starego składu poselskiego może się ostać maks. 10 proc. deputowanych. Powód jest prosty – partia jest bardzo niepopularna i z ostatnich sondaży wynika, że 65 proc. ankietowanych jest zdania, iż działa „na szkodę Ukrainy". Są to notowania gorsze nawet od prorosyjskiej Platformy za Życiem i Pokojem Jurija Bojki, którą w ten sposób ocenia 50 proc. badanych.

TEN TRZECI

Nie ulega zatem wątpliwości, że w partyjnym pejzażu Ukrainy zajdą olbrzymie zmiany, ale są one wtórne wobec wyborów prezydenckich. Wynika to z faktu, że do tej pory ukraińska polityka była bardzo spersonalizowana, a wojna jeszcze umocniła ten trend. Mniej liczą się programy wyborcze, a bardziej rozpoznawalność i popularność liderów. Tak będzie i teraz, a to oznacza, że wiele zależy od tego, czy Załużny zdecyduje się na start, czy nie. Jeśli wybierze drugą opcję, może się pojawić kandydatura Kyryła Budanowa, szefa wywiadu wojskowego. Pod koniec listopada ub.r. w mało znanym ukraińskim portalu InfoLight.ua pojawił się sensacyjny sondaż, w świetle którego na czele ukraińskiego rankingu zaufania stoją właśnie Załużny i Budanow, a dopiero na trzecim miejscu jest Zełenski. Pierwszemu miałoby ufać 72 proc. Ukraińców, drugiemu 55 proc., a prezydentowi jedynie 45 proc. Opublikowanie tego badania odczytano w kategoriach deklaracji Budanowa, iż rozważa on swój start w wyborach, jeśli Załużny się nie zdecyduje. Te spekulacje wzmocnił jeszcze fakt, że w logo tego mało do tej pory aktywnego portalu znajduje się sowa, która jest też w godle służby wywiadu wojskowego.

Zanim na Ukrainie odbędą się wybory, będziemy jeszcze obserwować wiele roszad partyjno-personalnych i organizacyjnych. O swych ambicjach politycznych mówią byli ministrowie, np. wicepremier Kubrakow i blisko z nim współpracujący minister Najem. Zostali oni zdymisjonowani wiosną ub.r., bo jak spekulowano w Kijowie, mieli utrzymywać „zbyt bliskie" i samodzielne kontakty z amerykańską ambasadą, czego nie mógł tolerować Andrij Jermak. Wcześniej Kubrakow odpowiadał za program budowy dróg, a w czasie wojny jako wicepremier nadzorował programy odbudowy. W obu tych obszarach był dobrze oceniany, co może zwiększać jego pozycję w powojennych realiach.

> Partia Zełenskiego Sługa Narodu ma przejść zarówno głęboki „rebranding", w tym zmienić nazwę, jak i rewolucję kadrową. Dlaczego? Bo z ostatnich sondaży wynika, że aż 65 proc. ankietowanych uważa, że działa „na szkodę Ukrainy"

Własną formację ma też ponoć tworzyć minister i wicepremier Mychajło Fedorow, odpowiadający w rządzie za programy cyfryzacji ukraińskiej administracji publicznej. Po wybuchu wojny to jego resort, a nie ministerstwo obrony, odpowiadał za ukraińską „armię dronów" i zbudowanie całego systemu zamówień, a także kilkaset innowacyjnych firm, które pracują na rzecz obronności. I to dzięki jego pomysłowości, konsekwencji i wytrwałości (tak się uważa na Ukrainie) udaje się utrzymać przewagę w tym segmencie. W przyszłości Ukraina chce stawiać na nowe technologie, również zbrojeniowe, co może wzmacniać pozycję polityczną młodego ministra.

Do wyborów pójdzie też poróżniony z Zełenskim Dmytro Razumkow, wcześniej jeden z członków jego ekipy, były spiker Rady Najwyższej. Ukraińscy politolodzy są zdania, że jego formacja będzie zabiegała o głosy wschodu i południa, gdzie prezydent jest szczególnie niepopularny. Wreszcie w wyborcze szranki staną tacy aktywiści społeczni, jak Serhij Prytuła, cieszący się niewiele mniejszym zaufaniem od Zełenskiego (38 proc.), który zbudował swą społeczną popularność licznymi zbiórkami funduszy na rzecz sił zbrojnych.

Nie można też zapominać o starej gwardii w rodzaju Europejskiej Solidarności Petra Poroszenki, UDARU Witalija Kliczki czy Batkiwszczyny Julii Tymoszenko. Formacje te nie wystawią zapewne liczących się kandydatów na prezydenta, ale z pewnością wezmą udział w wyborach do Werchownej Rady i samorządów.

Z otoczenia Zełenskiego dochodzą zresztą głosy, że być może najpierw trzeba będzie zorganizować w tym samym terminie wybory prezydenckie i samorządowe, co może „zneutralizować" Kliczkę, który będzie musiał zdecydować czy skupić się na reelekcji w Kijowie, czy walczyć o prezydenturę.

Niezależnie od tego, kiedy odbędą się wybory na Ukrainie, w kraju rozpoczęła się już prekampania. A to oznacza, że wypowiedzi i posunięcia polityków, nie wyłączając Zełenskiego, są adresowane i mają na celu aktywizowanie elektoratu. Dotyczy to również relacji międzynarodowych, w tym z Polską. Musimy zatem być przygotowani również na niemiłe niespodzianki, pamiętając o tym, że po wyborach Ukrainą będzie najprawdopodobniej rządził inny niż obecnie „garnitur polityczny". I to dziełem ludzi, którzy przyjdą do władzy w Kijowie, będą nowe relacje z sąsiadami i zadbanie o miejsce Ukrainy w Europie.

Autopromocja

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24

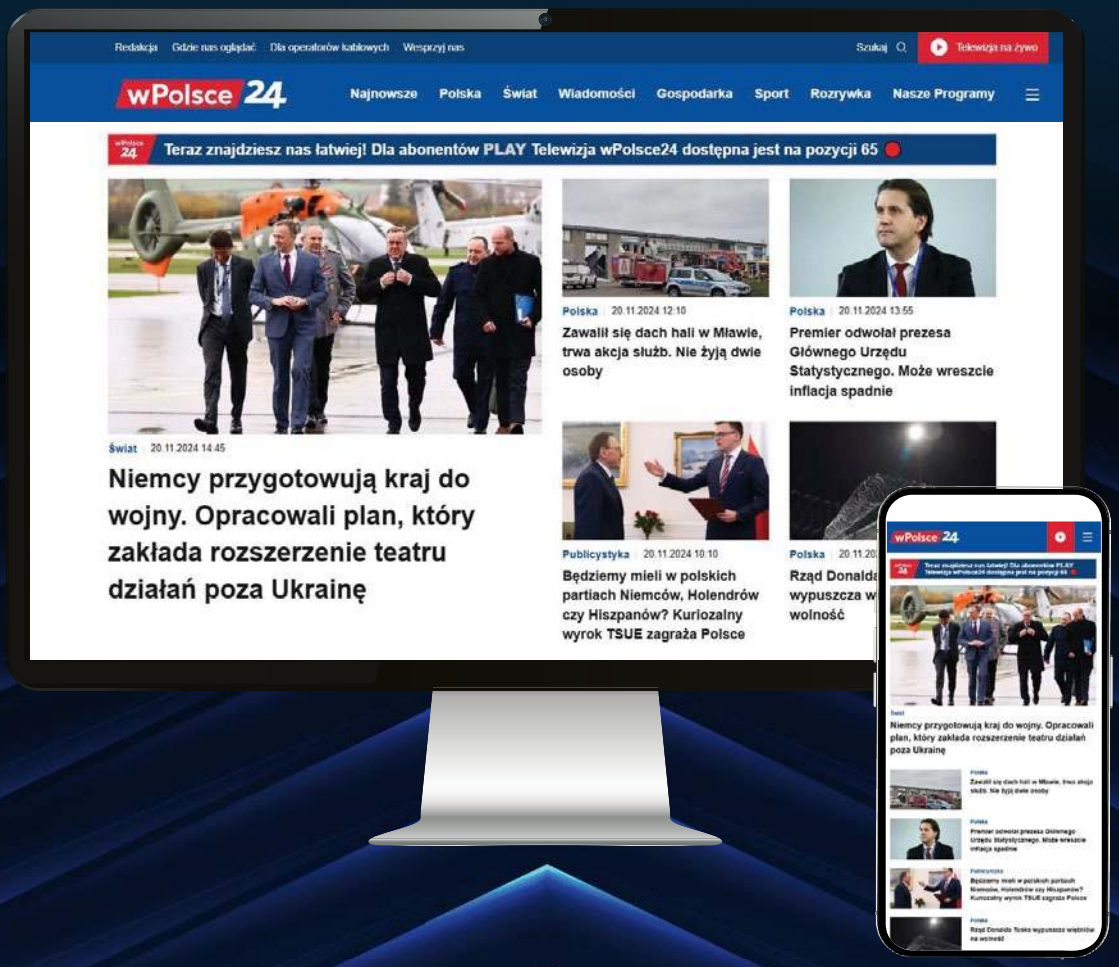

Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka >> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Kampania przeciwko faktom

Rok temu medialni aktywiści straszyli Niemców tajnym spiskiem w sprawie deportacji obywateli z tłem migracyjnym. Miliony ludzi wyszły na ulice, by demonstrować przeciwko prawicy w największych protestach w powojennej historii Niemiec. Dziś po serii procesów wiadomo: (prawie) wszystko było zmyślone

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Po artykule o rzekomym tajnym prawicowym spisku z udziałem AfD tysiące Niemców wyszło w proteście na ulice

Dokładnie rok temu niemiecka platforma dziennikarstwa śledczego CORRECTIV opublikowała artykuł pod tytułem „Tajny plan przeciwko Niemcom". Według autorów ok. 25 wysoko postawionych polityków AfD i CDU, „neonazistów" oraz „zamożnych przedsiębiorców" spotkało się w willi nad jeziorem Lehnitz w Poczdamie i zaplanowało tam, „opierając się na kryteriach rasistowskich, nic innego, jak tylko wydalenie z Niemiec milionów ludzi z tłem migracyjnym".

Artykuł wywołał sensację do tego stopnia, że spotkanie nazwano „Wannsee 2.0", w odniesieniu do konferencji, która odbyła się 20 stycznia 1942 r. w Berlinie celem omówienia „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". Politycy jeszcze podsycali atmosferę. Prezydent Frank-Walter Steinmeier nazwał AfD „ekstremistycznymi szczurołapami". Niemcom miał grozić „faszyzm" (wicekanclerz Robert Habeck), „nazizm" (lider grupy parlamentarnej FDP Christian Dürr) lub co najmniej „powrót warunków panujących w Republice Weimarskiej", jak z emfazą podkreślił szef instytutu badań opinii publicznej Forsa Manfred Güllner. Miliony Niemców, w tym tysiące aktywistów żyjących z państwowych grantów, wzięły udział w demonstracjach „przeciwko prawicy". Były to największe demonstracje tego typu w historii powojennych Niemiec. Poparcie dla AfD w sondażach spadło z 24 proc. do 18 proc. Prawie 1,7 mln ludzi podpisało petycję o pozbawienie praw obywatelskich lidera partii z Turyngii Björna Höckego, zaliczanego do „ludowego", a więc skrajnego skrzydła AfD.

To, że groźni prawicowcy spotkali się w Poczdamie, by wypędzić miliony migrantów z niemieckim paszportem, jak tylko dojdą do władzy, większość mediów przyjęła jako fakt. Potem posypały się skargi sądowe. Dziś, po serii procesów, z początkowej tezy pozostało niewiele. Okazała się w dużym stopniu zwykłą hucpą.

BATALIA SĄDOWA

Najważniejsza decyzja w tej sprawie zapadła w grudniu ub.r. przed Sądem Okręgowym w Berlinie. Orzekł on, że działaczka AfD Beatrix von Storch może mówić o „brudnym kłamstwie CORRECTIV". Sąd uzasadnił to brakiem dowodów w tekście, że na spotkaniu nad jeziorem Lehnitz rzeczywiście była mowa o deportacji milionów niemieckich obywateli z tłem migracyjnym. Wcześniej sąd w Hamburgu zabronił frakcji Zielonych w miejscowej radzie miasta powielać tezy CORRECTIV o deportacjach. Skargę złożył jeden z uczestników spotkania w Poczdamie, konstytucjonalista Ulrich Vosgerau. Była to kolejna porażka dziennikarzy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8e99d6d4d0

z CORRECTIV w serii procesów ciągnącej się od lutego zeszłego roku.

W rzeczywistości spotkanie było prezentacją książki pt. „Reemigracja-propozycja" byłego lidera ruchu tożsamościowego Austrii Martina Sellnera, który w czasie dyskusji podkreślił, że posiadanie niemieckiego obywatelstwa wyklucza deportację i zamiast tego należy „wywierać presję na tych ludzi w celu integracji". Tak już w lutym zeszłego roku przyznał zresztą przed sądem adwokat CORREKTIV. Dalej upierał się jednak przy tym, że wykryty został prawicowy spisek.

Prawnik Carsten Brennecke, który reprezentuje niektórych uczestników spotkania w Poczdamie, pozwał stacje telewizyjne NDR i ZDF, gdyż dalej informowały one o rzekomych planach „deportacji" obywateli niemieckich. I wygrał. Sąd Okręgowy w Hamburgu zakazał tym mediom stosowania takich sformułowań, gdyż „raportowanie o tych wydarzeniach przez CORRECTIV nie było poprawne ani precyzyjne". Jak pisze Redaktionsnetzwerk Deutschland (RND), w dwóch pozwach złożonych niedawno w Sądzie Okręgowym w Hamburgu Brennecke domaga się teraz nie tylko korekty artykułu. Chce, by sąd zakazał CORRECTIV używania sformułowań takich jak „mistrzowski plan" czy „wydalenie obywateli niemieckich". Czy uda się mu uzyskać taki wyrok, czas pokaże.

Sukces przed sądem przeciwko CORRECTIV odniosła natomiast kolejna z uczestniczek spotkania w Poczdamie – Simone Baum, należąca do prawicowego skrzydła CDU – Werteunion. Polityk twierdziła w rozmowie z „Die Welt", że tekst CORRECTIV zamienił jej życie w piekło. Została zwolniona z pracy w urzędzie miasta w Kolonii. Wiele osób odwróciło się od niej, dochodziło do prześladowań i gróźb. Opublikowano jej adres i musiała żyć pod ochroną policji. W lipcu ub.r. Sąd Pracy w Kolonii zdecydował, że jej uczestnictwo w spotkaniu w Poczdamie nie stanowi wystarczającego powodu do zwolnienia z pracy.

USTAWKA SŁUŻB?

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że to ówczesny szef kontrwywiadu, a dziś kandydat CDU do Bundestagu Thomas Haldenwang poinformował dziennikarzy o spotkaniu w Poczdamie i zachęcał ich do relacjonowania go. Tak ma wynikać z odpowiedzi, którą Urząd Ochrony Konstytucji udzielił na pytanie gazety „Der Tagesspiegel". Oczywiście kontrwywiad nie chciał tego zrobić, ale został do tego zmuszony przed sądem po skardze gazety w ramach wolnego dostępu do informacji. Przy okazji „Der Tagesspiegel" dowiedział się, że dziennikarze „Der Spiegel" spotykali się z przedstawicielami urzędu w celu indywidualnych, poufnych rozmów 13 razy, „Süddeutsche" – 8 razy, a „Die Welt" – 7 razy.

AfD od dawna podejrzewa, że organy ochrony konstytucji regularnie przekazują mediom informacje podczas takich rozmów, aby przedstawić partię w złym świetle i stworzyć fundamenty zakazu jej działalności. Według partii relacja o „Wannsee 2.0" miała być ustawką służb „z udziałem lewicowych aktywistów pozujących na dziennikarzy", co CORRECTIV zdecydowanie odrzuca.

Do dziś do końca nie wiadomo, co działo się rok temu nad jeziorem Lehnitz ani o czym tam dokładnie rozmawiano, bowiem CORRECTIV nie udostępnił innym mediom swoich nagrań. Pozostał tylko niesmak, zniszczone kariery niektórych uczestników spotkania oraz rosnące wątpliwości dziennikarzy i ekspertów – jak donosi „Die Welt".

Filozof Maria-Sibylla Lotter z Uniwersytetu Ruhry w Bochum uważa, że artykuł CORRECTIV stanowi „odstraszający przykład manipulacyjnego dziennikarstwa, które chce czynić dobro, ale tworzy zło – mianowicie przyczynia się do polaryzacji politycznej i utraty zaufania w media". Według Christiana Pentzolda, medioznawcy z Uniwersytetu w Lipsku, jedną z podstaw dziennikarstwa „jest umiejętność oddzielenia wyrażania opinii od stwierdzania faktów". „CORRECTIV nie potrafiło tego zrobić" – dodał. A może wcale nie chodziło o to, by cokolwiek odgraniczać. Po publikacji artykułu jego autorzy stworzyli sztukę teatralną na ten temat, z którą jeździli po teatrach w Niemczech, jeszcze utrudniając odbiorcom odróżnienie faktów od fikcji. Nie było to problemem dla mainstreamowego świata medialnego, który obsypał ich nagrodami, m.in. tytułem dziennikarzy roku.

CYFROWA KURATELA

Sam CORRECTIV twierdzi, że składa się „z dziennikarzy, a nie aktywistów", jednak gdy spojrzymy na listę jego sponsorów, znajdziemy tam m.in. Open Society Foundations George'a Sorosa, a także liczne państwowe podmioty, jak rząd Nadrenii Północnej-Westfalii, Federalna Centrala ds. Kształcenia Politycznego czy Europejski Fundusz Klimatyczny. Od 2020 r. CORRECTIV posiada także umowę z Metą Marka Zuckerberga, czyli zajmowało się tzw. fact checkingiem na Facebooku. Inaczej cenzurą. Zapewne już niedługo, bo Zuckerberg postanowił zrezygnować z takich usług.

Ale to nie szkodzi, bo CORRECTIV ruszył na kolejną krucjatę, mianowicie usiłuje sądowo wymusić zdjęcie z rynku książki Joachima Steinhöfela pt. „Cyfrowa kuratela" („Die digitale Bevormundung"). Autor, prawicowy prawnik i publicysta, wielokrotnie wspomina w niej o platformie i jej szefie Davidzie Schravenie, który tak jak jego żona jest związany z Zielonymi, a przy okazji działalności charytatywnej zarejestrował liczne spółki handlu nieruchomościami. Także dzięki staraniom CORRECTIV książka stała się bestsellerem.

Jeśli zaś chodzi o spotkanie w Poczdamie rok temu, to AfD odrobiła przez ten rok sondażowe straty. W lutym odbędą się wybory do Bundestagu i z aktualnych badań wynika, że partia Alice Weidel może liczyć na 22 proc. poparcia. Plasuje się tym samym na drugim miejscu za CDU (31 proc.). Na trzecim jest SPD (15 proc.), a dalej Zieloni (13 proc.) i Sojusz Sahry Wagenknecht (6,5 proc.). Na końcu są liberałowie z FDP oraz Die Linke, którzy przy 4 proc. oraz 3,5 proc. poparcia walczą o przekroczenie progu. Na dodatek tendencja AfD jest rosnąca.

Wspomniana Simone Baum napisała książkę o swoich doświadczeniach – „Legenda z Poczdamu – do piekła i z powrotem", o „medialnym mechanizmie, który niszczy ludzi".

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Mamy nową ambasadę w Berlinie

Za nami uroczyste otwarcie nowej ambasady RP w Niemczech. Odbyło się 17 stycznia 2025 r. Minister Sikorski ogłosił wielki sukces, przypisując sobie i swojej formacji zasługę wybudowania nowego budynku przy Unter den Linden

Prawda jest jednak bardziej złożona. Nawet jeśli projekt, wedle którego zbudowano ambasadę, powstał za czasów rządów Platformy Obywatelskiej, to potem przez wiele lat nic się nie działo, a realizacji tej potężnej inwestycji podjął się rząd Prawa i Sprawiedliwości. A było to tak.

* * *

Mniej więcej w połowie 1999 r. ówczesny ambasador Rzeczypospolitej w Niemczech kierujący placówką afiliowaną w Bonn, a faktycznie znajdującą się w Kolonii, przywiózł z Warszawy projekt nowego budynku ambasady w Berlinie celem zademonstrowania dyplomatom. Było to związane z przeprowadzką niemal wszystkich ważnych niemieckich instytucji (Bundestagu, rządu, ministerstw) z Bonn do Berlina. Miałem przyjemność uczestniczyć w tej przeprowadzce, awansowany po pięciu latach pracy dyplomatycznej w Kolonii na radcę ambasady ds. nauki i kultury.

Projekt wzbudził zainteresowanie, a nawet podziw naszych dyplomatów. Nikt jednak wówczas nie przypuszczał, że nigdy nie zostanie on zrealizowany. Polska posiadała w Berlinie dwa obiekty o statusie dyplomatycznym. W jednym z nich, mieszczącym się przy Lassenstrasse 19 w zachodniej części miasta, mieściła się niegdyś Polska Misja Wojskowa, wydająca wizy do Polski obcokrajowcom chcącym odwiedzić nasz kraj (oraz inwigilująca niemiecką Polonię). Drugi, bardziej okazały budynek był usytuowany w pobliżu Bramy Brandenburskiej (naprzeciwko ambasady Rosji). Niegdyś mieściła się tam ambasada PRL w NRD.

To do tego budynku przeprowadziła się „dyplomatyczna" część pracowników kolońskiej ambasady. Już w 1999 r. tzw. konsularnicy (Wydział Konsularny) zajęli bowiem jeden z trzech budynków dawnej misji wojskowej. Drugi, okazała willa, przez rok był przygotowywany do umieszczenia w nim dyplomatów w związku z przewidywanym rozpoczęciem budowy nowej ambasady przy Unter den Linden. Przeniesienie to nastąpiło w 2000 r. Od tego momentu budynek przy głównej alei stolicy Niemiec stał pusty, marniejąc coraz bardziej. Aż do 2016 r. Żaden bowiem z polskich rządów po 2000 r. nie był w stanie stworzyć i wdrożyć projektu, który zostałby zaakceptowany przez władze Berlina jako zgodny ze stylistyką architektoniczną tej reprezentacyjnej części miasta.

A projektów było kilka – od takiego, którego fasadę stanowić miał olbrzymi biały orzeł, po projekt ekologiczny, w którym z dachu budynku miały spływać zielone pnącza. W tym drugim przypadku polscy architekci zapomnieli o klimacie Berlina, który z pewnością wykluczyłby takie eksperymenty. Władze niemieckiej stolicy zakwestionowały te pomysły, a polscy dyplomaci zrezygnowali z ich obrony.

* * *

Po tych nieudanych podejściach zorganizowano nowy konkurs, który wygrała renomowana warszawska pracownia architektoniczna JEMS Architekci. Kolejne rządy nie potrafiły jednak wygospodarować w budżecie państwa środków na realizację projektu. Polscy dyplomaci urzędowali więc w niewielkiej ciasnej placówce przy Lassenstra-

Fot. archiwum autora

eprasa.pl 8e99d6d4d0

sse, a szary budynek przy Unter den Linden był obiektem kpin pilotów wycieczek po Berlinie, którzy wysiadając przy nim z oprowadzanymi grupami, często zaczynali od złośliwych uwag o „polnische Wirtschaft".

Tak było do 2016 r. Wówczas dyrektor generalny MSZ zaprosił mnie na rozmowę, podczas której przedstawił mi propozycję objęcia funkcji ambasadora w Berlinie. Obwarowano ją kilkoma warunkami – najważniejszym z nich było podjęcie się przeze mnie roli faktycznego i prawnego realizatora tej olbrzymiej inwestycji, bo to właśnie ambasador jako najwyższy i upełnomocniony przedstawiciel Polski za granicą ogłasza i przeprowadza konkurs na wykonawcę, podpisuje z nim umowę oraz realizuje setki rachunków na niebagatelne kwoty za realizacje cząstkowe. Wsparcie prawników MSZ nie zdejmuje zeń olbrzymiej odpowiedzialności.

* * *

Uważając, że najwyższy czas, by Polska posiadała w Berlinie reprezentacyjną ambasadę odpowiadającą jej randze gospodarczej, kulturowej i politycznej, a także mając w pamięci ów nieudany początek z 1999 r., ze wsparciem premiera Jarosława Kaczyńskiego podjąłem się realizacji tego odpowiedzialnego zadania. Tuż po objęciu placówki latem 2016 r. na moje polecenie rozpisano konkurs na wykonawcę. Po otwarciu ofert okazało się, że wszystkie propozycje znacząco przekraczają kwotę, którą przewidzieli na tę inwestycję autorzy projektu. Po części było to związane ze wzrostem cen materiałów i usług budowlanych. Ruszył chocholi taniec.

Pracownicy MSZ zaczęli przekonywać ówczesnego ministra, że lepiej by było sprzedać działkę przy Unter den Linden, aby za mniejsze pieniądze kupić działkę położoną dalej od centrum miasta (wzorem Słowacji), rozpisać nowy konkurs i tam na jego podstawie zbudować ambasadę.

Niezwłocznie stworzyłem więc zespół, którego zadaniem była weryfikacja wysokości zgłoszonych ofert. Potwierdziła ona, że nie może być mowy o zmowie cenowej, oferty były bowiem realistyczne. Podczas narady w Ministerstwie Finansów na zaproszenie ówczesnego ministra Mateusza Morawieckiego, w której oprócz mnie wzięło udział kierownictwo stosownych departamentów MSZ, sprzeciwiłem się, przy jednoznacznym wsparciu gospodarza spotkania, wyprowadzeniu ambasady z Unter den Linden, argumentując swoje stanowisko olbrzymim symbolicznym znaczeniem umieszczenia budynku właśnie tam. Jest to bez wątpienia miejsce prestiżowe, bowiem oprócz wspomnianej już Rosji swoje ambasady mają tam jedynie mocarstwa: USA, Wielka Brytania i Francja. Oraz sąsiadujące z nami Węgry.

Andrzej Przyłębski, pierwszy z lewej, w biurze budowy ambasady

> Polska posiada w końcu w Berlinie okazałą ambasadę, ale wskutek osobliwej polityki ministra Sikorskiego nie ma ambasadora. Świat dyplomacji i polityki patrzy na to z coraz większym zdumieniem

* * *

Nowy przetarg, w którym uczestniczyły trzy duże podmioty, wygrała renomowana firma STRABAG. Biuro budowy przy ambasadzie w Berlinie, którym formalnie kierowałem, rozpoczęło, a po roku zakończyło rozbiórkę starego budynku. Wykonano też niezbędne prace archeologiczne, podczas których znaleziono rzeźbę germańskiego rycerza, a następnie przystąpiono do prac budowlanych. Miały się one zakończyć późną wiosną 2022 r. Pandemia, kłopoty z materiałami oraz z doborem pracowników budowlanych (którzy w przypadku ambasady muszą być starannie weryfikowani) spowodowały spore opóźnienie w realizacji prac wykończeniowych i w rezultacie otwarcie ambasady przypadło na czasy rządów ministra Sikorskiego, którego udział w realizacji inwestycji był minimalny.

Tak oto Polska posiada w Berlinie okazałą ambasadę, ale wskutek osobliwej polityki ministra Sikorskiego nie ma ambasadora. Świat dyplomacji i polityki patrzy na to z coraz większym zdumieniem.

Andrzej Przyłębski

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Jak zatrzymać to szaleństwo

Zachód wycofuje się z polityki, która doprowadziła do okaleczania dzieci oraz podawania im szkodliwych blokerów dojrzewania w celu zmiany płci. W Polsce transszaleństwo dopiero się zaczyna

GORAN ANDRIJANIĆ

„Rozmawiamy o rządowym projekcie ustawy o uzgodnieniu płci" – poinformowała minister równości Katarzyna Kotula podczas niedawnego posiedzenia Parlamentarnego Zespołu do spraw Równouprawnienia Społeczności LGBT+. „Dlaczego nie mówimy o nim publicznie? Podjęliśmy decyzję, że do końca kampanii prezydenckiej i do końca procesu związanego z ustawą o związkach partnerskich nie chcemy o tym mówić", wyjaśniła „ministra" przed członkami zespołu i gośćmi, w tym kilkoma homoaktywistami.

Ta „aktywistyczna" atmosfera, dobrze znana Kotuli, sprawiła, że pani minister dała się ponieść emocjom. Przyznała przed kamerami transmitującymi posiedzenie komisji na stronie internetowej Sejmu, że rząd przygotowuje bardzo szkodliwe prawo, które ma ułatwić i przyspieszyć „zmianę płci" w Polsce. Strategia opóźniania przyjęcia ustawy jest czymś nowym w obozie Tuska. Na początku zeszłego miesiąca minister sprawiedliwości Adam Bodnar otwarcie mówił o potrzebie takiego rozwiązania oraz o tym, że rozmawiał na ten temat z Kotulą.

Podobną ustawę w 2015 r. uchwalił Sejm, w którym większość miała koalicja PO-PSL. Ustawa miała upraszczać procedury związane z uzgodnieniem płci. Sprawy miały być rozpatrywane w trybie nieprocesowym, a decyzję o zmianie płci sąd miał podejmować na podstawie orzeczeń lekarskich.

Wtedy oczywiście ustawę zawetował Andrzej Duda, opisując ją jako „pełną luk i nieścisłości i pozostającą w sprzeczności z dotychczasową praktyką orzeczniczą".

Teraz rząd Donalda Tuska znowu ma tę samą agendę, z którą (podobnie jak z edukacją seksualną) chce poczekać do wyborów prezydenckich, licząc na zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego, które otworzyłoby drogę rewolucji społecznej.

ZACHÓD MÓWI STOP

Jednym z najniebezpieczniejszych punktów tej rewolucji jest właśnie ideologia trans. W tym momencie wszystko wskazuje na to, że Zachód wycofa się z polityki, która doprowadziła do okaleczania dzieci w drodze operacji zmiany płci oraz podawania blokerów dojrzewania niepełnoletnim.

W marcu ub.r. brytyjski National Health Service zdecydował, że blokery dojrzewania nie będą więcej przepisywane nastolatkom i dzieciom w instytucjach zdrowotnych, które finansuje fundusz. Podobne decyzje podjęto w wielu innych krajach zachodnich, takich jak Finlandia, Szwecja i Francja. W kilku stanach USA obowiązują ustawy, które ograniczają zmianę płci, szczególnie u nastolatków. W tym samym czasie transszaleństwo w Polsce dopiero się zaczyna. Rodzice w naszym kraju będą więc musieli stawić czoło kolejnemu wyzwaniu, zwłaszcza jeśli Trzaskowski zostanie prezydentem RP.

Dlatego dobrze by było, aby każdy ojciec i matka posiadali wiedzę na temat argumentów, których mogą użyć, by przeciwstawić się ideologii transseksualnej oraz jej atakom na nasze dzieci. W ostatnich latach w Polsce ukazały się dwie książki, które mogą być bardzo pomocne w tym względzie.

Pierwsza z nich zatytułowana „Gender Madness" (Wydawnictwo Esprit, 2024) została napisana przez Oliego Londona, gwiazdę muzyki pop i influencera, który przeszedł proces detranzycji (wycofania się z korekty płci).

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Drugą książką jest „Nieodwracalna krzywda” (Wydawnictwo AA, 2022) autorstwa Abigail Shrier, w której ta nagradzana dziennikarka liberalnego „The Wall Street Journal” pisze o zagrożeniach związanych z ideologią trans.

NIEBEZPIECZNĘ LEKARSTWA NA KRYZYS TOŻSAMOŚCI

Pierwsza książka to spowiedź bardzo popularnego influencera, który z powodu konfliktów z dominującym ojcem w dzieciństwie cierpiał na silne poczucie niepewności i depresję. Negatywne uczucia wywołały u niego kryzys tożsamości, który próbował wyleczyć za pomocą licznych operacji plastycznych, a następnie zmiany płci. Po 32 zabiegach mających na celu zmianę wyglądu i próbę upodobnienia się do koreańskiej gwiazdy pop, London zdecydował, że chcę się stać kobietą.

„Niecały rok po publicznym ogłoszeniu przeze mnie zmiany płci zdałem sobie sprawę, że popełniłem katastrofalną pomyłkę i że moje próby dojścia do ładu z własną tożsamością płciową, niskim poczuciem wartości oraz traumami były kompletnie chybione. Doświadczyłem psychicznego olśnienia oraz duchowego przebudzenia i doszedłem do wniosku, że powinienem był przede wszystkim zająć się moimi problemami psychicznymi, zamiast kroczyć drogą samozniszczenia, usiłując stworzyć fałszywą fasadę... Ruszyć w podróż ponownego odkrywania tego zagubionego chłopca, który więziony we mnie przez lata wołał o pomoc i wolność od pęt, którymi sam się związał” – pisze London.

Jego książka składa się z dwóch części. W pierwszej autor opisuje własne doświadczenia, przedstawiając czytelnikowi historię swojego życia, która doprowadziła go do absurdalnych prób zmiany tożsamości i powrotu do prawdziwej walki z własnymi lękami. W drugiej części London przedstawia główne zagrożenia związane z ideologią trans, jej historię i argumenty przeciwko niej.

Autor wskazuje na najważniejsze fakty: to, co nazywa się dziś dysforią płciową, bardzo często jest spowodowane innymi zaburzeniami rozwoju dziecka, takimi jak depresja, zaburzenie borderline, zaburzenie narcystyczne, schizofrenia, dysmorfofobia i podobne. W większości przypadków z dysforii płciowej się wyrasta, ale najgorsze jest to, że system i środowisko popychają dzieci w kierunku nieprzemyślanej zmiany płci.

„Chodzi o ochronę dzieci, zachowanie ich niewinności i pozwolenie im na to, by mogły rozwinąć się i wyrosnąć na zrównoważonych dorosłych, a nie o to, czy ktoś jest zwolennikiem tranzycji, czy nie. Ja sam zmieniłem płeć społeczną, gdy byłem już dorosły, a i tak w końcu tego pożałowałem... Mogę winić ludzi, którzy mnie do tego namawiali, albo trendy obecne w mediach społecznościowych, które takie procedury uznają za normalne, ale ostatecznie to ja sam wyraziłem zgodę na zabieg. Dzieci nie mają takiej możliwości. Wszyscy mamy moralny obowiązek chronić bezbronnych i słabych. Dzieci są najbardziej bezbronnymi i podatnymi na wpływy członkami społeczeństwa, i jeśli nie zaczniemy podejmować konkretnych działań i stawać w ich obronie, ich sytuacja stanie się jeszcze gorsza. Coraz więcej dzieci pozwoli na okaleczenie swojego ciała i w końcu tego pożałuje, lecz wówczas zostaną same ze swoim cierpieniem i konsekwencjami decyzji podjętymi w ich imieniu przez dorosłych” – podkreśla London.

Jego książka jest przede wszystkim świadectwem, co stanowi jej główną zaletę.

SPOŁECZNA ZARAZA

Druga książka, którą chcemy polecić, to precyzyjna praca dziennikarska przedstawiająca fakty w sposób typowy dla reporterów. Shrier napisała „Nieodwracalną krzywdę”, ponieważ potrzebowała wyjaśnienia zjawisk, które wydawały się jej dziwne.

„Dysforię płciową – znaną wcześniej jako »zaburzenie tożsamości płciowej« – charakteryzuje ostre i uporczywe poczucie dyskomfortu wywoływanego własną płcią biologiczną... W większości przypadków – w prawie 70 proc. – dziecięca dysforia płciowa ustępuje. Z historycznego punktu widzenia kiedyś dotyczyła niewielkiej części populacji (niecałe 0,01 proc.), i to prawie wyłącznie chłopców” – czytamy w książce Shrier. I dalej:

„W ostatnich dziesięciu latach sytuacja się zmieniła i to dramatycznie. Świat zachodni ujrzał wzbierającą falę dorastających dziewcząt, nieoczekiwanie stwierdzających, że mają dysforię płciową i samoidentyfikujących się jako »osoby transpłciowe«. Po raz pierwszy w historii medycyny dziewczynki z urodzenia nie tylko są obecne wśród tych, które tak się identyfikują, lecz stanowią ich większość. Dlaczego? Co się stało?”.

Próbując odpowiedzieć na te pytania, Shrier przeprowadziła ponad 200 wywiadów z dziewczętami, które „zmieniły płeć”, a potem tego żałowały, z ich rodzicami oraz z ekspertami, którzy opowiadają się za „terapią afirmatywną” (korektą płci), a także z tymi, którzy się jej sprzeciwiają. W pewnym momencie dziennikarka pisze o „zarażeniu” które przenosi się przez system państwowy i sieci społecznościowe.

„Kibicujemy nastoletnim dziewczętom bez żadnej dysforii, które zanurzają się w radykalnej ideologii gender – wykładanej w szkole lub poznawanej przez internet. Rówieśnicy, terapeuci, nauczyciele i internetowi gwiazdorzy podpuszczają te dziewczęta. Tyle że w ich przypadku koszt takiej młodzieńczej nierozwagi to nie przekłucie uszu czy kolejny tatuaż [...]. Być może jednak obecny szał nie będzie wiecznie kusił zaburzonych młodych dziewcząt bez wcześniejszych objawów dysforii, uzależniając je na całe życie od hormonów i operacji plastycznych zniekształcających im ciała. Jeśli to społeczna zaraza, to właśnie społeczeństwo może ją powstrzymać. Żadna nastolatka nie powinna płacić tak wysokiej ceny za to, że kiedyś, przez krótki czas, obserwowała czyjąś stronę w internecie”.

Jej książka podobnie jak „spowiedź” Oliego Londona może pomóc polskim rodzicom uchronić swoje dzieci przed popełnieniem czasami nieodwracalnych błędów.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Jak niemieckie państwo zaplanowało Holokaust

Konferencja w Wannsee z 20 stycznia 1942 r. jest uznawana za przełomowe wydarzenie prowadzące do zagłady Żydów w czasie II wojny światowej. Obnaża nie tylko sposób myślenia niemieckich sprawców, lecz także pokazuje, kto jest odpowiedzialny za tę straszliwą zbrodnię

Willa w Wannsee. Tam 20 stycznia 1942 r. spotkali się niemieccy architekci Holokaustu

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Na początku 1942 r. 15 wysokich przedstawicieli partii nazistowskiej (NSDAP), policji bezpieczeństwa i administracji III Rzeszy zostało zaproszonych na konferencję do przepięknej wilii w Wannsee pod Berlinem. Organizator spotkania, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) Reinhard Heydrich poinformował w rozesłanym zaproszeniu, że celem „połączonego ze śniadaniem" spotkania będzie omówienie szczegółów dotyczących „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" w Europie.

PRZERAŻAJĄCE ZAPOWIEDZI

Warto jednak pamiętać, że decyzja o wymordowaniu wszystkich europejskich Żydów nie zapadła na spotkaniu 20 stycznia 1942 r. Represje wobec mieszkającej w Niemczech ludności żydowskiej rozpoczęły się zaraz po przejęciu władzy przez Hitlera i objęciu przez niego funkcji kanclerza III Rzeszy. Jeszcze przed 1939 r. powstały pierwsze obozy koncentracyjne, a w 1935 r. ogłoszono tzw. ustawy norymberskie. Żydom odebrano prawa obywatelskie i zakazano małżeństw z Niemcami. Żydowskim lekarzom, adwokatom i wykładowcom zakazano wykonywania zawodu. W 1938 r. doszło do zamieszek znanych jako noc kryształowa. Przez dwa dni niszczono budynki należące do Żydów, a ich samych bito i wyrzucano z domów. Skutkami tych wydarzeń była grabież mienia, śmierć ok. 200 Żydów, a także zesłanie 20–30 tys. do obozów koncentracyjnych.

Świat ignorował znaki zapowiadające zbliżającą się katastrofę, a Hitler już przed wybuchem II wojny światowej dosyć otwarcie zapowiadał wymordowanie Żydów. 30 stycznia 1939 r. podczas przemówienia w Reichstagu z okazji szóstej rocznicy objęcia władzy odpierał wiele zarzutów ze strony innych państw europejskich i prze-

Fot. Werner Spremberg/Shutterstock.com, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 8e99d6d4d0

konywał, że III Rzesza pragnie pokoju. Nie przeszkadzało mu to w akcentowaniu potrzeby zdobycia przestrzeni życiowej dla Niemców, chociaż wówczas skupionej jeszcze wokół utraconych kolonii, a nie ekspansji na wschód. Ważnym punktem tego długiego przemówienia byli jednak Żydzi, bo ponoć to oni byli jednym z głównych wrogów nazizmu. Mieli odpowiadać za niepowodzenia Niemiec, dlatego skierowano pod ich adresem przerażające ostrzeżenie: „Bardzo często w mym życiu stawałem się prorokiem i byłem najczęściej wyśmiewany. W czasach walki mojej o władzę naród żydowski przyjmował jedynie z uśmiechem moje przepowiednie, że kiedyś w Niemczech obejmę kierownictwo państwem i że wówczas doprowadzę także do rozwiązania problemu żydowskiego. Sądzę, że ten rozlegający się wówczas śmiech żydostwa w Niemczech zamarł już im w międzyczasie w gardle. Dzisiaj znowu chcę być prorokiem: jeżeli międzynarodowej finansjerze żydowskiej w Europie i poza Europą miałoby się udać raz jeszcze popchnąć narody do jakiejś wojny światowej, to rezultatem tego nie będzie zbolszewizowanie świata i przez to odniesienie zwycięstwa przez Żydów, lecz jedynie zniszczenie rasy żydowskiej w Europie".

MASOWE MORDOWANIE JUŻ TRWAŁO

Zbrodnie przeciwko Żydom mieszkającym poza Niemcami rozpoczęły się wraz z kampanią wrześniową 1939 r. Już wtedy Wehrmacht bił, poniżał, okradał, a nawet rozstrzeliwał napotkanych cywili narodowości żydowskiej, palono synagogi i tworzono pierwsze getta. Niemcy zaczęli dokonywać masowych mordów na Żydach po ataku na Związek Sowiecki latem 1941 r. Ofiarami Einsatzgruppen, jednostek Wehrmachtu i wysłanych na wschód batalionów niemieckiej policji, padły dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Jesienią 1941 r. Niemcy przeprowadzili eksperymenty z wykorzystaniem zasilanych spalinami komór gazowych na ciężarówkach. Zaczęli je stosować już 8 grudnia 1941 r. w nowo utworzonym niemieckim obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem. Skala masowych mordów na Żydach stale rosła, kiedy w styczniu 1942 r. doszło do osławionej konferencji.

NIE PRZEJĘLI SIĘ AMERYKĄ

Według pierwotnych planów spotkanie zaplanowano na 9 grudnia 1941 r. Miało się odbyć w Berlinie, w siedzibie Międzynarodowej Organizacji Policji, czyli Interpolu. Konferencję zdecydowano się przełożyć w związku z rychłym włączeniem się do wojny Stanów Zjednoczonych, co nastąpiło 7 grudnia 1941 r. po japońskim ataku na Pearl Harbor. Kilka dni później Niemcy wypowiedziały wojnę USA.

Do tematu postanowiono wrócić po 40 dniach. Tym razem na miejsce spotkania wybrano piękną willę położoną nad brzegiem jeziora Grosser Wannsee w prestiżowej dzielnicy wypoczynkowej Wannsee. Rezydencja została wybudowana w 1915 r. na zlecenie Ernsta Marliera, fabrykanta farmaceutycznego. W czasie wojny willę kupiło SS i zaadaptowało na dom gościnny dla wysokich rangą funkcjonariuszy hitlerowskich służb, m.in. dowódców Einsatzgruppen. To tam w południe 20 stycznia 1942 r. spotkało się 15 czołowych przedstawicieli nazistowskiej administracji państwowej Niemiec.

> Ze wszystkich uczestników konferencji jedynie jej sekretarz, późniejszy koordynator „ostatecznego rozwiązania" Adolf Eichmann został osądzony i stracony za udział w zaplanowaniu Holokaustu

Konferencja została zorganizowana przez kierownika referatu żydowskiego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Adolfa Eichmanna na polecenie szefa RSHA Reinharda Heydricha. Ten ostatni już w lipcu 1941 r. otrzymał od marszałka Rzeszy i kierownika niemieckiej gospodarki wojennej Hermanna Göringa rozkaz przygotowania „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". Celem spotkania było ustalenie zasad współpracy wszystkich ministerstw i służb państwowych przy realizacji tego morderczego zadania.

Spotkanie otworzył trwający godzinę referat Heydricha, podczas którego omawiał on podjęte już środki i planowane metody eksterminacji. Następnie odbyła się półgodzinna dyskusja na temat prawnej podstawy ludobójstwa, sposobu traktowania tzw. pół- i ćwierćkrwi Żydów, a także spraw organizacyjnych związanych z wyborem metod, miejsca i czasu akcji eksterminacyjnej. Następnie podano obiad i alkohol.

„UZGODNIENIE LINII DZIAŁANIA"

Przebieg konferencji jest znany dzięki jej organizatorom. Adolf Eichmann sporządził protokół ze spotkania. Powstało 30 egzemplarzy tego dokumentu, z których udało się odnaleźć ponad połowę. Ma 15 stron i został sporządzony bardzo starannie. Otwiera go lista gości zaproszonych na konferencję. Wśród nich znaleźli się wysocy rangą urzędnicy III Rzeszy, czterech sekretarzy stanu i jeden podsekretarz. Byli to przedstawiciele MSW, MSZ, Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa ds. Okupowanych Terenów Wschodnich, Ministerstwa Planu Czteroletniego czy Głównego Urzędu do Spraw Rasowych i Osiedleńczych. Dziewięciu posiadało dyplomy ukończenia wyższych studiów, ośmiu tytuł doktora. Przeważali prawnicy, co widać po oficjalnym przebiegu konferencji.

Uwagę zwraca język dokumentu. Według protokołu nikt wprost nie mówił o masowym zabijaniu. Można przeczytać tylko oględne stwierdzenia, jak potrzeba „uzgodnienia linii działania", „wyparcia Żydów z przestrzeni życiowej niemieckiego narodu" czy „ewakuacji na wschód". Nawet konkretne wnioski są zapisane w podobny sposób: „W trakcie praktycznej realizacji ostatecznego rozwiązania Europa zostanie przeczesana z zachodu na wschód" albo: „W trakcie realizacji planu ostatecznego rozwiązania podstawą prawną powinny być do pewnego stopnia ustawy norymberskie".

Podczas konferencji używano zapewne bardziej dosadnych sformułowań wprost odnoszących się do mordowania ludzi. W oficjalnym dokumencie, prawdopodobnie w celu uniknięcia ewentualnych

eprasa.pl 8e99d6d4d0

konsekwencji, język został celowo wygładzony. Mimo używania eufemizmów takich jak „na wschód" czy „ostateczne rozwiązanie" jest oczywiste, że planowano wówczas fizyczną zagładę europejskich Żydów.

Eichmann podczas swojego procesu w 1961 r. potwierdził, że w Wannsee przy koniaku i cygarach całkiem otwarcie mówiono o zabijaniu ludności żydowskiej. Język protokołu spełnił jednak swoje zadanie, ponieważ uniemożliwił działającemu po wojnie Międzynarodowemu Trybunałowi Norymberskiemu uznanie rządu III Rzeszy za organizację przestępczą, a także skazanie poszczególnych osób. Zaistniałą sytuację należy uznać za kuriozalną, ponieważ z tego dokumentu jasno wynika, że ideę Holokaustu poparli nie tylko przedstawiciele NSDAP czy SS, lecz także czołowe osoby w państwie, często nawet niebędące członkami partii.

WYLICZENIA I TECHNICZNE WNIOSKI

Planem „ostatecznego rozwiązania" zamierzano objąć 11 mln europejskich Żydów, nie tylko z Niemiec i okupowanych przez nie terytoriów, lecz także z krajów satelickich (takich jak Słowacja czy Węgry), państw neutralnych (Hiszpania, Szwajcaria), a nawet tych, których Niemcom nie udało się podbić (Wielka Brytania). Jedyna kontrowersja, która zdominowała dyskusję po referacie Heydricha, dotyczyła sposobu traktowania Niemców z małżeństw mieszanych. Nie miało to nic wspólnego ze względami humanitarnymi. Dla zebranych problemem było to, że „mieszańcy" mają w sobie część cennej krwi niemieckiej. Mordowanie pozostałych Żydów nie budziło wątpliwości. Ostatecznie ustalono, że Żydów półkrwi należy uznawać za stuprocentowych Żydów, natomiast Żydów ćwierćkrwi będzie można w przyszłości uznać za obywateli „krwi niemieckiej".

Najbardziej istotne było jednak wyznaczenie miejsca eksterminacji. Zgromadzeni ustalili, że zagłada zostanie przeprowadzona na terenie Generalnego Gubernatorstwa, a pierwszą ofiarą staną się tamtejsi Żydzi. W tym przypadku kluczowa wydaje się obecność na konferencji Josefa Bühlera, zastępcy generalnego gubernatora ziem polskich Hansa Franka, oraz Eberharda Schöngartha, szefa Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w GG. Bühler usilnie przekonywał Heydricha, aby „rozwiązywanie tego problemu" rozpocząć od okupowanej Polski. Zadeklarował pełną gotowość do pomocy ze strony administracji GG i argumentował, że na wskazanym terytorium rozpoczęły się już „pewne przygotowania".

Od grudnia 1941 r. funkcjonował wspomniany wyżej obóz zagłady w Chełmnie nad Nerem, natomiast od listopada 1941 r. trwała budowa obozu zagłady w Bełżcu. W rezultacie w protokole zawarto następujące wnioski: „Należałoby usunąć Żydów z terytorium Generalnego Gubernatorstwa jak najszybciej, bo tutaj Żyd stanowi duże niebezpieczeństwo jako nosiciel epidemii i poza tym stale wywołuje zaburzenia w gospodarczej strukturze kraju z powodu ciągłego uprawiania pokątnego handlu".

PLAN ZREALIZOWANO, TYLKO JEDNEGO OSĄDZONO

Reinhard Heydrich miał być zadowolony z wyników spotkania. Realizacja tak dużej operacji wymagała zaangażowania niemal całego aparatu państwowego III Rzeszy. Szef RSHA obawiał się, że kluczową przeszkodą mogą być spory kompetencyjne. Tymczasem zebrani w Wannsee przedstawiciele wszystkich ważnych sektorów państwa bez oporu uznali nadrzędną rolę Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i zadeklarowali pełną współpracę. W tej sytuacji realizacja ogólnoeuropejskiego planu ludobójstwa mogła ruszyć pełną parą.

Niespełna dwa miesiące po konferencji w Wannsee, 17 marca 1942 r., rozpoczęła się akcja eksterminacji Żydów w Generalnym Gubernatorstwie oznaczona na cześć Heydricha kryptonimem „Reinhardt". Tego dnia Niemcy wysłali na śmierć do Bełżca pierwszy transport Żydów z getta w Lublinie.

Według szacunków historyków w wyniku działań niemieckiej machiny śmierci w czasie wojny wymordowano nawet 6 mln ludzi narodowości żydowskiej.

Ze wszystkich uczestników konferencji jedynie jej sekretarz, późniejszy koordynator „ostatecznego rozwiązania" Adolf Eichmann został osądzony i stracony za udział w zaplanowaniu Holokaustu. Proces był możliwy dzięki schwytaniu zbrodniarza przez żydowskich agentów w Argentynie i przewiezieniu go do Izraela. Sześciu uczestników spotkania (w tym sam Heydrich) nie dożyło końca wojny, Josef Bühler został osądzony i stracony w Krakowie w 1948 r. za zbrodnie na narodzie polskim, natomiast Eberharda Schöngartha stracono w 1946 r. za zabicie alianckiego pilota. Pozostali, o ile w ogóle trafili do więzienia, odzyskiwali wolność po zaledwie kilku latach. Dziś w willi pod Berlinem mieści się muzeum prezentujące stałą ekspozycję pod nazwą „Konferencja w Wannsee i zagłada europejskich Żydów".

Fot. Andrzej Skwarczyński, polona.pl

eprasa.pl 8e99d6d4d0

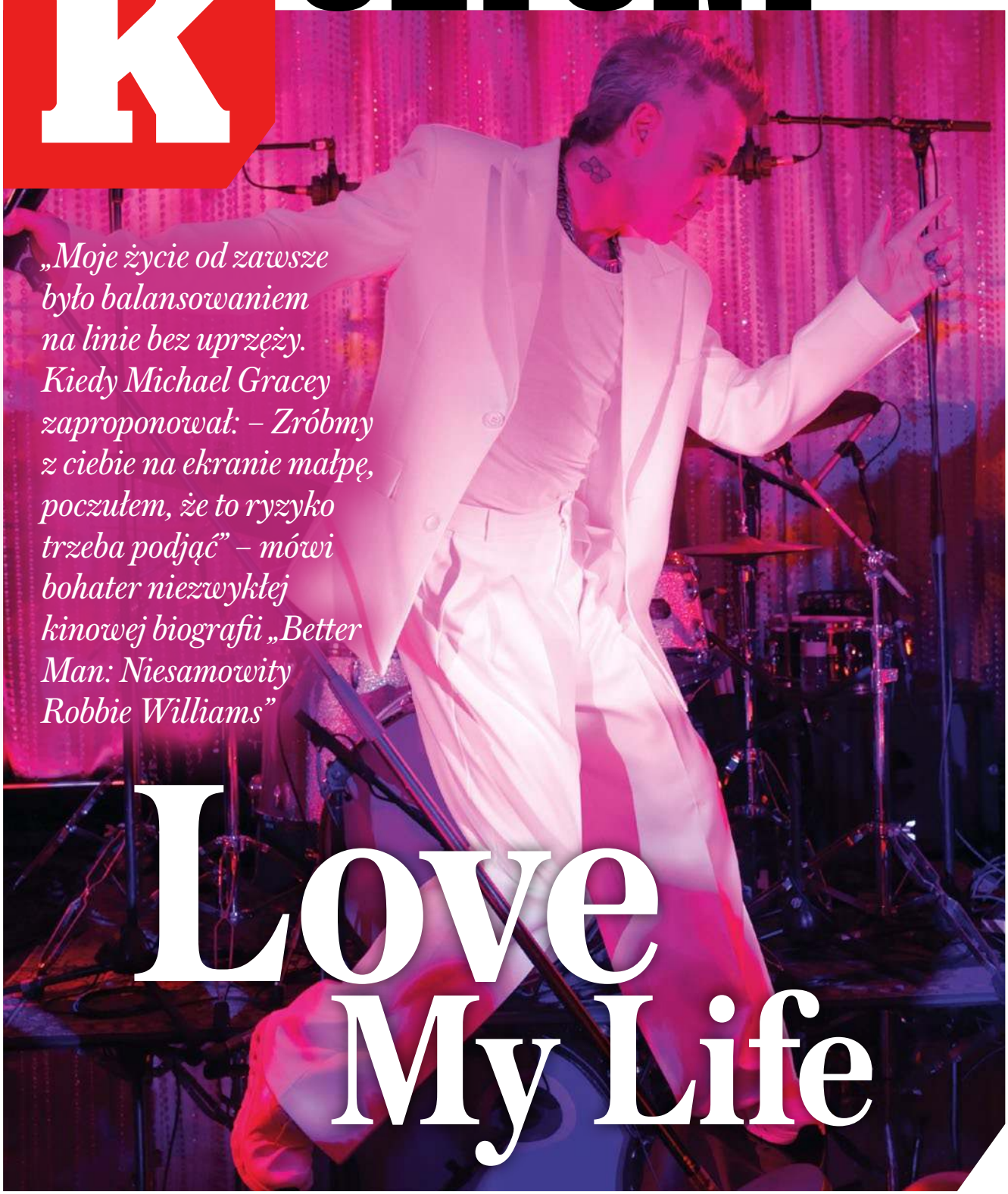

„Moje życie od zawsze było balansowaniem na linie bez uprzęży. Kiedy Michael Gracey zaproponował: – Zróbmy z ciebie na ekranie małpę, poczułem, że to ryzyko trzeba podjąć" – mówi bohater niezwykłej kinowej biografii „Better Man: Niesamowity Robbie Williams"

Love My Life

Fot. Eric Charbonneau/Paramount Pictures via Getty Images/Monolith films

eprasa.pl 8e99d6d4d0

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Poddanie się machinie rozrywkowego przemysłu wymaga byś stał się robotem lub małpą. Ja wybrałem małpę" – podkreśla Robbie Williams, który pomysł Michaela Graceya (reżysera takich filmów, jak „Król rozrywki" czy „P!nk: Tyle już wiem" oraz producenta „Rocketmana") uznał za „największy przewrót, jakiego mogli wspólnie dokonać w kinie".

MATERIAŁ DO FILMU

Williams, zwany też „brytyjskim księciem muzyki pop", jest jednym z najbardziej utytułowanych artystów muzycznych globu, z sześcioma spośród setki najlepiej sprzedających się albumów w Wielkiej Brytanii, 85 mln sprzedanych na świecie albumów, rekordową liczbą 18 nagród BRIT Awards.

Dzięki łącznej liczbie krążków, które dotarły na szczyt list przebojów w Wielkiej Brytanii (w trakcie solowej twórczości oraz w czasie współpracy z zespołem Take That) – do dziś jest ich 19 – Williams plasuje się w pierwszej dwójce artystów wszech czasów. Również z imponującymi dochodami.

Od kilku dekad rosnącą rzeszę fanów przyciąga zarówno muzyka Williamsa, jak i jego życie pełne wzlotów, upadków oraz spektakularnych zawirowań. Czy taki pisany przez życie materiał mógł pozostać niewykorzystany w filmie? Zwłaszcza że życiorysy znanych wokalistów przyciągają niemałą publiczność.

JAK MAŁPA NA SCENIE

Wśród licznych w ostatnim czasie muzycznych biografii (w kinach możemy teraz oglądać film „Kompletnie nieznany", gdzie w Boba Dylana wcielił się Timothée Chalamet) opowieści o Robbiem Williamsie nie sposób nie zauważyć. A także nie docenić. Nie tylko z powodu oryginalności pomysłu, odwagi i konsekwencji ekranowego działania. W końcu mało która muzyczna gwiazda zdecydowałaby się przeobrazić na ekranie w człekokształtną postać. Choćby nawet była ona tak dynamiczna, nieokiełznana i muzycznie eksplodująca przebojami (wgranymi w widowiskowe sceny i taneczne układy), jak bohater „Better Mana...". Skąd jednak wziął się pomysł na taką metamorfozę?

Michael Gracey tłumaczy, dlaczego zdecydował się, by wprowadzić na ekran wygenerowaną komputerowo małpę, tym, że w czasie rozmów Williams wielokrotnie odnosił się do siebie właśnie... jak do małpy. Mówił np.: „Wciągnęli mnie na scenę, żebym występował jak małpa".

CAŁY TEN ZGIEŁK

Reżyser wspomina, że pomysł na film pojawił się podczas branżowego spotkania przy okazji pracy nad filmem „Król rozrywki". „Jako miłośnik opowiadania historii szybko odkryłem, że Robbie jest autorem niezwykłych anegdot. Każda z nich była fascynująca i opowiedziana z charakterystycznym, niepowtarzalnym humorem. Jego zdolność do łączenia żywiołowości i uroku z bardziej intymnymi, często burzliwymi aspektami życia zapewniła niesamowicie wciągającą narrację. W przeciwieństwie do wielu gwiazd, które spotkałem, przystępując do projektu, Robbie nie próbował idealizować siebie ani własnej historii. Jego trudności i porażki zyskały równie dużo, a czasem nawet więcej uwagi niż triumfy. Ta szczerość napędzała film i służyła nam jako przypomnienie, by być równie odważnymi w jego realizacji".

W budowaniu świata „Better Mana..." reżyser czerpał inspirację z twórczości Boba Fosse'a i Terry'ego Gilliama. Filmy, takie jak „Cały ten zgiełk" czy „Kabaret", zachęciły go do uchwycenia dynamicznego wizerunku Williamsa oraz zakulisowych realiów jego kariery.

Wraz z choreografem Ashleyem Wallenem zadbali, by każda musicalowa scena (a w filmie jest ich niemało) nie tylko nakręcała narrację, lecz także była odrębnym widowiskiem. Surrealistyczny styl Gilliama inspirował go przy współtworzeniu (ze scenografem Joelem Changiem) fantastycznych elementów filmu.

PLANY I FINANSE

Film jest oparty na biografii Williamsa. Opowiada o błyskawicznej karierze, dramatycznym upadku i niezwykłym odrodzeniu brytyjskiej gwiazdy pop. W precyzyjnie skonstruowanej, zarazem nieco szalonej musicalowej formule fabuła prowadzi przez życie bohatera i jego największe przeboje – od dzieciństwa przez występy w topowym boysbandzie lat 90. Take That po karierę solową.

Warto tu oddać zasługi także tym, którzy ukryli się za wygenerowaną na ekranie postacią. Poza Robbiem Williamsem jest to Jonno Davies. W przeważającej części filmu – tej najbardziej energetycznej i dynamicznej – to on użycza głosu głównemu bohaterowi.

Dodatkowo Williams wniósł do filmu, poza historią swojego życia i kariery, także niemało finansowego udziału. Budżet zamknął się w kwocie 110 mln dol. Niestety mimo dobrych ocen krytyków od momentu wejścia do kin „Better Man..." zarobił zaledwie 11 mln.

Williams nie bez powodu podkreśla jednak, że jego życie „od zawsze było balansowaniem na linie bez uprzęży". „Mogę upaść w każdej chwili i często się tak zdarzało" – mówi. Ale wśród licznych przebojowych utworów po latach zawirowań w 2017 r. nagrał „Love My Life".

Fot. Monolith films

eprasa.pl 8e99d6d4d0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„The Office PL" – chwilami jak u Fredry

To niewiarygodne, ale kiedy w Canal+ zaczyna się czwarty sezon „The Office PL", ja piszę o nim pierwszy raz.

Pomysł jest brytyjski, serial „Biuro" („The Office") zaczął się w telewizji BBC w 2001 r. Twórcą i gwiazdą był komik Ricky Gervais, grający Davida Brenta, dyrektora. Potem przyszły wersje francuska, amerykańska, niemiecka, kanadyjska. Polega to na podpatrywaniu w komediowym tonie biurowych obyczajów oraz wychwytywaniu przy okazji obyczajowych i kulturowych prawideł danego kraju.

Polacy niczego mechanicznie nie kopiują. U Brytyjczyków jest firma handlująca papierem, u Polaków Kropliczanka produkująca wodę mineralną. Choć Michał Holc, grany przez Piotra Polaka szef filii w Siedlcach, ma w sobie coś z Davida, inne są tematy absurdalnych dialogów, a nawet zbiory postaci. W polskiej wersji Holc przez trzy sezony walczył z Patrycją, córką właściciela Kropliczanki, o utrzymanie swojej posady, potem o to, kto z nich będzie robił karierę w centrali w Warszawie. W czwartej serii ich relacje polegają jeszcze na czymś innym.

Pośród trójki scenarzystów wyróżnia się raper Jakub Rużyłło, piszący też dialogi do „1670", dobrotliwej i mocno niehistorycznej satyry na polski sarmatyzm. W obu serialach używa się formuły dokudramy, mamy dość umowne scenki przeplatane relacjami bohaterów wypowiadanymi do kamery. „The Office PL" reżyserował Maciej Bochniak. Jego kinową „Magnezję" oskarżano o zbyt gruby humor. Tu jest subtelniej.

O czym jest „The Office PL"? Moje pierwsze skojarzenie: o głupocie. Holc to wkurzający przykład niekompetentnego głuptasa, przy okazji mistrza braku taktu i czerstwego humoru. Ale i jego rywalka Patrycja, która mogłaby być feministyczną odtrutką na ignorancję i seksizm faceta, jest kretynką, choć przynoszącą ze sobą wielkomiejskie frazesy. Ekipa składa się z niezbyt ogarniętych, dających sobą manipulować szaraczków. Wyróżnia się Darek Wasiak, zbiór konserwatywnych przesądów, skądinąd w duchu konfederackim. Trudno nie zapamiętać tej postaci, skoro gra ją Adam Woronowicz. On jest akurat nawet bardziej szalony niż niemądry, ale staje się kluczowym składnikiem biurowego absurdu.

Już choćby z powodu „beki" z Darka odradzam oglądanie serialu typowym konserwatystom, choć nafaszerowana politpoprawnościami Patrycja jest przedmiotem równie konsekwentnego szyderstwa. Trzeba przyznać, że atrakcyjna młoda aktorka Vanessa Aleksander tworzy równie spójną komiczną kreację jak Polak i Woronowicz.

Progresywni recenzenci reagują na czwarty sezon narzekaniami, że twórcy nie idą na całość, nie są bardziej antyklerykalni, nie przykładają mocniej prawicy. Ale celem serialu nie jest ideologiczna krucjata. Stanowi go chyba nieszczędząca uszczypliwości, ale w finałach jakoś tam wyrozumiała próba sportretowania polskiej zbiorowości. Udaje się to lepiej lub gorzej. Poczucie humoru to coś indywidualnego. Niektóre odcinki, a miejscami tylko poszczególne dialogi, to dla mnie himalaje dobrej zabawy. Obserwacje tego mikrokosmosu mają w sobie coś z ciętej przenikliwości Gogola czy Fredry. Rozumiemy, że ci ludzie nie zmądrzeją. I wprawia to nas (mnie) w stan potężnej wesołości.

Ale na końcu jest jeszcze coś: melancholia, ciepło, skłonność bardziej do ułaskawienia niż chłostania. Michał jest samotny z powodu swojej nieporadności. Patrycja niesie ze sobą gorycz odtrącenia przez ojca prezesa. Reszta to nieraz bezradne człowieczki, które jednak umieją się zdobyć się na ludzką solidarność zamiast biurowej zawiści. A Darek Woronowicza? Jest tak malowniczy, że kupujemy go w całości, cokolwiek absurdalnego by nie wygadywał czy robił.

Piotr Zaremba

Prasa.pl

3 MIŁOŚCI

Sigma rizz

ROBERT TEKIELI

Marksizm przegrał na Wschodzie, ponieważ został zrealizowany na Zachodzie. W formie doskonalszej, bo niewymagającej przemocy i cenzury przy jego wprowadzaniu. Na szczęście utrzymanie dominacji marksizmu kulturowego w Ameryce Północnej i Europie wymagało już wprowadzenia cenzury i państwowej przemocy. Co otworzyło ludziom oczy.

Dziś o stosowaniu przez lata niejawnej cenzury wszystkich mediów społecznościowych mówi publicznie szef Facebooka. Rewolucjoniści kulturowi z Unii Europejskiej przygotowują kolejne, tym razem prawne ograniczenia wolności słowa. Ideologicznych absurdów nie da się utrzymać bez niszczenia demokracji. Lewicowy establishment zapowiada użycie wariantu rumuńskiego w Niemczech, gdyby wybory potoczyły się nie po jego myśli.

Cenzura, dyktatura i wieloletnie wyroki bezwzględnego więzienia dla współczesnych dysydentów – Mary Wagner, Tommy Robinson. Te nazwiska znamy. Ale ofiarami współczesnego zachodniego marksizmu są też tracący pracę nauczyciele, bo odmówili używania genderowego żargonu, karani są więzieniem rodzice, bo nie chcieli posyłać swoich dzieci na lekcje z rozwiązłości, z uczelni wyrzucani są niezależni naukowcy.

Czy da się zatrzymać marksistowską rewolucję? Czy potężny ruch społeczny, którego frontmanem jest Trump, może zrealizować tak ambitne zamierzenia, jak Projekt 2025 think tanku The Heritage Foundation, za którym stoi sto kilkadziesiąt konserwatywnych instytucji w USA? Ich celem jest usunięcie milionów (!) liberalno-marksistowskich urzędników z amerykańskiej administracji federalnej i jej odchudzenie. Czy uda się antyestablishmentowy marsz przez instytucje? Czy druga kadencja Donalda Trumpa będzie początkiem końca rewolucji kulturalnej na Zachodzie?

Kolejną zasadniczą kwestią jest pytanie o uwarunkowania zewnętrzne naszej cywilizacji.

Rosja nie toczy wojny z Ukrainą, lecz z Zachodem. Mieniąc się Trzecim Rzymem, w rzeczywistości jest jak agresywna kobieta czy zniewieściały mężczyzna: jeśli atakując, spotka się ze spokojną, pełną poczucia siły reakcją, ucieknie z krzykiem i pogrąży się w smucie. Jeśli zobaczy lęk i wahanie, zaatakuje z histeryczną furią i wydrapie oczy. Za Rosją stoją Chiny. Chińskie statki niszczą NATO-wską infrastrukturę krytyczną na Bałtyku. Północni Koreańczycy z nadania Chin walczą na ukraińskim froncie. Globalna wojna trwa.

Czy Zachód potrafi być sigmą? (Słownik Języka Polskiego: sigma – „określenie osoby odnoszącej sukcesy, pewnej siebie, wybitnej, którą można podziwiać. Sigma jest »samotnym wilkiem«, przekonanym o swej nieprzeciętności, ale się z tym nie afiszuje. Ustala zasady, których bezwzględnie przestrzega).

Czy Zachód jest w stanie utrzymać swoją 500-letnią dominację?

„Jakie jest najważniejsze odkrycie cywilizacji europejskiej, dzięki któremu góruje ona nad innymi cywilizacjami?" – zapytał na platformie X Filip Memches. I odpowiedział – „Prymat prawdy nad mitem i zdolność krytycznej refleksji nad samym sobą".

Chrześcijaństwo dało impuls i formę zachodniej cywilizacji. Ale ją przekracza. Kościół niańczył Europę, ale chrześcijaństwo jest czymś więcej niż cywilizacja, niż Zachód. Odrzucenie uniwersalnego wymiaru katolicyzmu i rezygnacja z szerzenia wiary to herezja. Uniwersalizm chrześcijaństwa jest jego istotą. Dokładnie tak samo jest z nauką. Poddanie nauki marksistowskim ideologiom to intelektualna prostytucja. Podstawienie narracji/mitologii/ideologii w miejsce prawdy i zduszenie zdolności do krytycznego myślenia – te dwa procesy sprawiły, że rewolucja kulturowa sięgnęła fundamentów naszej cywilizacji.

Tempo marksistowskiego marszu przez instytucje, wywracania zasad cywilizacyjnych na nice jest też skorelowane z postępami dechrystianizacji. Historia zatacza koło i na Zachodzie wracamy do pogaństwa. Ale nie jest to pogaństwo pierwotne, niewinne. To duchowy materializm, satanizm bez wiary w istnienie szatana.

Światem rządzą dwie siły. Pragnienia i lęki. Wiemy, jak wielu rzeczy Zachód się lęka. Czy jeszcze czegoś pragnie?

Chrześcijaństwo jest religią historyczną i zarazem eschatologiczną. 2 tys. lat temu jeden, jedyny raz mit zaczął się realizować w historii. Nadał jej cel, strzałkę czasu. Chrześcijaństwo, ukazując człowiekowi cel pozahistoryczny, eschatologiczny, motywowało go, nie pozwalało zatrzymać się w rozwoju, cały czas wskazując na coś więcej. To się skończyło. Kościół spętany przez herezje nie jest w stanie podtrzymywać Chrystusowego sztandaru. Nie ma za kim iść.

Trwa wojna kultur, wojna cywilizacji, wojna duchowa. Czy kontrrewolucja ma szansę, jeśli nie jest oparta na ruchu duchowej odnowy? Jak długo może żyć cywilizacja bez duszy?

eprasa.pl 8e99d6d4d0

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Miniserial *„Świt Ameryki"* poraża. Wydawałoby się, że czas westernów minął, że matryca możliwości została wyczerpana, czego najlepszym dowodem był manieryzm spaghetti westernu, pełnej brutalności, nihilizmu i czarnego humoru odmiany opowieści z dziejów Dzikiego Zachodu. Okazało się jednak, że wystarczy postawić na werystyczny realizm oznaczający brutalność bez granic, by osiągnąć spektakularny sukces.

Przenosimy się do 1857 r., trwa wojna o Utah pomiędzy mormonami a rządem USA. Węzłowym punktem fabuły jest masakra pod Mountain Meadows, w której z rąk mormońskiej milicji ginie 140 osadników, w tym wiele dzieci. Na tym tle opowiedziano kilka historii: kobiety uciekającej z synkiem przed niesprawiedliwością, mężczyzny, któremu wymordowano rodzinę, rozdzielonego przemocą małżeństwa mormonów, jest też wątek diabolicznego (?) mormońskiego lidera Brighama Younga oraz plemion rdzennych mieszkańców Ameryki, Pajutów i Szoszonów.

„Świt Ameryki" to opowieść o pierwotnych instynktach *Homo sapiens*, o zdolności ludzi walczących o przetrwanie do skrajnego okrucieństwa. Prawie każda decyzja głównej bohaterki (świetna Betty Gilpin), która wynikała z empatii czy współczucia, kończyła się tragicznie. Przemoc nie jest tu bezsensowna, choć trudno zaakceptować jej motywacje. Fanatyzm religijny, chciwość, głupota, nienawiść będąca skutkiem uzasadnionego lęku przed nieznanym; wszystko, co napędza ludzkie działanie, zostaje poddane bezlitosnej wiwisekcji w świecie praktycznie pozbawionym cywilizacji. Na naszych oczach umiera mit łagodnego dzikusa. I choć nie dowiedziałem się niczego nowego o człowieczeństwie, a nie jest to zarzut, to zobaczyłem sceny powalające. Sekwencja rzezi zapadła mi w pamięć, mam ją pod powiekami. Chaos, uderzające z potworną siłą strzały, choreografia śmierci, przypadek, los, agonia, przetrwanie.

Podobnie wstrząsająca jest scena spotkania uciekinierów z rodziną francuskich traperów. Człowiek sprowadzony do dwóch najpierwotniejszych instynktów. Wątek jak z „Żywych trupów", jednak oszałamiający w swym realizmie.

Sześcioodcinkowy western o tym, jak wykuwano Stany Zjednoczone, zaleca się też rozmachem. Przypomina raczej wysokobudżetowy film w kilku odsłonach niż streamingowy serial. Skupienie się na detalu i ciekawa fabuła to mocne strony tej opowieści, podobnie aktorstwo. Być może nawet po obejrzeniu go łatwiej będzie Europejczykowi zrozumieć amerykańskie prostactwo i dzikość amerykańskiego serca. Być może.

Warte W zupełnie innej konkurencji staje polski serial kryminalny *„Behawiorysta"*. Jest luźną adaptacją pierwszej z książek Remigiusza Mroza o byłym prokuratorze Gerardzie Edlingu, specjaliście od mowy ciała, który zostaje wciągnięty w zbrodnię rozgrywającą się na oczach całej Polski. Punkt wyjścia jest błyskotliwy. Przestępca wdziera się do szkoły, bierze zakładników i zachęca widzów internetowej relacji z egzekucji do głosowania, kto ma umrzeć. Tak rozkręca się zbrodnicza karuzela.

POPKULTURA

„Behawiorysta" to serial jednego aktora. Robert Więckiewicz przeprowadza swojego bohatera od pychy po całkowitą bezradność. I jest w tym bardziej niż wiarygodny. Właściwie jedyną aktorką, która wznosi swą bohaterkę na poziom napięcia psychicznego jego postaci, jest Daria Kalinchuk, grająca rolę dziewczynki porwanej przez Horsta, psychopatycznego antagonistę Edlinga. Nie chcę powiedzieć, że aktorstwo w serialu kuleje. Przeciwnie. I Krystian Pesta (Horst), i pozostali pierwszoplanowi aktorzy – Anna Mrozowska, Katarzyna Dąbrowska, Sandra Korzeniak – wnoszą swoje do serialu. Tak samo Ewa Kolasińska, Sebastian Pawlak, Mirosław Zbrojewicz, Marzena Kipiel-Sztuka czy Anna Grycewicz.

Nie ma nic bardziej uporządkowanego od umysłu paranoicznego psychopaty. Horst zawsze jest o dwa kroki przed ścigającymi go policjantami. A my możemy cieszyć się wciągającą historią, w chaosie skrywa się porządek, wszystkie drogi prowadzą w głąb dzieciństwa głównych bohaterów. Może z ekranu nie padają jakieś ekscytujące formuły, które zmienią nasze życie, ale pochłaniająca rozrywka też jest pożyteczna. Nie zawsze potrzebujemy jej tylko do tego, by się odmóżdżyć.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 8e99d6d4d0

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Małżeństwo wzięte w karby

Na początku XI w. w północnej Francji miał miejsce intelektualno-obyczajowy spór, który na setki lat ukształtował nowy model życia małżeńskiego. Towarzyszyło mu silne napięcie między arystokracją a Kościołem, momentami przechodzące w brutalną konfrontację. Na tym gruncie rodziły się też herezje i gwałtowne społeczne bunty. Kościół musiał bowiem wypracować nową koncepcję rodziny i małżeństwa w otoczeniu barbarzyńskiej, franko-germańskiej obyczajowości.

Opowiada o tym pasjonujące studium francuskiego historyka, zogniskowane na instytucji będącej podporą porządku tworzącego siłę państwa. Nie pomijając też szczegółowego wglądu w ówczesną obyczajowość seksualną i śledząc zmiany, jakim podlegała. Osią tych rozważań jest przykład typowego feudalnego małżeństwa króla Francji Filipa I z jego drugą żoną Bertradą. Podczas synodu w Clermont w 1095 r. papież Urban II na fali apokaliptycznych prądów nie tylko wezwał do pierwszej krucjaty, lecz także postanowił przeforsować swój prymat nad władzą świecką. Kościół odrzucił więc wielowiekową niechęć do małżeństwa, uznając, że musi być ono ustępstwem wobec grzesznej natury człowieka, i poddał je ścisłej kontroli. Eliminuje wszystko, co prowadzi do rozwiązłości oraz rozpadu małżeństwa. Wprowadza je w krąg *sacrum*, afirmuje jako sakrament i umieszcza w ramy umożliwiające cnotliwą egzystencję. Są nimi monogamia, czystość przedmałżeńska, prokreacyjny cel związku, konsekwentne ograniczanie rozwodów i zakaz kazirodztwa.

Konsekwencją była przemiana obyczajów, czego spektakularny przykład stanowiło obłożenie Filipa I ekskomuniką za poślubienie żony wasala, która dodatkowo okazała się jego daleką krewną. Ówczesne frankijskie prawo dopuszczało nawet konkubinaty, a małżeństwa były układami zawieranymi na stopie cywilnej. Filipem kierowała moralność matrymonialna – nie chodziło o miłość, lecz interes dynastii i rodowej domeny. To wtedy pojawia się sukcesja męska po mieczu, w której miejsce kobiety i jej rola się kurczy. Liczy się ochrona dziedzictwa przed rozdrobnieniem i ograniczenie pretendentów. Ten hierarchiczny porządek społeczny budowano też na przekonaniu o absolutnie różnej naturze mężczyzny i kobiety uważanej za najbardziej kruchy element ładu społecznego. Jest nie tyle słaba fizycznie, ile skłonna do oszustwa, gadatliwa, kłótliwa i lekkomyślna. Ciekawe, czy coś się zmieniło od tego czasu.

Georges Duby, „Rycerz, kobieta i ksiądz", Aletheia 2024

Maciej Walaszczyk

Muzyka i polityka

Powyższy tytuł nieprzypadkowo nawiązuje do znanej książki Kisiela. Był on wszak człowiekiem wielu talentów, znanym głownie jako przenikliwy publicysta, mistrz felietonu i polityk, a także krytyk muzyczny i kompozytor. To przecież jedna z najbardziej intrygujących postaci polskiej sceny muzycznej ub.w., obecna zarówno u początków Warszawskiej Jesieni, jak i pierwszego jazzowego festiwalu w Sopocie w 1956 r. lub jako juror w Opolu.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Już na wstępie autorka zestawia ze sobą dwa pozornie sprzeczne fragmenty słynnego „Dziennika", w którym Stefan Kisielewski raz wyklinał muzykę jako ogłupiającą sztukę niesemantyczną, ale chwilę potem, kneblowany zakazem publikacji i nękany przez cenzurę, błogosławił możliwość swobodnego uprawiania tej „kochanej, asemantycznej" sztuki. Takie było programowe, artystyczne *credo* Kisiela, admiratora neoklasycznych form zwalczającego epigonów romantyzmu, zwolennika muzyki wyłącznie jako harmonicznej konstrukcji pozbawionej pozamuzycznych treści. Choć, jak chciał, mającej oddawać nowoczesnego ducha epoki industrialnej. Jednak widmo komunizmu uczuliło Kisielewskiego na problem uwikłania sztuki w ideologiczne spory, czego on oraz inni kompozytorzy doświadczą w epoce socrealizmu.

Wprowadzony w świat polityki za sprawą rodziców sam równolegle wymyślił sobie, że chce być muzykiem. Już jego pierwsze doświadczenia estetyczne odcisną się piętnem na jego kompozycjach. Usłyszana podczas pierwszego koncertu w filharmonii „Symfonia klasyczna" Prokofiewa à la uwspółcześniony Haydn stanie się jego ulubionym utworem, a formowany za sprawą nauczycieli przez bachowską polifonię uzna ją za źródło muzyki nowożytnej. Mimo to pójdzie drogą awangardy, poza linią klarownej linii melodycznej i tradycyjnego systemu tonalnego. Uzna, że można czerpać z tradycji, ale dawne formy ożywiać nowoczesnym brzmieniem. Nie przypadkiem więc jako student warszawskiego konserwatorium wziął udział w strajku studenckim w obronie rektora Karola Szymanowskiego, a potem niósł wieniec za jego trumną. Już jako początkujący krytyk został dostrzeżony przez Jerzego Giedroycia, trafiając w krąg „Buntu Młodych" i „Polityki". Muzyka była jego „wielką, wyrozumiałą i wierną przyjaciółką", którą zdradzał dla politycznych pasji, ale zawsze do niej wracał.

Małgorzata Gąsiorowska, „Kisielewski", PWM 2024

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Między „ścisłą ukrainizacją” a anarchią

„Ścisła ukrainizacja” to uderzanie w głęboko zakorzenione w posowieckiej tożsamości toposy zakotwiczone w osobistych wspomnieniach. Zwłaszcza gdy rosyjskie media celowo je ożywiają

W polskich mediach sprawa przeszła prawie bez echa. Jesienią odwołano serię polskich koncertów ukraińskiego piosenkarza, aktora i pisarza Antina Mucharskiego, występującego również po artystycznym pseudonimem Orest Liutyj. Miała być fragmentem jego europejskiego tournée, podczas którego nie tylko występował dla ukraińskiej diaspory w Europie, lecz także zbierał pieniądze na rzecz jednostki Szalone Koty walczącej z rosyjskim najeźdźcą. Mucharski nie krył rozgoryczenia z tego powodu, oskarżając rosyjską FSB i farmy sterowanych przez nie botów o zawładnięcie polską przestrzenią informacyjną i narzucenie antyukraińskiej narracji. Jego koncerty w Polsce zostały odwołane także z powodu gróźb, które pojawiły się pod jego adresem. Jako pretekst posłużył oczywiście artystyczno-polityczny wizerunek, jaki kreuje Mucharski, mając w swoim repertuarze m.in. piosenki gloryfikujące Stepana Banderę czy Romana Szuchewycza. Jego pseudonim również ma nawiązywać do któregoś z dowódców UPA. Jednocześnie stawia on Ukraińcom Polskę za wzór konsekwentnego porzucenia statusu sowieckiego satelity i lojalnego sojusznika.

Po odwołaniu koncertów z jednej strony przestrzegał przez rosyjskimi wpływami i prowokowaniem wzajemnej niechęci, a nawet oświadczył, że „ukrainofobia staje się nad Wisłą popularnym trendem”. Z drugiej jasno przyznawał, że od początku rosyjskiej agresji to właśnie Polska jako pierwsza przyjęła miliony uchodźców, zapewniając im pomoc, mieszkanie i pracę. „To bardzo denerwuje Rosję” – przyznał.

Rok temu pod naciskiem rosyjskiej propagandy posługującej się tymi samymi argumentami (banderyzm, podżegacze wojenni) próbowano uniemożliwić organizację koncertu znanego hip-hopowego składu TNMK w Lublanie, stolicy Słowenii. Także lider znanego zespołu Wopli Widoplasowa Ołeh Skrypka narzekał, że „ręce Kremla” storpedowały organizację koncertów w Niemczech i Szwajcarii.

Mucharski uprawia rodzaj politycznego kabaretu muzycznego, wykorzystując znane na Ukrainie i popularne rosyjskie szansony, melodie i szlagiery z czasów ZSRS, poddając je poetycko-kabaretowej interpretacji. Jak mówi, w tej dekonstrukcji znanych kulturowych idiomów chodzi bowiem o „ścisłą ukrainizację”, a więc uderzanie w zakorzenione w posowieckiej tożsamości toposy tkwiące w głębi osobistych wspomnień z dzieciństwa, zwłaszcza gdy rosyjskie media celowo je ożywiają. To pełen politycznej satyry komentarz „na granicy faulu” na temat społecznej, politycznej i wojennej rzeczywistości. A wykreowany przez Mucharskiego „profesor antropologii” Orest Liutyj robi to znakomicie, traktując swoją działalność jak wojnę kulturową. Ta twórczość zyskała popularność dopiero od Euromajdanu, jest politycznie niepoprawna i buzuje ukraińskim nacjonalizmem, którego ostrze tym razem jest wymierzone w znienawidzonych Moskali. A także tych obywateli Ukrainy, którzy czują sentyment do Rosji i na co dzień mówią po rosyjsku. Bo i sam Mucharski jak wielu mu podobnych jeszcze na początku lat 90. XX w. był rosyjskojęzyczny i dopiero poznanie historii Kozaków zaporoskich skrystalizowało w nim poczucie tożsamości.

Ostatnio wydał książkę pt. „Nie jestem Rosją” będącą autobiograficzną opowieścią o odnalezieniu swej ukraińskości. Jak twierdzi, zasadnicza różnica polega na tym, że „Rosjanie idą w szyku”, a Ukraińcy w głębi serca pozostają anarchistami. „Niestety nie nauczyliśmy się jeszcze, jak budować państwo” – przyznaje. Zresztą przed dekadą nagrał rewelacyjną art-kabaretową płytę z pieśniami anarchistów Nestora Machny. Nie wiadomo, czy poważnie, czy dla żartu zgłosił chęć startu w wyborach prezydenckich, zapowiadając objęcie władzy dyktatorskiej, rozstrzelanie oligarchów, nacjonalizację ich majątku i sfinansowanie dzięki temu broni nuklearnej. A potem prewencyjny atak na Rosję. Dzięki temu zostanie osiągnięta głoszona przez niego „ścisła ukrainizacja” całego świata. Showman oczywiście ostrzega, że osoby pozbawione poczucia humoru kategorycznie nie powinny słuchać jego piosenek. Jako Polak przyglądam się temu z fascynacją i w osłupieniu.

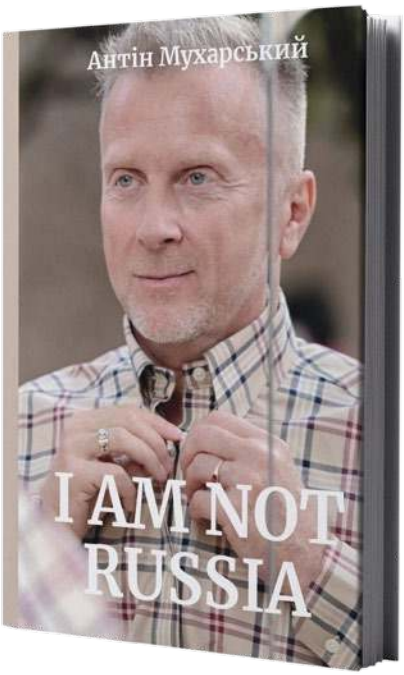

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Chiński dylemat zielonej Europy

Zielone technologie stają się kluczowym czynnikiem napędzającym współczesną gospodarkę. W obliczu kryzysu klimatycznego oraz rosnącej presji społecznej na dekarbonizację inwestycje w odnawialne źródła energii, pojazdy elektryczne, akumulatory czy technologie magazynowania energii nie tylko zmieniają krajobraz energetyczny świata, lecz także redefiniują geopolityczną rywalizację. Choć UE przez lata nadawała ton w dążeniu do budowy zrównoważonej gospodarki, dane z ostatnich lat jasno pokazują, że na czoło tego wyścigu wysunęły się Chiny

Wielu krytyków transformacji energetycznej może zaskakiwać fakt, że to właśnie Chiny dominują na światowym rynku zielonych technologii, co znajduje odzwierciedlenie w strukturze ich gospodarki. W 2023 r. sektory związane z czystą energią wniosły do chińskiego PKB rekordowe 11,4 bln juanów (1,6 bln dol.), co oznacza wzrost o 30 proc. rok do roku.

Według analizy think tanku Carbon Brief zielona energia stała się największym sektorem gospodarki Chin, odpowiadając za 40 proc. wzrostu PKB w 2023 r. (danych za 2024 r. jeszcze nie opublikowano). Ten sukces był możliwy dzięki intensywnym inwestycjom w odnawialne źródła energii, pojazdy elektryczne i akumulatory, na co rząd w Pekinie przeznaczył 6,3 bln juanów (890 mld dol.).

Szczególnie wyraźny wzrost odnotowano w sektorze fotowoltaiki, gdzie Chiny produkują obecnie 80 proc. światowych paneli słonecznych, oraz w sektorze pojazdów elektrycznych, gdzie odpowiadają za ok. dwie trzecie globalnej produkcji. W 2023 r. chiński eksport produktów związanych z zieloną energią wzrósł o 30 proc., osiągając wartość 146 mld dol. Staje się to zresztą rosnącym problemem i źródłem globalnych napięć handlowych.

Symbolem tego trendu stała się informacja, że chiński producent samochodów elektrycznych BYD wyprzedził amerykańską Teslę w wielkości sprzedaży swoich pojazdów. Koncern staje się również coraz bardziej rozpoznawalną marką w Europie. W Polsce jego salony prowadzi Grupa Zasada.

SUBSYDIA TO KLUCZ

Chiński sukces w sektorze zielonej energii był możliwy dzięki kompleksowym i długotrwałym działaniom rządu. To prawdziwy długi marsz, a BYD jest tego przykładem. Firma została założona w 1995 r. i początkowo koncentrowała się na produkcji akumulatorów do telefonów komórkowych.

Chińskie firmy takie jak BYD i SAIC Motor już na początku XXI w. postawiły na rozwój technologii pojazdów elektrycznych i hybrydowych, co dziś czyni je liderami w tej branży.

BYD rozpoczął od akwizycji lokalnego producenta samochodów i skoncentrował się na integracji technologii baterii litowo-jonowych z produkcją pojazdów. W 2008 r. firma wprowadziła na rynek pierwszy na świecie hybrydowy pojazd typu plug-in.

Z kolei SAIC Motor, największy producent samochodów w Chinach, zbudował sieć joint venture z zagranicznymi gigantami, takimi jak General Motors i Volkswagen, co pozwoliło na transfer technologii i stało się podstawą do jej własnego rozwoju.

STRATEGIA WIATRU I SŁOŃCA

Nie inaczej kwestie te wyglądały w przypadku innych branż niskoemisyjnych. W latach dziewięćdziesiątych i na początku XXI w. chińskie firmy wiatrowe takie jak Goldwind i Sinovel podjęły strategiczne decyzje, które ugruntowały ich obecną dominację w sektorze energetyki wiatrowej. Na początku działalności koncerny te korzystały z licencji technologicznych od europejskich partnerów, np. niemieckiego VENSYSA, którego Goldwind ostatecznie przejął. Dzięki temu firmy mogły zbudować solidne fundamenty technologiczne i szybko rozwijać własne zdolności badawczo-rozwojowe

eprasa.pl 8e99d6d4d0

(R&D). Sinovel założył wyspecjalizowane centrum badawcze – Narodowe Centrum R&D Technologii i Wyposażenia do Morskiej Energetyki Wiatrowej – które umożliwiło opracowanie zaawansowanych turbin, takich jak model o mocy 5 MW do zastosowań offshore.

W sektorze fotowoltaiki spółki takie jak Suntech i Trina Solar już na początku XXI w. postawiły na ekspansję międzynarodową oraz innowacje technologiczne. Suntech, korzystając z transferu technologii z Australii i współpracy z Uniwersytetem Nowej Południowej Walii, zbudował silne zaplecze badawczo-rozwojowe. Firma rozwijała technologię poprzez licencje, inwestycje zagraniczne i partnerstwa z chińskimi uniwersytetami, dzięki czemu stała się jednym z globalnych liderów rynku fotowoltaiki. Trina Solar skupiła się natomiast na tworzeniu państwowych laboratoriów i współpracy z międzynarodowymi instytucjami, takimi jak MIT i Australian National University. Dzięki tym strategicznym decyzjom w 2023 r. chińskie firmy zdobyły ponad 80 proc. globalnego rynku w fotowoltaice.

Takich przykładów jest wiele i nie dotyczą one jedynie kluczowych technologii niskoemisyjnych, lecz także surowców kluczowych do ich wytworzenia.

Dobrym tego przykładem jest firma Zijin Mining, która dzięki niezwykłej dynamice wydobycia i globalnej ekspansji pozostawia daleko w tyle konkurencję, w tym takich graczy jak polskie KGHM.

Historia Zijin Mining zaczęła się w 1982 r., kiedy Chen Jinghe, świeżo upieczony absolwent geologii, został wysłany na górę Zijin z zadaniem odkrycia złóż złota. Efektem tych poszukiwań było odkrycie największej kopalni złota w Chinach, która stała się fundamentem budowy potężnego przedsiębiorstwa. Dziś Zijin Mining to globalny gracz o wartości 67 mld dol., który zdobywa rynki wydobycia miedzi, złota i litu na całym świecie. Miedź i lit to surowce, bez których żadna rewolucja technologiczna nie będzie miała miejsca.

CHIŃSKIE KOMPONENTY TAŃSZE OD EUROPEJSKICH

Choć Europa przez lata uchodziła za lidera zielonej transformacji, stopniowo traci przewagę konkurencyjną i realizując strategię osiągnięcia neutralności emisyjnej do 2050 r., musi rozwiązać niebezpieczny dylemat.

W 2023 r. Unia Europejska odnotowała rekordowe wyniki w instalacji paneli słonecznych – jak wynika z danych SolarPower Europe, do sieci przyłączono 56 GW energii słonecznej (w 2020 r. – 19 GW). Jednak ten sukces opiera się w znacznej mierze na imporcie chińskich komponentów. Jeśli Stary Kontynent faktycznie chce osiągnąć ambitne cele klimatyczne, musi sięgać po te ostatnie. Alternatywy nie ma: obecne ceny chińskich modułów fotowoltaicznych wynoszą 0,12 dol. za 1 W, co stanowi zaledwie jedną trzecią kosztów takiej produkcji w Europie.

Chiński sektor wiatrowy korzysta z tanich pożyczek wspieranych przez państwo i długoterminowych odroczonych płatności, co oznacza, że chińskie turbiny można wytwarzać za połowę ceny produkowanych przez ich odpowiedniki w Europie i USA – twierdzi z kolei Antoine Vagneur-Jones, analityk BloombergNEF.

NIE BĘDZIE ZIELONYCH TECHNOLOGII BEZ AZJATYCKIEGO WKŁADU

Rywalizacja o dominację w zielonych technologiach stała się jednym z kluczowych elementów globalnej polityki gospodarczej. Według danych MAE z 2023 r. globalne inwestycje w czystą energię wzrosły o 70 proc. rok do roku, osiągając 200 mld dol. Wzrost inwestycji w zielone technologie nie tylko zmienia globalny krajobraz energetyczny, lecz także staje się kluczowym czynnikiem wzrostu gospodarczego. W skali globalnej zielona energia przyczyniła się do 4-proc. wzrostu światowego PKB w 2023 r.

Tymczasem według agencji Bloomberg w 2023 r. Chiny zwiększyły swój udział w globalnych mocach produkcyjnych w 12 kluczowych obszarach zielonej transformacji, w tym w komponentach akumulatorów, rafinacji metali i elektrolizerach wodoru. W przypadku 11 podstawowych technologii niskoemisyjnych udział Chin w światowych mocach produkcyjnych przekracza obecnie 80 proc. – od paneli fotowoltaicznych po wiele komponentów akumulatorów litowo-jonowych.

Według Wood Mackenzie, globalnej firmy konsultingowej w dziedzinie energetyki, w latach 2023–2050 bogate kraje musiałyby wydać ok. 6 bln dol., aby stworzyć realne alternatywy dla chińskich czystych produktów technologicznych. Dzieje się tak, ponieważ chińskie firmy mają już dużą przewagę w tworzeniu dobrze zintegrowanych łańcuchów dostaw i zdobyły znaczącą pozycję na międzynarodowych rynkach.

Jeżeli Europa chce realizować zakładane tempo zielonej zmiany w energetyce, musi dzisiaj sięgać po komponenty z Azji.

BZ/Zespół wGospodarce.pl

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 8e99d6d4d0

GINTS ZILBALODIS*

Ponadczasowy świat

Gdy Miasto Aniołów nie może się podnieść po pożarach, które strawiły także liczne rezydencje hollywoodzkich gwiazd, na fali innego kataklizmu – tajemniczej globalnej powodzi – na szerokie kinowe wody wypływa bohater filmu „Flow".

Łotewsko-francusko-belgijska koprodukcja do kilkunastu wcześniejszych statuetek (w tym Europejskiej Nagrody Filmowej) dodała ostatnio Złoty Glob dla najlepszego filmu animowanego. Czy powalczy o Oscary, będzie wiadomo 23 stycznia, kiedy po kolejnym (z powodu skutków niszczycielskiego ognia w Los Angeles) przesunięciu terminu zostanie ogłoszona lista nominowanych. Dzień później „Flow" trafi do polskich kin.

Mały wystraszony kotek, który przed podnoszącym się poziomem wody wraz z kilkoma innymi zwierzętami znalazł schronienie w dryfującej łódce, przepłynie na ekranie przez zatopione krainy, historyczne budowle i miasta, w których wytrawny podróżnik odkryje autentyczne lokalizacje.

Łotewski reżyser Gints Zilbalodis (rocznik 1994) tak o tym mówi: „Świat z filmu »Flow« jest inspirowany prawdziwymi miejscami z różnych zakątków globu, jednak my przede wszystkim chcieliśmy stworzyć coś zupełnie nowego i nieznanego. Tak aby widz poczuł się jak kot, który wyrusza w przygodę i doświadcza wszystkiego po raz pierwszy".

„Chciałem, aby nasz świat był ponadczasowy, jakby ta historia mogła się rozgrywać w dowolnym momencie, dlatego w animacji nie widać żadnych nowoczesnych budynków" – dodaje reżyser. „Główną inspiracją stały się dla nas miejsca w Azji Południowo-Wschodniej, Ameryce Środkowej, Tybecie, a także w Europie. Początek filmu, który rozgrywa się w lesie, jest inspirowany naturalnym krajobrazem Łotwy (oczywiście z wyjątkiem gigantycznych posągów kotów)".

Wznoszące i opadające fale – w rytmie slow – prowadzą kota, psa, lemura, kapibarę i ptaka sekretarza przez malownicze, oniryczne krajobrazy. Zalane miasta i lasy stają się poetycką scenerią osobliwej wodnej odysei i symbolicznej wyprawy w głąb siebie. „Otoczenie naszych bohaterów nie jest jedynie ładną dekoracją" – zapewnia Zilbalodis. „Stanowi dużą część fabuły i ma swoje znaczenie".

Jolanta Gajda-Zadworna

**reżyser animowanego filmu „Flow"*

Fot. So FILMS

eprasa.pl 8e99d6d4d0

SŁODKO-SŁONY

Biała śliwka

ANNA MONICKA

Na nasze pierwsze śliwki musimy poczekać jeszcze co najmniej pół roku, ale to nie znaczy, że mamy sobie odmawiać smaku tych soczystych i sycących owoców. W sklepach coraz częściej pojawiają się egzotyczne na naszym rynku nowinki. I to nie pakowane w puszkach i pływające w cukrowym syropie, ale świeże, o delikatnym kwiatowym zapachu. Takim smakołykiem jest przepięknie kwitnące liczi (znajdują się w nim podobne terpeny jak w olejku różanym). Niestety u nas nie owocuje, ale w regionie, z którego się wywodzi – Kambodża, Wietnam, Filipiny – krzewy dosłownie uginają się od ubranych w różowoczerwone, kolczaste skórki śliwek z białym miąższem. W Chinach drzewka były ozdobą cesarskich ogrodów, zarówno z powodu urody kwiatów, jak i dlatego, że uchodziły za wybitnie zdrowe – dodawały sił i poprawiały nastrój. Europejczycy poznali je w XVI w. dzięki hiszpańskiemu podróżnikowi i historykowi Juanowi Gonzálezowi de Mendozie. Był nimi zachwycony podobnie jak cesarze Państwa Środka.

Nic dziwnego, są bardzo soczyste i słodkie, mają mnóstwo pektyn, człowiek czuje się najedzony i napojony już po zjedzeniu kilku sztuk. Badania naukowe wykazały, że mają mnóstwo witaminy C, potasu i przeciwutleniaczy, które chronią nas przed stresem oksydacyjnym, chorobami Parkinsona i Alzheimera. Stawiają na nogi osoby cierpiące na anemię, zmniejszają stany zapalne.

Cena nie jest zabójcza – są tańsze niż borówki amerykańskie i mango. Mają jednak wadę – trzeba je szybko zjadać, bo są nietrwałe. Półkilogramową tackę należy spałaszować w dwa, trzy dni. Pestki można zasadzić w doniczce – jest szansa, że wyrosną, jeśli zapewnimy im ciepłe i wilgotne powietrze, chociaż na własne śliwki nie ma co liczyć, bo nasz klimat to zdecydowanie nie ich bajka.

Świetnie smakują w orzeźwiających napojach – z sokiem z limonki, grenadyną, cytryną. Doskonale nadają się do lodów, sałatek owocowych z mango, ananasem, pomarańczami, twardą gruszką i miętą. Będą ciekawym dodatkiem do drinków w czasie okołosylwestrowych imprez.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Rękoskrzydłe

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Są jedynymi znanymi oficjalnej nauce ssakami zdolnymi do lotu aktywnego. Rękoskrzydłe – nietoperze, czyli *Chiroptera*; od tego słowa wywodzi się intrygująco brzmiąca nazwa nauki zajmującej się tymi zwierzętami: chiropterologia.

Oprócz wspomnianej zdolności do lotu aktywnego, którą poza nimi posiadają jedynie ptaki i owady, nietoperze mają mnóstwo wyjątkowych cech wyróżniających je wśród zwierząt.

To, jak wiele zagadek skrywają, pokazuje fakt, że w XXI w. odkryto nowy gatunek nietoperza, i to nie gdzieś daleko w tropikach, lecz w Europie, której faunę pozornie tak dobrze znamy. To nocek Alkatoe. Ze względu na zewnętrzne podobieństwo do innych nocków umykał uwadze naukowców. Dopiero szczegółowe badania wykazały, że mamy do czynienia z odrębnym gatunkiem. Czy ustalenie, że pozornie jednolity gatunek w rzeczywistości składa się z większej liczby gatunków, jest istotne, skoro z wyglądu są niemal identyczne? Oczywiście. Zewnętrzne podobieństwo może nas zmylić, prowadząc do błędnego wniosku, że dwa podobne gatunki mają również podobne wymagania. To nieprawda. Dlatego działania na rzecz ochrony przyrody często kończą się fiaskiem – za zewnętrznym podobieństwem kryją się na ogół różne wymagania i potrzeby. Chronimy, stosując te same działania, czasem odnosząc sukces, czasem zupełnie bezskutecznie. I nie wiemy dlaczego.

To trochę jak z izomerami niektórych związków chemicznych. Są identyczne poza jednym szczegółem: jedne skręcają płaszczyznę światła spolaryzowanego w lewo, a drugie w prawo. Przynajmniej tylko taką różnicę znamy. Bez znaczenia? Widocznie kryje się za tym coś więcej, ponieważ dopiero stosunkowo niedawno okazało się, dlaczego lekarstwa o identycznym składzie czasem szkodziły, a czasem pomagały. Ich struktura była identyczna – prawie, ponieważ różniły się izomerami. Przyroda jest oparta na prawach fundamentalnych, prawach ogólnych oraz drobiazgach i wszystkie w ostatecznym rozrachunku mają tę samą rangę.

Spośród wielu tajemnic nietoperzy wybierzmy jeszcze jedną. Wszystkie polskie zwierzęta tego gatunku są owadożerne. Z jednym wyjątkiem. Borowiec olbrzymi, największy w Europie nietoperz o niemal półmetrowej rozpiętości skrzydeł, nie zadowala się jedynie owadami, lecz z powodzeniem poluje również na ptaki.

eprasa.pl 8e99d6d4d0

OGNIEM NA WPROST

Ustawka w Warszawie

No i prezydent Wołodymyr Zełenski okazał się kolejnym „krawaciarzem" z Kijowa. Przypominam, że określenie to dotyczy ukraińskich elit (większości), które myślą, że Ukraina może prowadzić politykę mocarstwową i opierać całe swoje jestestwo na niemieckiej pomocy. Do tej pory Kijów pożarł się praktycznie z każdym sąsiednim krajem, jak Węgry, Słowacja, część polskich polityków (większa, choć niesprawująca obecnie władzy). O Białorusi i Moskwie nie wspomnę, bo z nimi toczy wojnę. Zełenski przyjechał więc do Warszawy i zagrał (z zawodu aktor) w ustawce sterowanej przez partię rządzącą w Polsce, pokazując środkowy palec opozycji oraz kandydatowi na prezydenta dr Karolowi Nawrockiemu (udawał, że nie wie, jak się nazywa główny przeciwnik Rafała Trzaskowskiego w wyścigu o pałac prezydencki). Taka polityka nie doprowadzi do niczego dobrego.

Po pierwsze, podlizywanie się Donaldowi Tuskowi w taki sposób nic nie daje Ukrainie. Niemcy i tak wybiorą politykę business as usual i będą dążyli do zakończenia wojny na byle jakich warunkach. Po drugie, Tusk i jego ekipa po roku rządów przestali się liczyć w światowej polityce. Losy Ukrainy zależą tylko od jednego człowieka i nie jest nim przyszły kanclerz Niemiec, tylko prezydent USA Donald Trump. Po trzecie, nie wiadomo, jak długo w Polsce będzie panował reżim Tuska. Jedno jest pewne – po odsunięciu obecnie rządzących od władzy czeka ich kara za łamanie prawa. Jak wtedy Zełenski będzie rozmawiał o sprawach pomocy dla swojego kraju z tymi, których obecnie nie wiadomo po co obraził? A zniewaga była gruba. Bo jak można nazwać sugestie, żeby ewentualny przyszły prezydent RP zaczął się przygotowywać do walki na froncie polsko-moskiewskim? Powiedział to człowiek, który nauczył się ukraińskiego w późnym wieku (pochodzi z rodziny rosyjskojęzycznej) i słowo „przepraszam" za okropną zbrodnię wołyńską nie jest mu w stanie przejść przez gardło.

Na koniec dywagacji o ostatniej wizycie Zełenskiego w naszym kraju o ewentualnych skutkach ustawki z prezydentem Ukrainy w perspektywie wyborów prezydenckich w Polsce. Jeśli Trzaskowski myśli, że spotkanie z głową ukraińskiego państwa i obraza kontrkandydata coś mu da, to jest w błędzie. Większość Polaków ma już powyżej uszu kijowskich uników w sprawie Wołynia i ich zakrawających na bezczelność zagrywek politycznych. To dr Karol Nawrocki słusznie upomniał się o tę sprawę, natomiast rząd Tuska nagle zmieniał zdanie. Dlaczego? Widać przygotowywał ustawkę z Zełenskim nieco wcześniej. Sztab wyborczy Trzaskowskiego po raz kolejny myślał, że zrobi dobrze swemu kandydatowi, a w efekcie wbił mu kolejny gwóźdź do politycznej trumny. A Zełenski zamiast martwić się o ludzi, których potrzeba na froncie, jeździ po sąsiadach i jątrzy w ich polityce wewnętrznej. Prezydencie Ukrainy! Tyle twojej siły, jak długo trzymasz front na wschodzie i południu. Tyle robią to nie „krawaciarze" z Kijowa czy Lwowa, a zwykli żołnierze, którzy są daleko od „wielkiej" polityki Kijowa.

Krótko o froncie, na którym nie jest tak różowo, jak na politycznych spotkankach w Warszawie. Ukraińcy przeprowadzili wiele kontrataków, z których ogólnie nie wynikło nic trwałego. Szczególnie w obwodzie kurskim, gdzie próbowano wykorzystać rotację rosyjskich oddziałów, ale zostało to zahamowane seriami dziesiątek rosyjskich kontrataków. Z poważnych zmian sytuacji istotne jest przekroczenie przez Rosjan zalewu na Żerebcu pod Ternami i uchwycenie przez nich przyczółka po zachodniej stronie. To dość poważnie narusza dotychczasowy układ na tym odcinku frontu i może spowodować dalszą utratę terenu przez Ukraińców. Izium i Bałaklija, odbite z rosyjskich rąk ponad rok temu, znów szykują się do obrony. Torećk, a raczej to, co z niego zostało, jest już w 80 proc. pod rosyjską kontrolą. Moskale opublikowali animację swoich postępów w obwodzie donieckim w ciągu ostatniego półrocza. Widać na nim, jak się sypnęła ukraińska obrona w listopadzie i jakie to miało konsekwencje dla dalszych działań. Wołodymyrze Zełenski, tym się martw!

Andrzej Rafał Potocki
Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eptasa.pl 8e99d6d4d0

Michał Korsun prezentuje: Skoro Tusk i Bodnar to „dary boże", to w co wierzy Wałęsa?

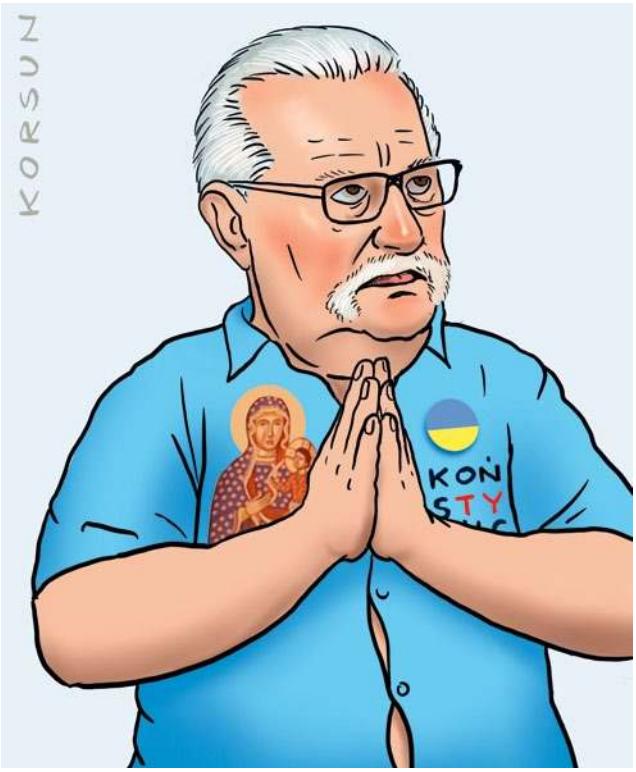

Wycinki z przeszłości

„Tygodnik Ilustrowany" ze stycznia 1914 r. donosił o nowej wyprawie znanego podróżnika Ernesta Shackletona do stref podbiegunowych – tym razem na biegun południowy. „W ekspedycji tej będą brały udział dwa statki. Shackleton zamierza pozostać w okolicy podbiegunowej dwie całe pory roku i powróci dopiero w maju 1915 r. Przebycie więc całego terenu arktycznego, około 1700 mil, trwać będzie prawie cztery miesiące". Sam Shackleton opowiadał prasie: „Wszyscy członkowie ekspedycji muszą się nauczyć gotowania, chociaż zabieramy przeważnie pokarmy najzwyklejsze, dużo marynat i konserw, gotowych do jedzenia natychmiast po podgrzaniu. Zabieramy ze sobą również 120 psów z Alaski i Syberii. Prócz tego będziemy mieli dwoje sań motorowych".

ISZESTNICY WYPRAWY PODBIEGUNOWEJ SHACKLETONA.
PODRÓŻ DO BIEGUNA NA SANIACH MOTOROWYCH.

Widzimy to na zdjęciu obok. Ekspedycja nie osiągnęła zamierzonych celów, oba statki ugrzęzły w lodzie, ale pełna przygód wyprawa przeszła do historii, a brawura, odwaga i sprawczość Shackletona uczyniła z niego wzór przywódcy. To była epoka twardych, dzielnych ludzi.

(mk)

Z WOLEJA

Mały saper, wielki mistrz

Ryszard Czarnecki

Właśnie obejrzałem fabułę „Kulej. Dwie strony medalu". W Polsce rzadko mamy filmy fabularne o sportowcach. Szkoda. W wielu innych krajach to wdzięczny temat dla kina i telewizji. O samym filmie nie będę pisać, za to o jego bohaterze – tak. To pięściarz, który w swojej karierze nie tylko nigdy nie był znokautowany, lecz także nigdy nie dostał nokdaunu, czyli nie leżał na deskach. Nie był „czarodziejem ringu" jak Leszek Drogosz, ale bił się bardzo skutecznie: na 348 walk przegrał tylko 25 przy 6 remisach i aż 317 wygranych.

Wychował się na Ostatnim Groszu, czyli w starej, bo jeszcze przedwojennej, przyfabrycznej dzielnicy Częstochowy. Bił się na podwórku, potem na ringu i w życiu. Rodacy go kochali, bo lał „Ruskich" w czasie, gdy Sowiety okupowały ojczyznę. Na mistrzostwach Europy w Moskwie w roku mojego urodzenia (1963) w finale pokonał reprezentanta ZSRR Tumiņša i dzięki temu na rosyjskiej ziemi usłyszeliśmy najpiękniejszą melodię świata – Mazurka Dąbrowskiego. Rok później w finale igrzysk olimpijskich w Tokio też wygrał z sowieckim pięściarzem – Frołowem.

Na ringu był kozakiem: z temperamentem ganiał i obijał rywali. Jednak na olimpijski finał w stolicy Japonii trener Feliks „Papa" Stamm obrał inną taktykę, bo Rosjanin był mistrzem defensywy. Kulej podpuścił przeciwnika, który atakował go, męcząc się, przez dwie rundy, aby w trzeciej zacząć lać rywala w dresie z napisem CCCP. Rok po igrzyskach w Tokio zdobył kolejny tytuł mistrza Europy. Nie miał jednak szans przebić jednego z najlepszych techników w historii polskiego boksu – Zbigniewa Pietrzykowskiego, który wygrywał mistrzostwa Starego Kontynentu aż cztery razy. Za to nikt z Biało-Czerwonych nie pobił Kuleja, gdy chodzi o igrzyska. Wygrał turnieje olimpijskie dwa razy, i to z rzędu. Po wspominanym Tokio zwyciężył też na IO w Meksyku w 1968 r. W finale po morderczej walce stosunkiem głosów sędziów 3:2 wygrał z Kubańczykiem.

Polacy kochali Kuleja, Kulej kochał Polki. Ofensywny w ringu, ale także w bojach o serce dam. Ot, prawdziwy Sarmata.

Po karierze pięściarskiej próbował swych sił w polityce. Czuł ją dużo gorzej niż boks. Bezskutecznie kandydował do Sejmu RP w 1991 r. (z Polskiej Partii Przyjaciół Piwa), w 1993 r. (z Samoobrony) i w 2005 r. (z Socjaldemokracji RP). Posłem był raz – z list SLD. W tej „konkurencji" zremisował ze wspomnianym już Pietrzykowskim, który też raz był posłem i też nie obronił mandatu.

Jako dzieciak Kulej ryzykował życie... rozbrajając niewypały (!), aby dzięki temu sprzedać proch, kupić wymarzoną piłkę i grać mecze pod Jasną Górą. Za to na ringu prawie nikt nie mógł rozbroić Kuleja...

eprasa.pl 8e99d6d4d0

OD A DO ZYBERTOWICZ

Obrazy i podteksty

Jednak tęskimy za wsią idealną. Za odchodzącym światem harmonii człowieka z naturą

Któż z nas nie kojarzy „Babiego lata" Józefa Chełmońskiego? Artysta żył w latach 1849–1914 i wiele jego dzieł jest nadal z nami.

Mam takie wspomnienie z dzieciństwa: w mieszkaniu cioci Irki wisiała niezbyt duża reprodukcja tego obrazu, na który bardzo lubiłam patrzeć jako mała dziewczynka. Wyobrażałam sobie, że przedstawia tajemniczą postać z baśni. A dokładniej – na obrazie przede wszystkim widziałam księżniczkę, która... umiera. Tak, byłam absolutnie przekonana, że to jest właśnie moment śmierci księżniczki. Frapowało mnie to, co ma na głowie. Wyobrażałam sobie, że jest to rozwinięty żółty turban. Wtedy kolor żółty był moim ulubionym. Jeszcze do dziś, gdy próbuję odtworzyć „Babie lato" (1875) z pamięci, to w pierwszej chwili widzę zwłaszcza ten żółty kolor i niechętnie przyjmuję do wiadomości, że „turban" to wiejska chusta, a moja „księżniczka" jest pasterką i wcale nie umiera.

NIE UMIEM WYJAŚNIĆ TEGO FENOMENU…

Wystawa malarstwa Józefa Chełmońskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie, na którą wiele dzieł wypożyczono także od prywatnych kolekcjonerów, otwarta już w końcu września ub.r., jest imponująca. Niestety udało mi się na nią wybrać dopiero po Nowym Roku.

Czułam, że sobota to nie jest dobry dzień dla spokojnego zwiedzania, ale nie spodziewałam się aż takiego tłumu. Czekałam w kolejce po bilet prawie pół godziny, by potem trafić do następnej kolejki prowadzącej do sali z ekspozycją – dobre kilkanaście minut przymusowego postoju. Obrazy próbowałam oglądać, idąc w sznureczku ludzi. Nic dziwnego, że w którymś momencie zorientowałam się, że bardziej przyglądam się ludziom i nasłuchuję, co mówią.

„Ale dużo obrazów! To wszystko Chełmońskiego?" – starsza pani pyta męża, który niemal beznamiętnie stwierdza, że „za dużo". Faktycznie, uczucie ciasnoty, brak przestrzeni i swobody w oglądaniu dzieł z różnych dystansów doskwiera. Na wystawie zaprezentowano dokładnie 119 obrazów oraz szkice i pamiątkowe fotografie. A to i tak nie wszystkie dzieła malarza.

Staję przed obrazem „Sprawa u wójta" (1873). Jest on uważany za arcydzieło. Artyście udało się uchwycić, ponoć z pamięci, scenę przybycia chłopów na sąd gminny. Obok mnie kilkuletnia, rezolutnie wyglądająca dziewczynka pyta: „Tato, a ile czasu maluje się taki obraz? Bo moim zdaniem okropnie długo. Zobacz, ile tu jest ludzi. Żeby namalować jednego człowieka, to chyba z rok potrzeba...". Jej tata, w skupieniu studiując postacie z obrazu, nie wie, co odpowiedzieć, wyraźnie zakłopotany.

Przy pejzażu „Noc gwiaździsta" (1888) fotografują się po kolei trzy panie. „Ale piękny jest ten obraz! Idealny do sypialni" – wzdycha jedna z nich. To urzekające dzieło pozbawione ludzkich postaci i utrzymane w niebiesko-stalowej kolorystyce w czasach sobie współczesnych było przedmiotem artystycznego skandalu – nie zostało przyjęty na wystawę w Zachęcie. Ówczesne jury zdyskwalifikowało je za brak w rzeczywistości takiej konstelacji gwiazd, jaka jest na obrazie.

WSI SPOKOJNA, WSI WESOŁA…

...pisał już ponad cztery i pół wieku temu Jan Kochanowski, osiadłszy w Czarnolesie, już wtedy idealizując wiejskie życie. Kuratorka warszawskiej wystawy pisze o dziełach Chełmońskiego: „Pozbawione ideologicznych podtekstów, wyróżniające się wiernością wobec współczesnych realiów życia, nieupiększoną w jej przypadkowej logice prawdą scenerii [...]". Podobno Chełmoński dużo malował z pamięci. Wymyślał sceny. Czy jego wieś faktycznie nie ma podtekstów ideologicznych?

Internetowy magazyn kulturalny Dwutygodnik.com podaje, że jak dotąd wystawę malarstwa Józefa Chełmońskiego obejrzało ponad 100 tys. osób. To wielki sukces, a także efekt nasilonej w ostatnich latach chłopomanii.

Jednak tęsknimy za wsią idealną. Za odchodzącym światem harmonii człowieka z naturą. Czy nie chcemy dostrzec w obrazach Chełmońskiego tak przemożnych sił, jak tradycja („Zjazd na polowanie", 1874), religia („Wielki Piątek", 1872), patriotyzm („Modlitwa przed bitwą. Racławice", 1906)? Przecież bez nich tak ostatnio hołubione chłopstwo nie niosłoby ważnej części żywiołu polskości aż do naszych czasów.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 8e99d6d4d0

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl 8e99d6d4d0

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl/8e99d6d4d0